

Prof. Bronisław Łagowski
Putin i „śmierć mózgowa”
polskich partii

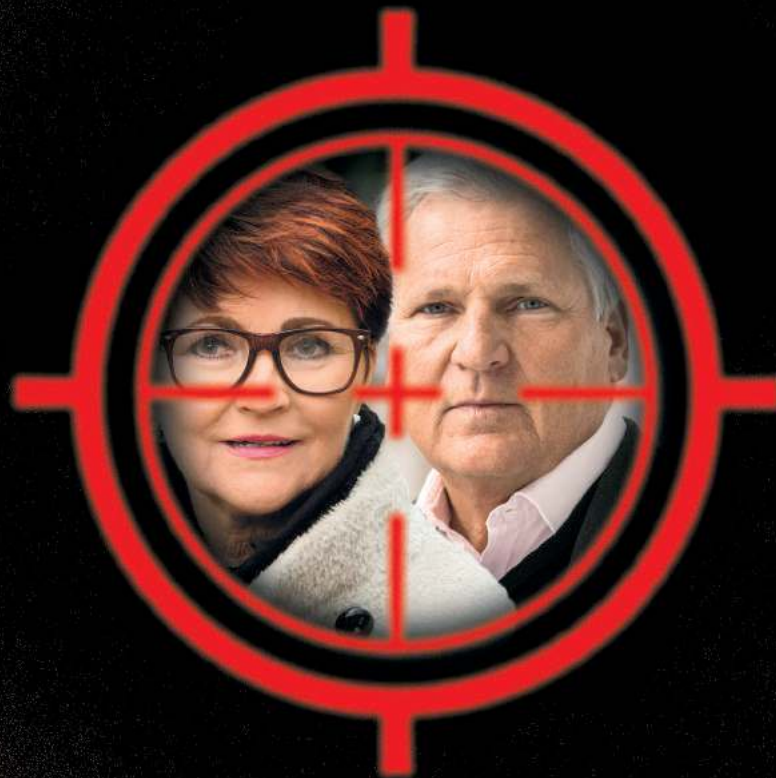
Prof. Jan Widacki
Podejrzana sędzia Pawłowicz

Prof. Ludwik Stomma
Jak Duda wyszedł na pieniądze

Andrzej Kapkowski
59 ofiar ustawy
dezubekizacyjnej



POŁOWANIE NA KWAŚNIEWSKICH



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311003

WSZYSTKIE TAJEMNICE DOZWOLONE!

 ZŁOTE GLOBY
— LAUREATKA —
NAJLEPSZA AKTORKA
W KOMEDII LUB MUSICALU



KŁAMSTEWKO

W KINACH

A24

m2

coastguard

wysokie obcas

STILMONINI

Gala

KOBIETA.PL

P

PAPAYA ROCKS

VOGUE

K

MAC

WOLFF

sens

POPTOWN+EU

4

CYTATY

PROF. PIOTR HOFMAŃSKI, sędzia Międzynarodowego Trybunału Karnego
Kiedyś obecny reżim upadnie i powrócą normalne czasy.
„Rzeczpospolita”

JERZY URBAN, redaktor naczelny
Premier tworzy iluzję swojej kompetencji, a są to pozory nieosiągalne dla prezydenta.
„Nie”

DOROTA WARAKOMSKA, publicystka
W polskiej kulturze kobieta wyrażająca własne opinie pewnym siebie tonem dostaje łatkę przemądrzałej. Albo feministki.
„Wysokie Obcasy”

PAWEŁ WILCZAK, aktor
W kinie kompletnie się wzruszam. Drży broda, oczy się szklą.
„Viva!”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Przestroga Turskiego

Patrzyłem na polityków z obozu władzy, którzy słuchali Mariana Turskiego, i szczerze wątpię, by pojęli, co chciał im przekazać. Właśnie tam, w Auschwitz, w 75. rocznicę wyzwolenia tego przekłętą obozu przez Armię Czerwoną. Słowa byłego więźnia Auschwitz, jednego z ostatnich żyjących, traktuję jak testament adresowany do tych, którzy myślą o przyszłości i coraz bardziej boją się powtórki z historii. Uważam, że Turski, który stanął w miejscu, gdzie zamordowano ponad milion ludzi, też się tego boi. I przestrzega, że Auschwitz może się powtórzyć. Takie wnioski wyciąga z historii Niemiec lat 30. i z tego, co widzi teraz. Warto na spokojnie obejrzeć nagranie jego przemowy lub przeczytać tekst w internecie. To jest i najprawdziwsza lekcja historii, i odpowiedź na pytanie, co zwykli ludzie muszą robić, by nie dopuścić do takich zbrodni. Nie bądźmy obojętni. Ta rada Turskiego może być odbierana jako naiwnie życzeniowa. Ale spróbujmy na chwilę zatrzymać się na tych słowach i pomyślny, co one dla nas znaczą. Zwłaszcza w kontekście największych problemów świata. Okaże się, że wtedy, gdy nie byliśmy obojętni, sprawy toczyły się dla nas samych mądrzej i bezpieczniej.

Przed wszystkim nie możemy być obojętni na dyskryminowanie i eliminowanie kolejnych grup ludzi. Wiemy przecież, że zło jest częścią naszego gatunku. I że zbyt często i zbyt łatwo znajduje ujście w naszym życiu. Ponieważ zwykli ludzie byli obojętni, gdy faszyci maszerowali po władzę, miliony innych zamordowano. Bo tamtych wtedy to nie dotyczyło. A kiedy sami stali się ofiarami, na opór było już za późno. Dopiero po jakimś czasie wiemy, kiedy był ten moment, gdy należało powiedzieć „nie”. Wiemy też, że jeśli się go przegapi, konsekwencje najboleśniej uderzą w tych obojętnych, niereagujących, nieinteresujących się polityką. Nie interesujesz się tym, co robią politycy? To zobaczysz, jak cię urządzią. Słowa Mariana Turskiego z Auschwitz są wołaniem o to, by za wszelką cenę nie dopuścić do recydywy.

Niestety, najczarniejsze karty z historii człowieka ciągle wracają. I to w coraz bardziej makabrycznej formie. Na pytanie, czy jest możliwa powtórka Zagłady, odpowiadam, że tak może się stać. Co gorsza, jest to coraz bardziej prawdopodobne. Odchodzą pokolenia, które Zagładę widziały i jej doświadczyły. A później te pokolenia budowały świat po. Rządziły bądź miały wielki wpływ na rządy. Ten czas się kończy. Ich następcy mówią o Zagładzie w czasie obchodów rocznicowych. Że pamiętają. Ale na co dzień robią rzeczy okropne.

**SŁUCHAJ,
A NIE TYLKO
CZYTAJ!**



**NASZE TEKSTY
NA AUDIODELIC**

ZA MIESIĄC 19,99

 **AudioDelic**





BAKOWSKI

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polowanie na Kwaśniewskich**
Agent Tomek nie powiedział wszystkiego
- 13 Spowiedź skruszonego agenta**
– rozmowa z Ryszardem Kaliszem
- 20 Dorsz a sprawa polska**
Kto niszczy Bałtyk
- 36 Polska transformacja z ludzkiej strony**
– rozmowa z Joanną Wawrzyniak i Aleksandrą Leyk
- 48 Mundur i dziewczyna**
Historia z lumpeksu

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 16 Jakub Dymek**
Reforma bez końca i celu
- 32 Andrzej Kapkowski**
Mściwe prawo

ZAGRANICA

- 23 Odbudowa czerwonego mostu**
Laburzyści muszą się starać o wyborców
- 26 Ruch Spadających Gwiazd**
Przegraną włoskiej polityki
- 28 Plastikowa awangarda**
Korespondencja z Niemiec

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 35 Walka o emerytury stażowe**
– nowe otwarcie

HISTORIA

- 40 Zabić stolicę Polski**
Założenia planu Pabsta

NAUKA

- 44 Nawet noblistka korzysta z Wikipedii**
– rozmowa z dr. hab. Pawłem Jochymem

KULTURA

- 50 Taki trochę drugi Kutz**
– rozmowa z Robertem Talarczykiem
- 54 Culturalia**
- 66 Elżbieta Woźniewska. Paralele**

ZDROWIE

- 56 Antyszczepionkowcy wciąż w natarciu**
Bolesne skutki nieszczepienia
- 57 Branża farmaceutyczna wymyśla choroby**
Ryzyko „lepszego” niż rak

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Prestroga Turskiego
- 15 Bronisław Łagowski**
Mrok
- 18 Jan Widacki**
Czy w tym szaleństwie jest metoda, czy to już tylko czyste szaleństwo?
- 31 Roman Kurkiewicz**
Patriorealistyczny
- 43 Tomasz Jastrun**
Agent Tomek znowu na scenie
- 47 Ludwik Stomma**
Duda pod Cecorą
- 53 Wojciech Kuczok**
Wygnanie z zeszłego stulecia



PLASTIKOWA AWANGARDA

Korespondencja z Niemiec

28
ZAGRANICA

44
NAUKA

NAWET NOBLISTKA KORZYSTA Z WIKIPEDII

– rozmowa
z dr. hab. Pawłem Jochymem



TAKI TROCHĘ DRUGI KUTZ

– rozmowa z Robertem Talarczykiem

50
KULTURA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAWEŁ KICOWSKI/SE/EAST NEWS, JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, TOMASZ URBANEK/EAST NEWS



Producenci przetworów rybnych
oszczędzają na jakości

Stefan Kudelski
Polak wynalazca, ale na emigracji

90% ludzi na świecie
cierpi na ból pleców

✉ Ruletka zamiast polityki

W komentarzu w 3. numerze PRZEGŁĄDU redaktor naczelny zastanawia się, jakie jeszcze warunki będzie musiała spełnić Polska, by Amerykanie byli zadowoleni z rządów PiS. Cóż, serwilistycznych wobec USA kandydatów



na prezydenta popiera ok. 70% wyborców. Jest demokracja, prawniczy polski lud dostanie to, czego chce. Widocznie chce destrukcji swojego szkolnictwa, służby zdrowia i systemu emerytalnego, byleby tylko zaspokoić gigantyczne

apetyty amerykańskich firm. Swoimi idolami uczynił „żołnierzy wyklętych”, którzy chcieli przecież Polski przedwojennej, bez powszechnej edukacji i opieki socjalnej. „Wyklęci” marzyli także o tym, aby na polskim terytorium rozegrała się wymiana atomowych ciosów między USA i ZSRR. Ich dzisiejsi apologetci robią wszystko, by doprowadzić do realizacji takiego scenariusza. Konsekwencji w naśladowaniu idoli im nie brakuje.

Radosław

✉ Wizyta w Maisons-Laffitte

Moja serdeczna przyjaciółka, pisarka, znawczyni twórczości Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Barbara Winklowska, wybierała się do Paryża w celu zbierania materiałów do pracy „Boy-Żeleński nad Sekwaną”. Zaproponowała mi wspólny wyjazd. Przyjęłam tę propozycję z ogromną ra-

dością. Podczas pobytu w Paryżu pojechaliśmy któregoś dnia do Maisons-Laffitte, gdzie mieszkał, pracował i tworzył Jerzy Giedroyc. Redaktor paryskiej „Kultury” już wtedy nie żył. Przyjęła nas Zofia Hertzowa, która pracowała z Giedroyciem przez wiele lat, a po jego śmierci objęła stanowisko dyrektora Instytutu Literackiego. W rozmowie z nią wspominałam, że obie w czasie wojny byłyśmy żołnierzami. Na to pani Zofia odpowiedziała: „Pani była żołnierzem u zdrajcy”. Bardzo mnie to zabolowało. Odpowiedziałam: „Dzięki temu zdrajcy przeżyłam i mogę być teraz przyjmowana przez panią redaktor”. Po rozmowie z panią Zofią popadłam w zadumę nad złożonością losów Polaków w latach wojny i po wojnie oraz tego, jak bardzo podzieliła nas historia.

Ada Żurawska, Kraków

✉ Nikt mnie nie skusi i nie przestraszy

Trzeba mówić wprost: PiS od czterech lat nie przeprowadziło żadnej konkretnej reformy sądownictwa. Kaczyński natomiast zlecił Ziobrze (po dopuszczeniu go na nowo do łask) przejęcie sądownictwa w Polsce. Ma to być system, który tylko jemu ma służyć. Chodzi o to, by wymierzać „sprawiedliwość” własnym dawnym i nowym wrogom, a także utrzymywać władzę i kontrolę nad ludźmi spoza PiS. Czyli nad 80% obywateli Polski.

A.



ZDJĘCIE TYGODNIA

Uroczystość poświęcenia
odnowionego pomnika
upamiętniającego mord
na mieszkańcach Zaleszan
dokonany przez żołnierzy
„Burego” w 1946 r.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy ekipa Ziobry to czołówka nowych elit PiS?

AGATA SZCZĘŚNIAK,
OKO.press

Zbigniew Ziobro przygotowuje się do wojen przyszłości. Dlatego buduje wokół siebie zwartą grupę – dobrze wyposażoną, lojalną i mocno osadzoną w kilku środowiskach. Gromadzą pieniądze, obsadzając spółki skarbu państwa, a potem załatwiają wyborcom dotacje, budując relację klientelistyczną. Grupa Ziobry nastawia się też na to, że w przyszłości konflikt, przynajmniej w kwestiach kulturowych i związanych z prawami człowieka, rozegra się między jakąś prawicą a lewicą. Pisał o tym Patryk Jaki w Deklaracji Nowego Pokolenia. Ludzie Ziobry próbują budować wiarygodność w tej sferze, co widać w sposobie wydawania środków z Funduszu Sprawiedliwości, który wspiera skrajnie konserwatywną ideologię. Może ta grupa nie jest jeszcze „elitą elit” Zjednoczonej Prawicy, ale przygotowuje się do tego, aby – gdy PiS straci władzę i pojawi się nowy podział polityczny – być uzbrojoną do prowadzenia nowych bitew.

SYLWERIUSZ KRÓLAK,
Fundacja Praw Obywatelskich

Kiedy się patrzy na pełne satysfakcji twarze młodych ludzi zgrupowanych wokół ministra sprawiedliwości, można sądzić,

że oni sami uważają się za elitę. Ten rodzaj samozadowolenia i przeświadczenie o wyższości pozwalają mieć takie przekonanie. Elitą można się czuć, ale częściej elitą są ci, których za nią uważamy, przy czym nie wszyscy tak samo ją definiują. Słowo to zresztą nie ma jednoznacznej konotacji i często jest używane z odcieniem negatywnym – tak nazywa się ludzi, którzy mają lepiej, choć nie zawsze na to zasługują. Jeśli elitę rozumieć jako najlepszą intelektualnie i moralnie część społeczeństwa, to ekipy Ziobry tak bym nie określił. Jednak jeżeli mówimy o elicie jako o grupie, która ma duże wpływy oraz przywileje i daje pewne wzorce, to ci ludzie mogą tak się czuć.

HENRYK MARTENKA,
publicysta, „Angora”

Archetypem Ziobry jest Robespierre, rewolucyjny fanatyk, natchniony misją i bezlitośnie podporządkowujący środki założonym celom. Radykalny, cyniczny, charyzmatyczny, wyprany z emocji. Grono, jakie Ziobro dobrał sobie do pomocy, odpowiada cechom swojego mentora. Współcześni jakobini z Ministerstwa Sprawiedliwości: Warchoń, Wójcik, Kaleta, a wcześniej Jaki i Kanthak, to mentalne klony Ziobry – wykształceni i ambitni, mówiący dobrą polsz-

czyzną, dobrze ubrani, przekonani o swojej uczciwości, zdeterminowani w utrzymaniu władzy. Ludzie bez wątpliwości i skrupułów. Nieprzekupni. Jak na czołówkę nowych elit PiS zbyt ortodoksyjni i bezwzględni, o czym praśny, ludowo-konserwatywny aparat tej formacji dobrze wie. Ekipa Ziobry to rewolucyjna bojówka, której polityczny los został przesądzony *in statu nascendi*. Jak od początku przesądzony był los Robespierre’a.

ANDRZEJ B. IZDEBSKI,
czytelnik PRZEGŁĄDU

Wiele cech ekipy Ziobry wskazuje na jej elitarny charakter: wysoka integracja, utrudniona rekrutacja nowych członków, dystans do społeczeństwa, rozbudowany system przywilejów. Tyle że elita powinna mieć znaczny potencjał intelektualny i spory zakres samodzielnego myślenia. Tu grupka „pyskaczy” z małej przybudówki dużej partii, kierowanej przez dyktatora, uzyskała ogromną władzę – nie tylko polityczną, ale również ekonomiczną i ideologiczną, choć musi całkowicie podporządkować się wodzowi, odgrywającemu także rolę intelektualnego guru. Nie wiem, czy taką grupę można nazwać elitą, ale na pewno jest to czołówka politruków Zjednoczonej Prawicy.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

Polowanie na Kwaśniewskich

Zeznania agenta Tomka pogrążają Kamińskiego i Wąsika. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że Tomasz Kaczmarek wszystkiego nie powiedział

Tomasz Kaczmarek, słynny agent Tomek, potem poseł Prawa i Sprawiedliwości, powtórzył to dwa razy. Najpierw 12 grudnia 2019 r. w prokuraturze w Katowicach, zeznając we wznowionym w roku 2016 śledztwie w sprawie tzw. willi Kwaśniewskich w Kazimierzu Dolnym. Potem w programie telewizyjnym TVN „Supervizjer”, emitowanym w sobotę, 25 stycznia br.

Mówił: „Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik dawali mi jasny sygnał, że w trakcie mojej pracy mam sformułować zdarzenia w taki sposób, aby wskazywać na to, że właścicielami willi w Kazimierzu Dolnym są Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy”. On sam, jak powiedział dziennikarzom „Supervizjera”, nie miał takiego przekonania i informował o tym przełożonych.

Jego uwagi, jak opowiadał, były ignorowane. Dlatego większość materiałów związanych z ówczesną operacją CBA to jego notatki, a nie np. nagrania. Jak mówił, „łatwiej było wytwarzać przeświadczenia (o Kwaśniewskich) poprzez pisane dokumenty niż poprzez realizowanie nagrań”.

I jeszcze jeden cytat z „Supervizjera”: „Są one (notatki i zeznania – przyp. red.) wynikiem rozkazów i poleceń (...) od Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika w zakresie prowadzenia przeze mnie czynności operacyjnych oraz sporządzanej

chy, agenturę, a w końcu operację specjalną.

Jak to wyglądało? Sporo światła rzuca na to opisany przez „Gazetę Wyborczą” wniosek prokuratury do Sejmu o uchylenie immunitetu Mariuszowi Kamińskiemu, nad którym postowie głosowali w 2014 r. Wniosek był tajny, zapoznano się z nim raptem dziewięciu postów, potem, także w trybie tajnym, występował przed postami Mariusz Kamiński, broniąc się. Ta obrona, jak wiemy z przecieków, polegała na atakowaniu Kwaśniewskich. Na opisywaniu rzekomego majątku pary prezydenckiej, na cytowaniu wyrwanych z kontekstu, podsłuchanych rozmów i ich interpretowaniu. Że buty w rozmiarze europejskim, a nie amerykańskim... „To były ploty, jak z bazaru”, opowiadał nam jeden z postów. Ale na niektórych zrobiły wrażenie. Wniosek prokuratury nie uzyskał wymaganych

Kwaśniewskich ani rozpoczynać przeciw nim tajnej operacji, ponieważ „wstępne ustalenia CBA nie potwierdziły informacji”, że są oni właścicielami willi.

Polowanie na Kwaśniewskich zresztą trwa. PiS po przejściu władzy natychmiast wznowiło śledztwo w sprawie willi w Kazimierzu Dolnym. Prowadzi je prokuratura w Katowicach. Do tej sprawy, jak się dowiedzieliśmy, delegowano dwóch prokuratorów, którzy niczym innym się nie zajmują. Zeznania agenta Tomka ewidentnie popsuty im szły.

Operacja „Krystyna”

Przypomnijmy: w latach 2007-2009 CBA prowadziło akcję specjalną „Krystyna”. Miała ona dowiedzieć, że Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy byli nieoficjalnie właścicielami domu w Kazimierzu Dolnym. Zakupu mieli

Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik dawali mi jasny sygnał, że mam sformułować zdarzenia w taki sposób, aby wskazywać na to, że właścicielami willi w Kazimierzu są Kwaśniewscy.

przeze mnie dokumentacji. Miałem wytworzyć przeświadczenie, że dom w Kazimierzu Dolnym należy do Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Ja osobiście takiego przeświadczenia nigdy nie powziąłem, a moje notatki i złożone zeznania są efektem nacisków ze strony moich byłych przełożonych”.

Te słowa są dla ówczesnych szefów CBA jak akt oskarżenia. Wynika z nich, że to oni mówili agentowi Tomkowi, jakie ma pisać notatki, a potem, na podstawie tychże notatek, wiedząc, że są nieprawdziwe, uruchamiali przeciwko Kwaśniewskim całą maszynę tajnych służb – podsłu-

231 głosów. Część postów Platformy, a nawet kilku SLD, wstrzymała się od głosu.

Gdyby przeczytali wniosek prokuratury, najpewniej zachowaliby się inaczej. Okazuje się bowiem, że prokuratura postawiła Kamińskiemu 39 zarzutów, w tym 37 dotyczących nielegalnych podsłuchów, a także fałszywego zawiadomienia prokuratora generalnego, że Jolanta Kwaśniewska popełniła czyn kryminalny, oraz przeprowadzenia bez podstaw prawnych zakupu kontrolowanego willi w Kazimierzu Dolnym.

Zdaniem prokuratury Kamiński nie miał prawa inwigilować

dokonać na podstawioną osobę – zaprzyjaźnionego z nimi Marka Michałowskiego, prezesa Budimeksu. Chcieli w ten sposób ukryć swoje nielegalne dochody. Mariusz Kamiński zamierzał więc udowodnić, że Kwaśniewscy są właścicielami willi, by potem zapytać ich, skąd na ten zakup mieli pieniądze.

Zainspirował go Józef Oleksy, który podczas mocno zakrapianej kolacji u Aleksandra Gudzwatego plotkował, że Kwaśniewscy kupili w Kazimierzu Dolnym „nie na siebie całe wzgórze”. Nagrania z tej kolacji ujawniono w roku 2007. Oleksy szybko z tych słów się wycofał, ale Kamińskiemu to wystarczyło.



W 2011 r. Tomasz Kaczmarek – już na emeryturze z CBA – został posłem w ramienia PiS. Z byłym szefem Mariuszem Kamińskim mógł sobie pogawędzić na sali obrad plenarnych...

Operacja ruszyła. Główną rolę grał w niej Tomasz Kaczmarek, agent Tomek. Zaprzyjaźnił się z Janem J., synem Marii J., pierwszej właścicielki, a potem administratorki domu. Kaczmarek namawiał Jana J., by pomógł mu w kupnie willi. I dopiął swego, Michałowski zgodził się sprzedać dom, najpewniej skuszony hojną ofertą. Agent Tomek zaoferował 1,6 mln zł w akcie notarialnym i 1,5 mln zł w gotówce, poza umową, które miał przekazać Janowi J. Ten element był kluczowy dla całego planu, bo pieniądze agent Tomek umieścił w teczce wyposażonej w nadajnik. W CBA liczono, że Jan J. zanieś teczke Jolancie Kwaśniewskiej, a wtedy będzie można panią prezydentową zatrzymać i stawiać jej zarzuty.

O tym, że Mariusz Kamiński chciał Kwaśniewską aresztować, powiedział parę tygodni później ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny Andrzej Czumak. W Radiu Zet mówił: „Pan Mariusz Kamiński (szef CBA) w ostatnim czasie zachowuje się dość osobliwie. Kilka tygodni temu zjawił się u mnie i zażądał, żebyśmy zaaresztowali panią Kwaśniewską. Ja oczy w sęp i mówię: »A jakie to dowody są, mianowicie?«. Ano takie, że przypuszczalnie jej koleżanka

(...) sprzedała swoją działkę, chciała uniknąć podatku i po cichutku pieniądze wziąć w garść”.

Te wszystkie rachuby Kamińskiego upadły, gdy doszło do podpisywania umowy notarialnej. 30 lipca 2009 r. umowę z agentem Tomkiem podpisał Marek Michałowski. A Jan J. wziął teczke z gotówką, po czym wyjął pieniądze z teczki i zapakował do bagażnika samochodu. Agent Tomek zaczął go więc przekonywać, by teczke wziął. Bezskutecznie.

Jan J. w książce Piotra Pytlakowskiego i Sylwestra Latkowskiego „Agent Tomasz i inni. Przykrywkowcy” tak opowiada o tamtym dniu: „Doszło do transakcji. Nie wiem, czy rzeczywiście przełożenie pieniędzy z teczki Tomasza w inną spaliło im akcję. Myślę, że raczej zdali sobie sprawę, że nie dopadną Kwaśniewskiej. Przecież to wszystko bzdura, te gadki o tym, że dom w Kazimierzu to jej cicha własność. A my i Michałowski to niby mieliśmy być słupami.

(...) W tym czasie w Warszawie była moja matka z siostrami. Tomek nas wszystkich zaprosił na uroczystą kolację z okazji finalizacji zakupu do restauracji Belvedere. Usiedliśmy przy stoliku. Towarzyszyła nam jeszcze moja dziewczyna. Zdążyliśmy

zjeść przystawki. Nagle wyrosli wokół panowie z legitymacjami. Założyli mnie i matce kajdanki. Siostry wpadły w panikę. A Tomek grał dalej. Niby zaskoczonym zatrzymaniem. Jak podeśzli, od razu wstał, ręce wziął do tyłu i powiedział: »Tu są moje pieniądze«. Spokojnie poszedł z nimi”.

Cień Leppera

Operacja „Krystyna” to niejedyna skandaliczna operacja służb specjalnych, którą Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik nadzorowali i którą kierowali. Podobny charakter miała operacja prowadzona przeciwko Andrzejowi Lepperowi, znana jako afery gruntowa. Jej finał rozegrał się w pierwszych dniach lipca 2007 r. Wtedy to zaważyła się operacja wręczenia przez CBA kontrolowanej łapówki (2,7 mln zł) w zamian za odrolnienie gruntu na Mazurach.

Andrzej Lepper, ówczesny wicepremier i minister rolnictwa w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, miał ostatecznie wziąć łapówkę w zamian za odrolnienie. Ale pieniądze do niego nie dotarły, odrolnienie też nie nastąpiło. Nie powiódł się także plan aresztowania Leppera. W efekcie rozpadła się rządząca ko-

► alicja PiS-Samoobrona-LPR i doszło do przedterminowych wyborów parlamentarnych.

Operacja rozpoczęła się we Wrocławiu. Tam Andrzej Kryszynski, znajomy Piotra Ryby, który był z kolei bliskim współpracownikiem Andrzeja Leppera, opowiadał, że ma przełożenie na Ministerstwo Rolnictwa i może załatwić odrolnienie każdego gruntu. CBA podesłało więc Kryszynskiemu swojego agenta, który przedstawił się jako biznesmen o nazwisku Sosnowski i był gotów za taką operację dobrze zapłacić. Zaczęła się gra operacyjna, której celem był Andrzej Lepper. Tak zresztą ocenił to później sąd, który 30 marca 2015 r. orzekł karę trzech lat więzienia i 10-letni zakaz zajmowania stanowisk wobec Mariusza Kamińskiego i jego byłego zastępcy Macieja Wąsika.

operacyjną i świadczy dobitnie o rzeczywistej motywacji oskarżonych”, komentował tę sytuację sąd, dodając w uzasadnieniu wyroku: „Nie wystąpiono o kontrolę operacyjną innych osób zatrudnionych w Ministerstwie Rolnictwa, cały wysiłek skierowano na posłów zrzeszonych w klubie parlamentarnym Samoobrony”.

Walka z korupcją była zatem pretekstem do użycia służb specjalnych wobec Leppera i jego partii. Do podsłuchiwania, inwigilowania, a w końcu – do jego aresztowania. Plan, o czym głośno mówiono wówczas w Sejmie, był taki – Lepper miał zostać oskarżony i aresztowany, a szefostwo Samoobrony miał przejąć zwolennik ścisłej współpracy z PiS.

Sędzia Łączewski, skazując Kamińskiego, w uzasadnieniu wyroku mówił: „Zachowywał się jak osoba

Do tego jednak nie doszło, bo prezydent Andrzej Duda jesienią 2015 r. wszystkich skazanych ułaskawił. Najpewniej łamiąc przy tym prawo – bo wyrok sądu rejonowego jeszcze się nie uprawomocnił, a ułaskawić można tylko przestępców.

Afera gruntowa miała jeszcze postscriptum, w PiS bowiem nie przyjęto do wiadomości, że się nie powiodła, bo była oparta na fałszywych podejrzeniach. Uznano, że Andrzej Lepper został przez kogoś ostrzeżony i dlatego w ostatniej chwili się wycofał. Podejrzenie padło na Janusza Kaczmara, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych. To on miał, poprzez łańcuszek pośredników, uprzedzić Leppera. Kaczmara poddano więc inwigilacji, a nawet zatrzymano. We wniosku do sądu o zgodę na podsłuch CBA miało napisać, że

Prokuratura postawiła Kamińskiemu 39 zarzutów, w tym 37 dotyczących nielegalnych podsłuchów, a także fałszywego zawiadomienia prokuratora generalnego.

„Mariusz Kamiński twierdził, że motywacją działania była walka z korupcją, której obiektywnie w Ministerstwie Rolnictwa nie było, a na pewno nie było na to poszlak czy dowodów. Czyn zabroniony (...) został »wyprodukowany« przez aparat państwa”, oceniał prowadzący sprawę sędzia Wojciech Łączewski, dodając, że „wręczenie korzyści majątkowej nie może służyć weryfikacji informacji o podejrzeniu korupcji w instytucji publicznej”.

Sąd uznał, że „nie było wiarygodnej informacji o popełnieniu przestępstwa, były tylko słowa Kryszynskiego, któremu i tak nie wszyscy wierzyli”. A mimo to rozpoczęto operację, która zakończyła się „wyprodukowaniem” czynu korupcyjnego.

De facto operacja, w której CBA naruszyło prawo jeszcze kilkakrotnie, służyła inwigilacji liderów Samoobrony. Samego Andrzeja Leppera podsłuchiowano pięć miesięcy. Podsłuchiowano również innych polityków tego ugrupowania, chociaż nie mieli oni żadnego wpływu na procedurę odrolnienia.

Nie podsłuchiowano natomiast wiceministra rolnictwa Henryka Kowalczyka z PiS, który nadzorował Departament Ochrony Gruntów i miał akceptować wniosek o odrolnienie. „Wprost razi nieobjęcie go kontrolą

stojąca ponad prawem, bo zlecał czynności, o których już w początkowym okresie funkcjonowania CBA był informowany, że przeprowadzić ich nie może. Świadomie nie stosował przepisów ustawy o CBA”. A pisząc wnioski o podsłuchy, „oskarżony Mariusz Kamiński wprowadzał świadomie w błąd prokuratora generalnego, jak i sąd okręgowy, wyłudając zgodę na przeprowadzenie kontroli operacyjnej [podsłuch] lub na kontrolowane wręczenie korzyści majątkowej”.

O skazanych funkcjonariuszach CBA sędzia Łączewski pisał zaś tak: „Do obowiązków ich przepisów podchodzili lekceważąco. (...) Cieszyli się swoistym poczuciem bezkarności. (...) Brak akceptacji oskarżonych dla zasad demokratycznego państwa prawnego, a wręcz przekonanie o wszechwładzy, którą mają dysponować. (...) Widoczna była premedytacja, a oskarżeni wielokrotnie łamali prawo, i to wbrew ostrzeżeniom”.

Wyrok z 30 marca 2015 r. wywołał w PiS furję. Bo pokazał, że kara może nadejść. Że nie wszyscy dadzą się omamić hasłem: „Walczymy z korupcją, więc możemy wszystko”. Na sędziego Łączewskiego posypały się obelgi. A PiS zapowiedziało odwołanie od wyroku, sprawę miał rozpatrywać sąd apelacyjny.

Kaczmarek jest szefem kartelu narkotykowego i zleca zabójstwa.

Lekarze

Wykorzystywanie służb specjalnych, by walczyć z politykami, by ich podsłuchiwały, szantażowały, niszczyły, to proceder z innej cywilizacji. I mogłoby się wydawać, że trudno o coś bardziej paskudnego. A jednak! Okazuje się, że PiS ma w portfolio coś jeszcze bardziej obrzydliwego – atak na lekarzy.

22 sierpnia 2007 r. Żandarmeria Wojskowa i funkcjonariusze CBA zatrzymali prof. gen. Jana Podgórskiego. Dzień później, podczas konferencji prasowej, ówczesny szef CBA Mariusz Kamiński mówił o nim tak: „Generał Jan P. organizował najgroźniejszym przestępcom w Polsce dokumentację medyczną, którą się posługiwali”.

Temistokles Brodowski, rzecznik CBA, napisał na stronie internetowej biura: „Jan P., począwszy od 1998 r., przez kolejne lata w zamian za łapówki miał dopuszczać się przestępstw korupcyjnych”. Minister obrony Aleksander Szczygło wyrzucił zaś profesora z wojska. Tak potraktowano wybitnego neurochirurga.

Sprawa prof. Podgórskiego rozpoczęła się, gdy do Zbigniewa

Ziobry, ówczesnego ministra sprawiedliwości, trafił anonim opisujący w paszkwilancki sposób szpital na Szaserów. Prokuratura i CBA zaczęły wtedy zbierać na Podgórskiego kompromitujące materiały. Dlaczego na niego? Może dlatego, że udzielał się społecznie w Fundacji Jolanty Kwaśniewskiej Porozumienie Bez Barrier?

Zaraz po zatrzymaniu prof. Podgórskiego prokurator złożył do sądu wniosek o jego tymczasowe aresztowanie. Wniosek ten rozpatrywał sędzia ppłk Leszek Hołubowicz, a nie jakiś cywilny asesor. I uznał, nie ulegając kampanii nakręcaniej przez

usłużne media, że nie ma potrzeby stosowania tego środka.

Gdyby uległ, Podgórski spędziłby miesiące za kratkami. Ostatecznie akt oskarżenia, który wyprodukowała przeciw niemu prokuratura, opierał się na zeznaniach dwóch osób. Pierwszą był płk J., który twierdził, że dwukrotnie zapłacił profesorowi po 300 zł za konsultacje medyczne. W sądzie J. ze wszystkiego się wycofał, mówiąc, że do obciążenia prof. Podgórskiego zmuszono go szantażem.

Drugim oskarżającym był kryminalista Jarosław R., który rzekomo wręczył profesorowi 3 tys. zł. W zamian za oskarżenie Podgórskiego zo-

stał zwolniony z więzienia – ale gdy tylko wyszedł na wolność, natychmiast zniknął. Nie miał więc okazji powtórzyć oskarżeń przed sądem, a szkoda. Bo w prokuraturze mówił m.in., że Podgórski wziął od niego pieniądze w zamian za przyjęcie do kliniki neurochirurgii. Sęk w tym, że nigdy w niej nie leżał, co dość łatwo można było sprawdzić w dokumentacji medycznej. Ale prokuratorowi widocznie się nie chciało.

Trzecim zarzutem było to, że profesor załatwił fałszywe zaświadczenie Andrzejowi Z., „Słowikowi”. Tymczasem już w pierwszej instancji okazało się, że lekarz badał „Słowika” oficjalnie, za zgodą władz więzienia, inni specjaliści potwierdzili jego diagnozę i gangster był operowany. A co najważniejsze, jak udowodniono w sądzie, zaświadczenie profesora nie miało znaczenia dla postępowania wobec Andrzeja Z.

Trzeba było niemal czterech lat i 17 rozpraw, by obalić tak podłe zarzuty. W tym czasie mogliśmy poznać działania CBA od kuchni. Dowiedzieliśmy się, że funkcjonariusze tej służby szantażowali świadków, zmuszając ich do obciążania prof. Podgórskiego, i że jeździli po więzieniach, szukając chętnych do roli oskarżycieli. Tak wyglądała IV RP.

Bururu

Jest jeszcze inna opowieść o Kamińskim i Wąsiku, i o akcji CBA, która tym razem nawet się nie rozpoczęła. Jej autorami są Jakub Rudnicki, były zastępca dyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami w Urzędzie m.st. Warszawy, czyli cel numer 1 w aferze reprivatyzacyjnej, oraz jego brat Marcin.

Jakub swoją historię opisał w grepsie przestany z aresztu śledczego, a Marcin ją dopowiedział w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. Okazuje się bowiem, że od lat przyjaźnił się z Kamińskim i Wąsikiem. Tego drugiego zna ponad 30 lat. „Był czas, że piliśmy co tydzień”, mówił. Ta przyjaźń zaowocowała pewnym spotkaniem. Miało ono miejsce w nieistniejącym już pubie Bururu, którego Marcin Rudnicki był współwłaścicielem. „To właśnie w Bururu Wąsik i Kamiński przedstawili mojemu bratu Marcina Bajkę, ówczesnego szefa Biura Gospodarki Nieruchomościami. Brat szukał pra- ▶



...albo przy papierosku na sejmowym dziedzińcu. Lipiec 2013 r., za pięć miesięcy Kaczmarek zostanie zawieszony w prawach członka klubu PiS po ujawnieniu nagrań rozmowy, w której miał grozić pobiciem mężowi swojej partnerki.

cy, Bajko obiecał ją załatwić”. W ten sposób Jakub, prawnik, urzędnik MSZ na urlopie bezpłatnym, pracujący w kancelarii swojej matki, trafił do urzędu miasta. Zatrudniał go Mirosław Kochalski, ówczesny pisowski komisarz miasta. Rudnicki najpierw był p.o. zastępcą dyrektora BGN, a od lata 2006 r. już pełnym zastępcą.

Hanna Gronkiewicz-Waltz po wygranych w Warszawie wyborach nie zmieniła dyrektorów BGN. Zostawiła biuro w rękach znajomych Wąsika i Kamińskiego. A oni, jak podaje „GW”, potraktowali pomoc w załatwieniu pracy jako rodzaj zobowiązania. Mówi o tym Marcin Rudnicki: „Bejda przyszedł do mojego brata jako wiceszefa BGN z prośbą o pomoc z działką przy ul. Srebrnej, gdzie PiS ma nieruchomość. Chodziło o jakieś

mu złożyć w imieniu kierownictwa PiS propozycję wyszukiwania roszczeń dla kancelarii, która potem odzyskiwałaby nieruchomości, a pieniądze zasilatyby konta PiS. „Ponieważ ja byłem odpowiedzialny za wydawanie decyzji z dekretu warszawskiego, jak się wyraził, byłem u źródła i nie można było sobie wyobrazić lepszych okoliczności”, pisał Rudnicki.

Z listu wynika, że miała to być „działalność systemowa, a nie pojedynczy strzał”. I że związana z PiS kancelaria miałyby się stać dominującą na rynku. Innymi słowy, jeśli wierzyć Jakubowi Rudnickiemu, PiS nie tylko nie zamierzało w tamtym czasie hamować dzikiej reprivatyzacji w Warszawie, ale jeszcze chciało w tym procederze uczestniczyć i na nim zarabiać.

tem? Potem było różnie. W 2017 r. wybuchła afra związana z Europejskim Centrum Wsparcia Społecznego Helper, którego Kaczmarek był prezesem. Stowarzyszenie dostało kilkadziesiąt milionów złotych z państwowej kasy. Helper prowadził sześć domów opieki na Warmii i Mazurach, również w Olsztynie. Sęk w tym, że gdy zaczęto przeświecać jego wydatki, nie dało się ich uznać za niezbędne do pomagania chorym.

Ostatecznie Prokuratura Regionalna w Białymstoku postawiła Kaczmarkowi sześć zarzutów, w tym udziału w zorganizowanej grupie przestępczej i prania brudnych pieniędzy.

Aby pozostać na wolności, były poseł PiS miał wpłacić 500 tys. zł poręczenia majątkowego. Dostał po-

Operacja „Krystyna” to niejedyna skandaliczna operacja służb specjalnych, którą Kamiński i Wąsik kierowali. Podobny charakter miała operacja przeciwko Lepperowi.

przekształcenia. Był rok 2009 albo 2010. Brat, gdy już był aresztowany, powiedział mi: »Gdybym wtedy im pomógł, to nie byłbym dzisiaj w takiej sytuacji«.

W liście Jakub Rudnicki opisuje jeszcze inne historie. W czasach pierwszego rządu PiS, w latach 2005-2007, szefowie CBA zaproponowali mu rolę tajnego współpracownika, który miał pomóc w wykryciu korupcji w ekipie PO i Hanny Gronkiewicz-Waltz. „Chodziło o prowadzenie przeze mnie rodzaju gry operacyjnej, której początkiem miało być wytypowanie (znalezienie) poprzez aktywne działania z mojej strony tzw. figuranta, czyli osoby, która dzięki moim zabiegom miała mieć do załatwienia konkretną sprawę w BGN”. Tym figurantem miał być ktoś z otoczenia Hanny Gronkiewicz-Waltz, najchętniej z legitymacją PO. Jakub Rudnicki miał otrzymać pomoc od CBA – sprzęt do nagrywania i trzech agentów do współpracy. Chodziło o skompromitowanie członków PO w kontekście działań korupcyjnych przed wyborami samorządowymi 2010 r. Ostatecznie plan się nie powiódł, bo Kamiński został w 2009 r. zdymisjonowany przez Donalda Tuska.

Dwa lata później doszło do kolejnego spotkania Wąsika z Jakubem Rudnickim. Wąsik, wówczas szef klubu radnych PiS w Warszawie, miał

A Kamiński i Wąsik byli gotowi rozciągnąć parasol ochronny nad pracującymi tam urzędnikami – byle tylko donosili przeciwko ludziom Hanny Gronkiewicz-Waltz i PO.

Człowiek roku

A co z agentem Tomkiem? Po akcji z „willą Kwaśniewskich”, a także po innych, z posłanką Beatą Sawicką i z Weroniką Marcuk, był przez prawicowe media fetowany. W 2009 r. został człowiekiem roku „Gazety Polskiej”. „Nie zważając na polityczną i medialną nagonkę, łapał przestępców z najwyższej półki politycznej, nawet wśród tzw. celebrytów. Skutecznie złamał tabu, które zakazywało interesowania się przez organa ścigania osobami z tzw. salonu” – to fragment laudacji.

Popularność zaowocowała też innymi sukcesami. W prasie plotkarskiej mogliśmy przeczytać, że spotyka się i mieszka z wiceszefową „Gazety Polskiej”, Katarzyną Hejke. „Wygląda na to, że niesforne Tomek postanowił się usatkwować i spoważnić. Zakończył związek na odległość z Polką mieszkającą w Brazylii. (...) Zamiast tego woli rozkoszować się sielskim spokojem w podwarszawskim domu nowej partnerki”, pisał tygodnik „Na Żywo”.

W roku 2011 Tomasz Kaczmarek dostał się do Sejmu z listy PiS. A po-

licyjny dozór i zakaz opuszczania kraju. On sam twierdzi, że jest ofiarą nagonki PiS.

Czy więc jego ostatnie zeznania nie są próbą obrony? Uznajmy, że są. Tylko jakie to ma znaczenie? Skruszony gangster „Masa” też nie był wzorem uczciwości, ale jego zeznania bardzo wymiarowi sprawiedliwości pomogły. Może zatem w ten sposób warto podejść do tego, co mówi dziś agent Tomek?

Jeżeli przeanalizujemy jego słowa, okaże się, że nie mówi zbyt wiele. Oczywiście przedstawiany przez niego opis państwa, które poluje na swoich obywateli i w którym najwyżsi urzędnicy *de facto* zlecają przestępcze działania, szokuje. Ale trudno nie odnieść wrażenia, że Kaczmarek wszystkiego nie powiedział. Że w zanadrzu trzyma inne sprawy, które mogą ostatecznie zatopić Kamińskiego i Wąsika, a może również ich mocodawcę. Że jego dotychczasowe zeznania to rodzaj pytania: czy mam mówić więcej?

Tak jakby z jednej strony wiedział, że tylko światło jupiterów zapewni mu bezpieczeństwo, a z drugiej – jakby składał rządzącym ofertę. A obserwując losy Mariana Banasia, już wie, że z PiS można grać ostro. I że to się opłaca. Ponura konstatacja.

Robert Walenciak

Spowiedź skruszonego agenta

Na podstawie zeznań agenta Tomka prokuratorzy powinni już wszcząć postępowanie przeciwko Kamińskiemu i Wąsikowi

Rozmawia Robert Walenciak

Wielkie zaskoczenie – Tomasz Kaczmarek, czyli agent Tomek, mówi, że sprawa rzekomej willi Kwaśniewskich w Kazimierzu Dolnym była „dmuchana”, wycofuje się z oskarżeń i przeprosza prezydenta.

– Sprawa willi w Kazimierzu Dolnym od początku miała podtekst polityczny. A jej powtórne wszczęcie w roku 2016? Tu przecież chodzi o to, żeby cały czas Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy mieli świadomość, że coś wokół nich się toczy. Nigdy nie zostali oficjalnie powiadomieni o śledztwie, za to co jakiś czas prawicowe media pisały sążniste artykuły na ten temat. Po co?

Pan był w roku 2014 w Sejmie, kiedy głosowano nad immunitetem Mariusza Kamińskiego? Wtedy prokuratura uważała, że przekroczył w sprawie willi uprawnienia, postawiła mu 39 zarzutów.

– Tak! Byłem na sali sejmowej, byłem przecież posłem, pamiętam to wszystko. Aż mnie nosiło, jak słyszałem, co mówi Mariusz Kamiński. To było w tajnej części posiedzenia Sejmu, nie została ona nigdy odtajniona, więc nie mogę powiedzieć, jak było. Natomiast mogę się wypowiadać co do wrażeń – otóż miałem wówczas wrażenie, że Mariusz Kamiński odwoływał się do sfery

Kamiński przekonał wielu posłów PO, a nawet kilku SLD, żeby się wstrzymali od głosowania czy głosowali przeciwko uchynieniu immunitetu.

emocjonalnej, że trzeba walczyć ze starym układem. A materiał dowodowy przedstawiał w taki sposób, żeby samemu dobrze się zaprezentować. I przekonał wielu posłów Platformy, a nawet kilku SLD – żeby się wstrzymali od głosowania czy nawet głosowali przeciwko uchynieniu immunitetu.



RYSZARD KALISZ

– adwokat, poseł na Sejm IV, V, VI i VII kadencji (2001-2015), w latach 1998-2000 szef Kancelarii Prezydenta RP, w latach 2004-2005 minister spraw wewnętrznych i administracji.

Kamiński tak dobrze to przedstawił?

– W sensie sposobu mówienia, interpretowania niektórych spraw. Mówił wtedy sugestywnie, ale nie w kategoriach dowodowych.

Jeżeli więc przeanalizuje się na zimno to, co on przedstawiał...

– ...to nie ma nic. Żadnych dowodów. Jeżeli nawet potraktowałbyśmy to, co Józef Oleksy powiedział u Gudzwatego, jako poszlakę...

Otóż poszlaka to taka malutka przesłanka. I należy stworzyć cały logiczny ciąg poszlak, który może, przy bardzo dużych warunkach brzegowych, stanowić dowód. Ale Józef Oleksy ze swoich słów się wycofał.

A ta willa?

– Ten dom należał do Marysi J., która była przez pewien czas part-

nerką jednego z naszych przyjaciół. I duża część wspólnych znajomych tam przyjeżdżała. Bywali też państwo Kwaśniewscy. Później Marysia miała kłopoty finansowe, dwie córki poważnie chore, i Marek Michałowski, inny nasz znajomy, postanowił kupić ten dom. To jest cała filozofia.

Tak mówi teraz Tomasz Kaczmarek. I że cała operacja z lat 2007-2009, prowadzona pod kryptonimem „Krystyna”, toczyła się, mimo że on uprzedzał zwierzchników, że ich podejrzenia się nie potwierdzają. Ale oni na niego naciskali.

– Tak naciskali, że doszło do prowokacji policyjnej, agent Tomek kupił tę willę, licząc, że pieniądze trafią do Jolanty Kwaśniewskiej.

Ale nie trafiły.

– Prowokacja policyjna może nastąpić tylko wtedy, kiedy są już dowody dotyczące popełnienia przestępstwa i trzeba zdobyć kolejne. Ale prowokacja policyjna nie może polegać na podżeganiu do przestępstwa! A tutaj mieliśmy sytuację najbardziej chorą z chorych. Agent Kaczmarek w programie „Superwizjer” powiedział, że ówczesni szefowie CBA kazali mu tworzyć notatki. W przeciwieństwie do nagrań, filmów, które oczywiście też można zmanipulować, notatki są wytworem tego, kto je pisze. One nie muszą oddawać rzeczywistości.

► W notatkach z tamtego czasu agent Tomek pisał, że jego rozmówcy mówią, że to jest willa Kwaśniewskich.

– Teraz ich za to przeprasza. Mówi, że włożył im te słowa w usta, że miał zupełnie inne wrażenie, tylko szefowie kazali mu tak pisać. Poza tym dla osób, które wiedzą, na czym polegają czynności operacyjno-rozpoznawcze, tego rodzaju notatki nie są żadnym dowodem. To za mało.

Na razie mamy do czynienia ze starą pisowską metodą, czyli udawaniem, że nic się nie stało.

Tymczasem one wystarczyły, stanowiły podstawę do przeprowadzenia prowokacji policyjnej. Czyli operacji pod przykryciem agenta Tomka.

Wynika z tego, że szefowie CBA mówili agentowi Tomkowi, jakie ma pisać notatki, a potem, na podstawie tych notatek, uznając je za dowód w sprawie, choć wiedzieli, jak powstawały, uruchamiali przeciw Kwaśniewskiemu całą machinę tajnych służb – podsłuchy, agenturę, a w końcu operację specjalną.

– Żadni funkcjonariusze państwa, a w szczególności szef czy wiceszef służby specjalnej, nie mogą zlecać tworzenia i fabrykowania dowodów.

Czyli teraz agent Tomek swoimi zeznaniami może dawnym szefom narobić kłopotów.

– Już narobił! Bo to się przedostało do opinii publicznej. Na razie mamy do czynienia ze starą pisowską metodą, czyli udawaniem, że nic się nie stało. Ale to będzie miało konsekwencje.

De facto oskarża ich?

– Oskarża. I prokuratura, gdyby chciała działać zgodnie z zasadami, powinna wszcząć postępowanie w sprawie przekroczenia uprawnień. Już pomijam, że to postępowanie zostało kiedyś wszczęte. Temu poświęcone było posiedzenie Sejmu i głosowanie nad uchynieniem immunitetu Mariuszowi Kamińskiemu. Ale mamy nowy dowód! Tym nowym dowodem jest to, co mówi Tomasz Kaczmarek. I nawet nie trzeba go wzywać – bo już to powiedział, w swobodnej wypowiedzi, w prokuraturze, w grudniu 2019 r. Na podstawie tych zeznań prokuratorzy powinni już wszcząć postępowanie o przekroczenie uprawnień i fabrykowanie dowodów.

Nie robią tego.

– Też tak myślę. Ta władza działa instrumentalnie, z powodów politycznych.

A jeżeli władza by się zmieniła?

Wtedy zmieniłaby się sytuacja.

– To prawda.

Czyli nie trzeba dawać agentowi Tomkowi statusu świadka koronnego.

– Po co? On już swoje powiedział.

Ale może w innych sprawach ma coś do powiedzenia? Widział wiele.

– Myślę, że ma.

A te zeznania nie dotyczą spraw przedawnionych?

– To zależy, jak je będziemy kwalifikować. Jaki ewentualny akt oskarżenia przygotowuje prokuratura.

Tomasz Kaczmarek staje się głównym świadkiem oskarżenia. Ale jedna osoba to chyba za mało.

Działania Kamińskiego to klasyczny przykład nękania ludzi.

– W postępowaniu dzisiejszej prokuratury, czy prokuratury pisowskiej poprzednio, często niestety jednoosobowe pomówienia wystarczają do sporządzenia aktu oskarżenia. Ja uważam, że słowa jednej osoby to za mało. Że to musi być obudowane innymi, bardzo kategorycznymi dowodami.

Czyli same zeznania Kaczmarka to byłoby za mało. Ale on wie, kto jeszcze wie. Wie, jakie mogą być dowody i gdzie ich szukać.

– Tak, poza tym, jak wspomnieliśmy, mówi, że w sprawie willi w Kacimierzu Dolnym były tylko notatki.

Zarówno podczas pierwszego postępowania, jak i tego wznowionego w 2016 r., Kwaśniewscy nie zostali ani razu przesłuchani.

A na pewno notatka nie może służyć jako podstawa wniosku o prowokację policyjną. Jeżeli na podstawie notatek, do tego o treści nieoddającej rzeczywistości, występowano z wnioskiem, twierdząc, że coś jest jeszcze w zanadru, to też było przestępstwem. Wprowadzano w błąd organy państwa.

Ówczesny minister sprawiedliwości Andrzej Czumę mówił w Radiu Zet, że Kamiński przyszedł do niego z wnioskiem o aresztowanie Jolanty Kwaśniewskiej.

– I dodawał, że Kamiński ma nieskoordynowane pomysły. Te i inne działania to klasyczny przykład nękania ludzi. Niezwykle ważne jest, że zarówno podczas pierwszego postępowania, jak i tego wznowionego w 2016 r., powierzonego prokuraturze katowickiej, Kwaśniewscy nie zostali ani razu przesłuchani, ani razu wezwani do prokuratury. Są normalnymi obywatelami RP, wobec nich toczy się postępowanie, a oni, formalnie rzecz biorąc, nie mają o tym pojęcia. Postawmy się w innej roli – że toczą się takie postępowania, o których nie piszą media, i inni obywatele w ogóle o tym nie wiedzą. A wokół nich rozpostarta jest cała otoczka różnego rodzaju niedomówień, pomówień, jakichś czynności operacyjno-rozpoznawczych. Przecież tam, do tych Katowic, ciągle są wzywani świadkowie.

A czy tę sprawę można drażyć? W sprawie śmierci Barbary Blidy mieliśmy na samym dole narady prokuratorów, a potem okazało się, że szła ona wyżej, poprzez narady w Ministerstwie Sprawiedliwości, aż po narady w kancelarii premiera, z jego udziałem.

– Oczywiście, że można! Moim zdaniem prokuratura katowicka, która wszczęła postępowanie w sprawie fałszywych zeznań agenta Tomka, powinna też wszcząć postępowanie w zakresie treści zeznań, które teraz złożył. On przecież wyraźnie powiedział, że był przez swoich szefów nakłaniany do fabrykowania dowodów.

A oni też mieli swoich szefów bądź szefa...

– Trzeba to sprawdzić! Pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić – to przesłuchać tych ludzi. Zebrać materiał dowodowy. Tu powinno już się toczyć normalne postępowanie.

Robert Walenciak

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

Bylży premier Ukrainy Jaczeniuk oświadczył w czasie swego premierowania, że „w latach 1944-1945 Związek Sowiecki napadł na Ukrainę i Niemcy”. Ta wypowiedź została odnotowana, ale żywszej reakcji nie wywołała. Polityka historyczna na Ukrainie i w Polsce już była przygotowana do asymilowania takich rewelacji. Dziś w Polsce to ci, którzy podważają tę prawdę, muszą się tłumaczyć. Polityka historyczna w Polsce i w sąsiednich krajach sprzymierzonych poczyniła dalsze postępy w odkrywaniu prawdy. Pod usilnym wpływem Polski i mocarstw nadbałtyckich, wśród których rej wodzi Litwa, Parlament Europejski uchwalił, że niezapomniany pakt Ribbentrop-Mołotow był przyczyną wybuchu II wojny światowej. Przyjmując tak samo luźne kryterium prawdy, prezydent Rosji zasugerował – bo stanowczego stwierdzenia nie było

5 NATO zapewnia im bezpieczeństwo i wywołać wojnę Ameryka-Rosja może zwykły zawiadowca granicznej stacji kolejowej. Zabójca arcyksięcia w Sarajewie nie potrzebował nawet być zawiadowcą stacji.

Bronisław Komorowski, gdy był prezydentem, postanowił wypromować Polskę na forum międzynarodowym jako naród, który pierwszy przeciwstawił się zbrojnie Niemcom i w ten sposób dał początek II wojnie światowej, co zdaniem Komorowskiego było bardzo chwalebne. Innego zdania był Cat-Mackiewicz – i wielu innych – który twierdził, że każde państwo mądrze rządzone stara się wszystkimi sposobami nie być pierwszym uczestnikiem wojny. Anglicy postarali się wmanewrować Polskę w rolę prymusa wojny, a sami z przystąpieniem do wojny zwlekali, z ważnych zresztą powodów. Pisał Mackiewicz:

Mrok

– że Polska przyczyniła się do wybuchu tej wojny. Rosjanie podobno mają wiele talentów, ale z pewnością brakuje im talentu do propagandy. (W sprawie Krymu z kręgów kremlowskich niczego przekonującego się nie słyszy, przemawiającą do rozumu argumentację rozwinął Giscard d'Estaing, daleki powinowaty księcia Richelieu, gubernatora Krymu z czasów Aleksandra I). Kreatywny w swojej polityce historycznej Parlament Europejski, chcąc popsuć Rosjanom święto 9 Maja, zapewne uchwali, że Związek Radziecki nie wygrał wojny z Niemcami, przeciwnie, przegrał ją i nie ma już przeszkód, aby powołać trybunał norymberski dla osądzenia następców Stalina w prostej linii. Jeden z nich, mianowicie Gorbaczow, jeszcze żyje.

Starożytni Grecy byli najmądrzejszym narodem, jaki kiedykolwiek zamieszkiwał Europę. Wprowadzili oni u siebie prawo, że po zakończeniu wojny wszystkie zbrodnie i okrucieństwa popełnione przez wrogów mają być pusczone w niepamięć, kto je wypomina, popełnia przestępstwo. Tylko ludy barbarzyńskie nie rozróżniają czasu wojny od czasu pokoju. Jednak i najkulturalniejsze państwa helleńskie w pewnych okolicznościach sięgały po politykę historyczną. Gdy pokoju nie dało się utrzymać i przygotowywano się do nowej wojny, przypomniano sobie takie dawne zbrodnie jak profanacja jakiejś świątyni lub posągu bogini. Wtedy nic już nie hamowało nienawiści potrzebnej do wywołania wojny. Z tych polityk historycznych, które teraz dewastują kulturę polityczną Polski, Ukrainy czy Litwy, można by się wyśmiać, gdyby nie obawa, że są one przygotowaniem do wojny. Nie swojej, lecz amerykańskiej. Można wziąć pod uwagę inną możliwość: Raymond Aron rozważał sytuację, gdy państwa satelickie i protektoraty z własnej woli prą do wojny, a panujące nad nimi supermocarstwo w poczuciu odpowiedzialności musi je powstrzymać i nie dać się wciągnąć w nieprzewidywalną awanturę. Jednak czasami może dać się wciągnąć. Pewien znany dziennikarz angielski pouczał Litwinów, jakie oni mają atuty w rękawie, gdy chodzi o wywołanie wojny: artykuł

„Obowiązkiem władz wojskowych polskich było zażądać od dyplomacji polskiej uczynienia wszystkich starań, aby (...) odroczyć datę wstąpienia Polski do wojny”.

W polemologii (nauce o wojnie) jest szkoła, która twierdzi, że wojnę wywołuje ta strona, która się broni. Nie było wojny o Czechosłowację, ponieważ Czesi się nie bronili (i przeżyli wojnę z małymi stratami). Polska, ku zadowoleniu Bronisława Komorowskiego i wszystkich innych z obozu solidarnościowego, broniła się zbrojnie i poniosła straty jak nigdy w historii, materialnie wynagrodzone przez Stalina Wrocławiem, Szczecinem i Gdańskiem. Ale to, co pozytywne, materialne i mierzalne, dla potomstwa solidarnościowego się nie liczy. Liczą się tylko słowa źle zapamiętane i one mogą wywołać w narodzie stan powszechnej mobilizacji – „Wszystkie ręce na pokład”, woła Donald Tusk.

„Putin przejmuje kontrolę nad narracją o wojnie” – o czym tu mowa? O słowach, a brzmi, jakby hufce rakietowe wkraczały do Polski. Podobno Sejm uchwalił coś w sprawie słów Putina. Podobno każdy patriota jest zobowiązany walczyć z Putinem, wielu już walczy. Zastanawiam się, jak ja mogę walczyć z Putinem, ale tak naprawdę, żeby on się przestraszył, żeby odczuł, że ja z nim walczę – żeby stracił rezon, zawstydzil się i rozplakał. Setki agencji czarnego PR-u walczą z Putinem, co ja z jedną stroną felietonu mogę do tego dodać? Nie masz w tej Polsce kochanej nic, tylko Putin. Putin Putinem jedzie i Putinem pogania. Skierujesz wzrok w stronę świętych miejsc Jerozolimy i tam Putin – według polskiej prasy – wygłasza „wredne i kłamliwe swoje przemówienie”.

Również SLD popadł w „śmierć mózgową” i w temacie Putina przyłącza się do PiS i PO.



Reforma bez końca i celu

Dekomunizacja? Rozliczenie sędziów? Demokratyczna kontrola?
Nie wiadomo już, o co chodzi w reformie sądownictwa.
Ale ten chaos władzy służy

Jakub Dymek

It's not a bug, it's a feature – mawiają programiści. Znaczy to, że coś nie jest błędem systemu, ale umyślnie tak zostało zaprogramowane – nawet gdy wydaje się dziełem przypadku, amatorszczyzną czy błędem warsztatowym. Ów pozorny błąd bądź fuszerka zostały stworzone celowo. Tak właśnie jest z procesem „reformy” polskiego wymiaru sprawiedliwości, który piąty już rok i kolejną kadencję wdraża rząd Zjednoczonej Prawicy.

PiS i jego koalicjanci nie są wyjątkiem nieudolności, niekompetentni. Przeciwnie! Można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że zadanie, którego się podjęli (tu na laury zasługują dziś szczególnie młodzi współpracownicy i wiceministrowie w resorcie Zbigniewa Ziobry) wyko-

nują sumiennie i sprawnie. Po prostu reforma wymiaru sprawiedliwości ma wyglądać, jak wygląda: zawiłe, skomplikowanie, rozwlekle. Ma powodować inflację ustaw i prawa. Nowelizacje, poprawki do poprawek, orzeczenia i wyroki piętrzą się jak kolejne warstwy geologiczne, skrywając to, co legło u podstaw dzisiejszego zamieszania. I, jak sądzę, nie jest to przypadkiem ani wynikiem niekompetencji.

Pożytek z chaosu

Gdyby proces reformowania wymiaru sprawiedliwości przebiegał w sposób przejrzysty, a tempo proponowania, procedowania i wprowadzania w życie kolejnych ustaw było normalne, przeciwnikom rewolucji kadrowej w sądach i podporządkowania procesu wyboru sędziów większości parlamentarnej

łatwiej byłoby protestować. Gdyby na analizę poszczególnych rozwiązań był czas, a propagandowa ofensywa wymierzona w środowisko sędziowskie zdolna była momentami się zatrzymać – inaczej wyglądałaby postawa opozycji, i tej parlamentarnej, i obywatelskiej. Gdyby gdzieś znalazła się przestrzeń na racjonalną rozmowę o założeniach i celu poszczególnych zmian, na wyłożenie stanowisk różnych grup interesu, społeczeństwo jako takie, odbiorcy i odbiorczynie mediów – wszyscy byłibyśmy lepiej poinformowani. A tego rządzący nie chcą.

W obecnym chaosie, gdy coraz mniejsze grono osób jest w stanie śledzić kolejne zmiany, treść wyroków i orzeczeń czy to Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, czy Sądu Najwyższego w Warszawie, na placu boju zostają nieliczni. „Słońce to najlepszy antyseptyk”, brzmi

Uchwały połączonych izb Sądu Najwyższego uzyskują moc zasad prawnych. Bezpośrednio wiążą jedynie SN, dla sądów powszechnych stanowią wskazówkę, jak interpretować i stosować prawo.

legendarny już dziś *bon mot* przypisywany sędziemu Louisowi Brandeisowi, który zasiadał w amerykańskim Sądzie Najwyższym na początku XX w. – gdy rodziły się nowoczesne totalitaryzmy, a skorpumpowany kapitalizm podkopywał

politycznej? Osoby przywiązane do takiej czy innej wizji praworządności bądź porządku demokratycznego nie bez podstaw zadają sobie dziś takie pytania – i nie zawsze znajdują odpowiedzi.

Oczywiście, że na tym polu – gdy opuszczają je lub zostaną z niego wypchnięci eksperci i uczciwi polemisci – rozsiądą się natychmiast propagandyści, hucpiarze, demagodzy i posłuszni dostawcy rządowych komunikatów, chwilowo w kostiumach dziennikarzy. A nie ma się co łudzić:

Sędziów musi zboleć. Mają zostać upokorzeni, zastraszeni, złamani.

demokrację od wewnątrz. Brandeisowi chodziło o to, że gdy o pewnych rzeczach dyskutuje się jawnie, a decyzje są podejmowane na zasadach zrozumiałych dla wszystkich, nie za zamkniętymi drzwiami – trudniej o oszustwa. Aktualna sytuacja w Polsce (z odmową ujawnienia list poparcia do nowej Krajowej Rady Sądownictwa, zaprzysięganiem sędziów w nocy i anonimowymi autorami ekspertyz prawnych dla władzy) stanowi doskonałą ilustrację trafności powiedzenia Brandeisa.

Pod koniec stycznia 2020 r. bezradni stają się już powoli prawnicy, konstytucjoniści, dziennikarze czy działaczk. Choć nie wszyscy – nieustrudzony prof. Marcin Matczak, prof. Ewa Łętowska czy rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar znajdują zawsze czas i sposób, by spróbować wyjaśnić zawiłości, zagrożenia i kłopoty związane z obecną sytuacją. Ale to coraz częściej chlubne wyjątki. Nawet osoby z zawodowego obowiązku zainteresowane sprawami ustrojowymi w Polsce, czasem wymiękają, mówiąc kolokwialnie, wobec mnóstwa stanowisk prawnych, jakie trzeba poznać, i ciągle zmieniającego się stanu gry w sporze rządu w Warszawie z instytucjami europejskimi.

Jak w ogóle prowadzić merytoryczną dyskusję z oponentem, który zwolnił się z obowiązku argumentowania, uzasadniania swoich stanowisk, a nawet uznawania sądowych orzeczeń? Jak powoływać się na prawo albo zasady demokracji, gdy władza legislacyjna i wykonawcza, które to prawo stanowią i realizują, i tak uważają je za wtórne, a czasem zupełnie zbędne wobec nagiej siły

partyjny przekaz dnia na temat tego, co należy mówić i jaką to nową narrację o sądach nieść w świat, płynnie w SMS-ach do wykonawców planu prezesa codziennie.

Zaczęło się niewinnie

Z dzisiejszej perspektywy sielankowo wręcz wygląda sytuacja z czasów sporu o Trybunał Konstytucyjny na przełomie 2015 i 2016 r. Zgromadzeni tłumnie na pierwszej demonstracji przeciwko zmianom w sądownictwie, którzy przemasz-

wymiaru sprawiedliwości: Sąd Najwyższy, prokuraturę, sądy powszechne, oszczędzono chyba tylko Trybunał Stanu.

Co więcej, okazało się, że nie tylko proces reformy, ale i jej cele i motywacje za nią stojące są dość płynne i podlegają reinterpretacji pod partyjne dyktando. Najpierw chodziło przecież o to, by „naprawić” wady prawne wyboru sędziów przez PO, potem – by przywrócić „demokratyczną kontrolę”, wreszcie – by je „zdekomunizować”. Szczególnie ten ostatni argument jest odporny na krytykę, bo wraca raz po raz i mutuje, przybierając coraz dziwniejsze formy. Gdy bowiem okazało się, że średnia wieku sędziego w Polsce wynosi poniżej 40 lat – więc „za komuny” ów sędzia miał lat 10 – a z ponad setki sędziów Sądu Najwyższego czynnych w stanie wojennym było raptem troje, władza nie ograniczyła stosowania argumentu „antykomunistycznego”, lecz go zaostriżyła. Dziś posłowie PiS i europarlamentarzyści sięgają sfery metafizycznej, przekonując i w Warszawie, i w Strasburgu, że to „duch stalinowskich oprawców” rządzi polskimi sądami, nawet jeśli orzekają w nich trzydziestokilkulatkwie.

Dziś – mimo prawie pięciu lat reform! – chodzi już tylko o to, aby reformować dalej.

rowali spod siedziby Trybunału Konstytucyjnego pod Pałac Prezydencki na Krakowskim Przedmieściu, wiedzieli doskonale, o co chodzi i jakie są racje obu stron sporu kompetencyjnego. PiS chciało nominować pewnych sędziów do trybunału, a innych dla odmiany nie chciało uznać – co wówczas za naruszenie porządku prawnego uznawane było nie tylko przez opozycję, ale także przez większość osób zajmujących się naukowo prawem w Polsce, środowiska sędziowskie, akademickie i obywatelskie.

Od tamtego czasu wprowadzono sześć ustaw o Trybunale Konstytucyjnym, premier Beata Szydło postanowiła nie drukować wyroku TK w Dzienniku Ustaw, a w kolejnych latach władza – choć początkowo przecież poszło o trzy miejsca w sędziowskim składzie TK – „reformowała” w zasadzie każdą gałąź

Obok argumentu „antykomunistycznego” pojawił się też argument „kiefbasy” i „wiertarki”, gdy rząd za pośrednictwem „Wiadomości” TVP i kampanii billboardowej przekonywał, że sędziowie to pospolici przestępcy, których nikt nie rozlicza. Dziś z kolei coraz częściej argumentem ▶



▶ jest to, że sądy trzeba reformować, bo... sędziowie sprzeciwiają się reformie i powstaje chaos. Pełne koło – wiele osób na poważnie wypowiada ten absurdalny, przeczący logice, tautologiczny argument zupełnie na poważnie.

Podobnie jest z deklarowanymi celami reform – na początku całego procesu szło o to, żeby przejąć Trybunał Konstytucyjny. Potem, żeby przejąć lub sparaliżować również Sąd Najwyższy i uzyskać kontrolę

uczestników sporu i znużenia społecznego łatwiej będzie – pomimo braku akceptacji – utrzymać milczącą (dosłownie!) większość w apatii i pasywnej zgodzie na zachodzące zmiany. Także temu służy fałszywe budowanie symetrii – sędziowie nie lubią PiS, a PiS sędziów, więc niech już sami zajmą się sobą nawzajem. Każdy zgrzeszył, więc nikt nie jest bez winy itd. PiS nie byłoby pierwszą w historii władzą, która, chcąc jakąś sprawę załatwić, tak długo i uparcie

Z rozmów ze zwolennikami PiS i reformy wynika, że oni sami nie wiedzą, co ma być ostatecznym skutkiem tego procesu.

nad nominacją sędziów przez KRS. Dziś już – mimo prawie pięciu lat reform! – chodzi o to, aby reformować dalej. Dla samego reformowania. A z rozmów ze zwolennikami władzy PiS i ich podejścia do sądownictwa coraz jaśniej wynika, że oni sami nie wiedzą, co ma być ostatecznym skutkiem tego procesu. Czy sądy mają być sprawniejsze? „Zdekomunizowane”? Bardziej sprawiedliwe i wsłuchujące się w głos zwykłego człowieka? Jedno jest coraz bardziej oczywiste – reformowanie sądownictwa ma dla jego zwolenników, w tym tego najważniejszego, urzędującego przy Nowogrodzkiej, jeszcze inny cel. Powoli na pierwszy plan wysuwa się karzący wymiar całej reformy.

drąży, aż zmusi znużonych oponentów do poddania się, lub czeka, aż wszyscy zapomną, o co u zarania chodziło. W przypadku Polski roku 2020 mamy do czynienia z obiema tymi strategiami naraz. Nie było chyba przecież w historii III RP żadnej reformy, której wprowadzanie trwałoby dłużej niż całą kadencję – a PiS reformuje sądownictwo dalej, końca zaś nie widać.

Ja sam, dla zachowania higieny psychicznej, próbuję więc rozumieć ten spór już wyłącznie w jego praktycznym, politycznym, najbardziej brutalnym wymiarze. Odartym z propagandowych ozdóbek i bez złudnej wiary w to, że gdzieś istnieje jego merytoryczne jądro. Zadają

Gdy okazało się, że średnia wieku sędziego w Polsce wynosi poniżej 40 lat – władza jeszcze zaostrzyła argument „dekomunizacji”.

Sędziów musi zboleć. Sędziowie mają zostać upokorzeni, zastraszeni, złamani. Mają opuścić zawód, a na ich miejsce nowa KRS już wskaże właściwych. Sędziowie się buntują? Wprowadzamy Izbę Dyscyplinarną. Buntują się dalej? W życie wchodzi ustawa „kagańcowa”. Jeszcze nie przestają? Unieważniamy wyroki, nie stosujemy się do postanowień i sięgamy po repertuar miękkich i twardych środków nacisku.

Ultramaraton na zmęczenie przeciwnika

Dlatego chaos i szum informacyjny są niezbędne. W sytuacji zniechęcenia, nieufności do wszystkich

sobie pytanie, czy Jarosław Kaczyński powinien mieć pełną dowolność w kształtowaniu i kontrolowaniu systemu sprawiedliwości w Polsce – i wciąż, pomimo lat i komplikujących się materii prawnej, odpowiedź jest taka sama. I chyba tylko ten sposób mogę polecić równie jak ja znużonym czy bezradnym. Całkiem bezpiecznie można zaś się założyć, że z biegiem czasu wszystko wokół „reformy” wymiaru sprawiedliwości będzie się stawało mniej zrozumiałe, że prowokować będzie coraz gorsze emocje. Bo w rzeczywistości także o to, jeśli nie przede wszystkim o to, tu chodzi.

Jakub Dymek

Trybunał Konstytucyjny kierowany przez „towarzyskie odkrycie” Jarosława Kaczyńskiego, panią mgr Przyłębską, znaną z tego, że gotowanie zupki wychodzi jej nieporównanie lepiej niż działalność orzecznicza, ma rozpatrzyć zgodność z konstytucją uchwały połączonych izb Sądu Najwyższego. Z racji poznanych kompetencji pani prezes kierowana przez nią instytucja nazywana bywa złośliwie Trybunałem Kulinarnym.

Na początek kilka uwag porządkujących. Nie ma żadnego sporu kompetencyjnego między Sądem Najwyższym a Sejmem czy prezydentem, jak to wmawiają opinii publicznej politycy i propagandiści PiS. Sąd Najwyższy, wydając wspomnianą uchwałę, działał na podstawie Ustawy o Sądzie Najwyższym, wedle której jego pierwszym zadaniem jest „zapewnienie zgodności z prawem i jednolitości orzecznictwa sądów powszechnych i sądów wojskowych”. Do realizacji tego celu służy m.in. podejmowanie uchwał. Uchwały składu połączonych izb z mocy prawa uzyskują moc zasad prawnych. Nie stanowią one prawa powszechnie obowiązującego, bezpośrednio wiąże jedynie Sąd Najwyższy, a dla sądów powszechnych stanowią wskazówkę, jak mają interpretować i stosować prawo. Wiąza więc sądy powszechne (rejonowe, okręgowe czy apelacyjne) z jednej strony samym autorytetem gremium, które uchwałę powzięło, z drugiej zaś – informują te sądy, że gdy sprawa dojdzie w wyniku nadzwyczajnych środków odwoławczych (takich jak kasacja czy wznowienie postępowania) do rozstrzygnięcia w Sądzie Najwyższym, ten rozstrzygnie ją zgodnie z tą zasadą. Na zawartą w uchwale Sądu Najwyższego zasadę prawną mogą się powoływać także strony procesowe (oskarżyciel lub obrońca w procesie karnym, powód i pozwany w procesie cywilnym) zarówno w trakcie toczącego się postępowania, jak i w apelacjach od wyroków. Orzeczenie Sądu Najwyższego i wyrażony w nim pogląd nie mają mocy wiążącej dla sądu orzekającego w innej podobnej sprawie, ale na ogół są uwzględniane na zasadzie uznania autorytetu Sądu Najwyższego.

Wydając wspomnianą uchwałę, Sąd Najwyższy nie zmienił prawa, nie unieważnił żadnego z jego

Z Galicji



Jan Widacki

Czy w tym szaleństwie jest metoda, czy to już tylko czyste szaleństwo?

przepisów, nie ograniczył niczych uprawnień, w szczególności uprawnień Sejmu i prezydenta, powiedział jedynie, jak rozumie prawo i jak będzie je stosować.

W działalności orzeczniczej sądów powszechnych jednym z warunków ważności wyroku jest prawidłowa obsada sądu. Nie będzie ważny (z mocy prawa!) wyrok wydany przez sąd, jeśli w jego składzie zasiadał sędzia, którego sprawa dotyczy bezpośrednio, jest spokrewniony z którąś ze stron procesu, był w tej samej sprawie świadkiem, orzekał w tej sprawie w innej instancji itd. Kodeksy postępowania karnego i postępowania cywilnego enumeratywnie wyliczają takie przypadki. Taki sędzia wyłączony jest z orzekania w danej sprawie niejako z automatu. Nauka prawa nazywa go *iudex inhabilis* (sędzia nieakceptowalny). Ale procedury – i karna, i cywilna – znają jeszcze instytucję *iudex suspectus* (sędzia podejrzany). Podejrzany o to, że może nie być w tej sprawie bezstronny. Kodeks ujmując to tak: „Sędzia ulega wyłączeniu (z orzekania), jeżeli istnieje okoliczność tego rodzaju, że mogłaby wywołać uzasadnioną wątpliwość co do jego bezstronności w danej sprawie”. Musi to być inna okoliczność niż ta, która eliminuje sędziego z orzekania z automatu. Jeśli któraś ze stron procesowych podniesie zarzut, że istnieje wątpliwość, czy w danej sprawie sędzia jest bezstronny, i zażąda jego wyłączenia, inny sąd bada i ocenia, czy ta wątpliwość jest uzasadniona.

Może powstać wątpliwość, czy sędzia powołany na wniosek upolitycznionej Krajowej Rady Sądowniczej, w dodatku w niejasnym trybie (mimo wyroku sądu administracyjnego listy poparcia dla kandydatów wciąż są trzymane w tajemnicy), jest

bezstronny czy też zależny od polityków. I taką wątpliwość podejmie strona procesowa lub sąd odwoławczy kontrolujący prawidłowość orzeczenia sądu niższej instancji (tak jest w przypadku sędziego Juszczyszyna). Zdaniem Sądu Najwyższego, wyrażonym w uchwale, fakt powołania sędziego na wniosek neo-KRS stanowi „okoliczność tego rodzaju, że może wywołać uzasadnioną wątpliwość co do jego bezstronności w danej sprawie”. I takie stanowisko zajmie Sąd Najwyższy, ilekroć przyjdzie mu rozstrzygać tę kwestię. Tylko tyle i aż tyle.

Krystyna Pawłowicz jest typowym przykładem sędziego podejrzanego.

Nie bardzo wiem, co w tej sprawie miałby do badania Trybunał Konstytucyjny. Podstawowym jego zadaniem jest badanie zgodności ustaw z konstytucją. Co zatem ma badać w tej sprawie? Zgodność ustawy o Sądzie Najwyższym z konstytucją? Konstytucyjność uprawnień Sądu Najwyższego co do „zapewnienia zgodności z prawem i jednolitości orzecznictwa”, a może uprawnień do wydawania uchwał? A może konstytucyjność przepisów kodeksów postępowania karnego i cywilnego w zakresie *iudex suspectus*?

Średnio pojętny student II roku prawa wie, że to jakiś idiotyzm. Jednak Trybunał Konstytucyjny – bez żadnej podstawy prawnej – już zrobił coś niewyobrażalnego. „Wstrzymał obowiązywanie uchwały połączonych izb Sądu Najwyższego” do czasu wydania swojego orzeczenia. Prawo polskie nie zna instytucji „wstrzymania obowiązywania uchwały Sądu Najwyższego”,

Trybunał Konstytucyjny nie ma nic do orzecznictwa Sądu Najwyższego!

Jakby tego było mało, sędzią sprawozdawcą tej sprawy w trybunale ma być sędzia Pawłowicz. Pomijam już to, że osoba o manierach i mentalności niegdyśszej przekupy (dzisiejsze są bardziej kulturalne), bez elementarnego doświadczenia w orzekaniu, o wątpliwych kwalifikacjach prawniczych (przez kilkadziesiąt lat pracy naukowej nie udało jej się uzyskać tytułu profesorskiego). Dwa inne elementy są tu ważniejsze. Po pierwsze, obecna sędzia trybunału jeszcze niedawno jako posłanka PiS współtworzyła stan prawny, którego część jest przedmiotem uchwały Sądu Najwyższego, wobec czego jest tu typowym przykładem *iudex*

suspectus. Po drugie, znane jest stanowisko struktur europejskich wobec demolowania przez PiS wymiaru sprawiedliwości w Polsce, znany jest też stosunek pani Pawłowicz do Unii Europejskiej (przypomnę tylko, że flagę UE nazwała publicznie szmatą). Łatwo przewidzieć, że jej stanowisko w trybunale będzie wypadkową jej osobowości, kultury osobistej, umiejętności prawniczych, przywiązania do swojej partii i stosunku do Unii Europejskiej. Będziemy mieli za co się wstydzić przed cywilizowanym światem. Powierzenie właśnie jej funkcji sprawozdawcy w tej sprawie jest szyderstwem i wyzwaniem rzucanym całej myślącej części polskiej opinii publicznej, a także strukturom europejskim. Czy to już szaleństwo Jarosława Kaczyńskiego, który tak dalece w gniewie się zapamiętał, czy też celowe działanie, mające zaostriżyć jeszcze konflikt z Unią Europejską? To wszystko musi się skończyć tragicznie.

Dorsz a sprawa polska

10 lutego politycy będą świętować 100-lecie
zaślubin Polski z morzem.

Nasi rybacy nie mają czego świętować



Henryk Indyk do dzisiaj łowi na kupionym przez ojca w 1984 r. kutrze „Hel 23”.

Helena Leman

Henryk Indyk, rybak z Helu z prawie 40-letnim stażem, pokazuje specjalne zezwolenie połowowe. W tym roku na dorsza nie popłynię, bo zakaz jego połowu wprowadzony w lipcu 2019 r. Komisja Europejska przedłużyła do końca tego roku, wskazując, że odbudowa stada wschodniego może potrwać nawet do 2024 r. Łososia rybak może złowić 270 sztuk, na połowy śledzia i szprota, których nie prowadził nigdy, zezwolenia nie dostał, nie ma tzw. bazy historycznej.

– Dorsza będę mógł wyłowić jako tzw. przyłów, przy okazji połowów innej ryby, np. flądry, trochę powyżej tony, ale to jest nic! Za 270 sztuk łososia otrzymam 40-50 tys., nawet na ZUS nie wystarczy, a gdzie wypłaty, remonty, paliwo? Załoga mojego

kutra liczy pięć osób: trzech współwłaścicieli i dwóch załogantów. Żeby eksploatacja 17-metrowej jednostki się zwróciła, limit powinien wynosić 80 ton dorsza. Takich kwot nie było nigdy. Nie mówię, że zakaz połowów nie jest zasadny, dorsza rzeczywiście w Bałtyku nie ma. Wielu innych rybaków jest w podobnej sytuacji. Przechodzimy na kuter rano, pokręcimy się, pogadamy i wracamy do domu.

Wśród rybaków narastają marazm i zniechęcenie. – W tej chwili nie mogę nawet kutra zezłomować, bo żeby dostać rekompensatę, muszę przez ostatnie dwa lata mieć 180 dni połowowych, a tyle nie uzbieram – mówi Henryk Indyk. – Zresztą żał mi go kasować, jest dobrze wyposażony, niedawno kupiłem radar, kompas satelitarny, autopilota. Sprzedać też nie mogę, bo nikt nie kupi jednostki z tak małym limitem. Rozpuścić załogę

żał, to doświadczeni ludzie – wyjaśnia. – Pod koniec lutego wybiorę się na łososia, wystarczy jeden rejs i to wszystko. Urodziłem się w Helu, średnią szkołę rybacką skończyłem w Darłowie. W 1977 r. ojciec kupił łódź wioślową, w 1980 r. – łódź motorową, a w 1984 r. – kuter zarejestrowany jako „Hel 23”, na którym do dzisiaj łowię. Dorabialiśmy się pomału, kocham to, co robię.

Henryk Indyk zaznacza, że byłby hipokrytą, gdyby powiedział, że Unia nic mu nie dała. – Dostałem dofinansowanie na tzw. dywersyfikację zawodową. Z tych środków i kredytu postawiłem hotelik na sześć pokoi, dopiero go wykańczam. Korzystałem też z dofinansowania na zakup sprzętu nawigacyjnego. Ale mam żal do unijnych decydentów, że traktowano nas nierówno, że nie zastopowano połowów paszowych na Bałtyku, że nie dbano o nasze morze, jak należy.

Kto niszczy Bałtyk

Od wejścia Polski do UE rybacy protestowali niemal co roku. W grudniu 2004 r., gdy pisałam tekst „Polski rybak, broń się sam”, domagali się powołania komisji sejmowej do zbadania działań Departamentu Rybołówstwa, należącego wówczas do Ministerstwa Rolnictwa. Aby wstrząsnąć elitami, grupa rybaków z Ogólnopolskiego Komitetu Protestacyjnego z Grzegorzem Hałubkiem z Ustki na czele, dziś doradcą ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marka Gróbarczyka, zagroziła zarejestrowaniem swoich jednostek pod banderą szwedzką. Ostatecznie do tego nie doszło. Już wtedy jednym z powodów niezadowolonych były niskie limity połowowe na dorsza i nierówne traktowanie rybaków – szwedzcy mieli większe kwoty połowowe niż polscy. Obawy rodził też Sektorowy Program Operacyjny na lata 2004-2006, który miał dostosować nasze rybołówstwo do malejących zasobów. Zakładał zezłomowanie 40% naszej floty rybackiej, kasację wymuszały małe limity, 24-27 ton dorsza rocznie na kuter.

– W 1982 r. 1,4 tys. łodzi i kutrów łowiło 120 tys. ton dorsza. Dzisiaj ta sama ich liczba może wyłowić tylko 16 tys. ton, jak przewiduje unijny limit – mówił mi w 2004 r. Marek Gzel, rybak z Kołobrzegu.

Michał Kohnke, który zełłomował kuter w 2006 r., do dziś przeżywa ten fakt: – To moja osobista tragedia. Rybę w Bałtyku łowili moi pradziadowie, dziadowie, ojciec. Zdecydowałem się na ten krok, bo nie chciałem być dłużej zakładnikiem biurokratycznych absurdów. Za rekompensatę za skasowany kuter otworzyłem inną działalność, odszkodowania za sprzęt

Zakaz połowu dorsza uderza w małych i średnich rybaków, podczas gdy lobby paszowe ma się dobrze.

rybacki wart ok. 1 mln zł nie dostałem, jego część rozdałem.

W „Wiadomościach Rybackich” z września 2008 r. czytamy, że na pytanie, czy redukcja floty pozwoliła na dostosowanie się do istniejących zasobów, aż 78% rybaków odpowiedziało „nie”. Uwag było wiele. „Skandalem można nazwać promowanie kasacji prawie nowych jednostek. Jest to po prostu przestępstwo czynione przez biurokratów z UE i ubezpieczone przez polski rząd”, skarżyli się rybacy. Podkreślali, że kryteria selekcji jednostek przeznaczonych do skasowania były złe, o wiele trudniej było skompletować dokumenty potrzebne do wycofania starej jednostki niż nowej.

Po złomowaniu protesty i przepychanki trwały nadal. W 2007 r. za rzekome przełowienia polscy rybacy zostali objęci półrocznym zakazem połowu dorsza. W latach 2009-2011 wprowadzono tzw. trójpołówkę, jedna trzecia floty mogła łowić dorsza, dwie trzecie otrzymywały rekompensaty, a decydowało losowanie. W latach 2012 i 2013 odbyły się kolejne protesty przeciw polityce połowowej UE. We wrześniu 2017 r. rybacy zwrócili się do Ministerstwa Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej o uznanie Bałtyku za obszar katastrofy ekologicznej. Resort wysłał polskie stanowisko do unijnego komisarza, domagając się okresu ochronnego w czasie rozrodu dorsza na całym Bałtyku oraz ograniczenia połowów paszowych. „Populacji dorsza zagrażają prowadzone na gigantyczną skalę połowy przemysłowe (tzw. paszowe), które niszczą ekosystem Bałtyku”, napisano. Przypomniano też, że „polscy rybacy nie używają narzędzi ciągniętych w strefie 6 mil morskich, zaakceptowali za-

kaz połowu szprota od 11 czerwca do 10 października w celu zachowania bazy pokarmowej dorsza. Dodatkowo, by zapewnić pokarm dla dorsza, wprowadzono kwotę połowową na tobaszka i dobijaka”. O bardziej zdecydowane działania w zakresie ochrony Bałtyku apelował minister Gróbarczyk w lipcu zeszłego roku. Podkreślał, że rozporządzenie KE o zakazie

połowów dorsza tylko na wschodnim Bałtyku jest niewystarczające: „Stoimy na stanowisku radykalnych zakazów i całkowitego ograniczenia połowów na Bałtyku dla wszystkich gatunków, nie tylko dorsza”.

Michał Kania, rzecznik MGMIŻŚ, mówi, że dotąd nie było żadnej oficjalnej odpowiedzi na polskie monity. Odbyły się jedynie spotkania z unijnym komisarzem ds. środowiska, gospodarki morskiej i rybołówstwa Karmenu Vellą, które wiele nie wniosły. Poza tym unijny zakaz połowu dorsza na wschodnim Bałtyku to działanie PR-owe, żeby pokazać,

Nie mogę kutra zełłomować, bo żeby dostać rekompensatę, musiałbym przez ostatnie dwa lata mieć 180 dni połowowych, a tyle nie uzbieram.

że cokolwiek się robi. – Uderza on w małych i średnich rybaków, podczas gdy lobby paszowe powiązane z politykami krajów takich jak Dania czy Szwecja ma się dobrze.

Nasi dziadowie brali z morza łyżeczką

Przed wejściem do Unii mieliśmy 1426 jednostek rybackich. Po złomowaniu zostało 871:217 kutrów oraz 654 łodzie motorowe i wiosłowe. Średni wiek kutrów na koniec roku 2007 wynosił niemal 39 lat, a łodzi niemal 23 lata. Najlicniejsza grupa kutrów to jednostki mające 15-17,9 m długości.

– Konwencja gdańska z 1972 r. zabraniała wchodzenia na Bałtyk jednostkom większym niż 30 m – przypomina Michał Kohnke. – Mój dziadek, gdy pod koniec lat 60. zobaczył 24-metrowy kuter, był przerażony.

Powtarzał, że to będzie klęska dla tego morza. Pierwszy raz takie potężne jednostki zobaczyłem w 2004 r. 64 kutry wpłynęły na nasz teren jednego dnia. Łowiły w tukę, dwa kutry ciągnęły sieć. A wszystko dyktował popyt na mączkę rybną używaną do produkcji pasz, bo po wybuchu choroby szalonych krów (BSE) od 1999 r. wprowadzono w Europie zakaz stosowania w paszach dla bydła mączki mięsno-kostnej.

– Wchodziliśmy do Unii z obawami, że przegramy z większymi, jednak nie przypuszczaliśmy, że stanie się to tak szybko – dodaje Henryk Indyk. – Do 12 mil od brzegu są wody terytorialne, dalej są nasze wody ekonomiczne, gdzie zawsze były najlepsze łowiska, to na nich pojawiły się paszowce. Do 2004 r. nie wolno było łowić tam obcym kutrom.

Rybak wchodzi na stronę internetową MarineTraffic, która pozwala na śledzenie ruchu statków. 23 stycznia 2020 r. sprawdzamy objęty zakazem połowu dorsza wschodni Bałtyk, szukając wielkich jednostek do połowów przemysłowych.

– Zaraz pokażę pani „Szwecja” – zapowiada. Gdy najeżdża

kursorem na niebieską strzałkę, wyświetlają się wszystkie dane jednostki „Clipperton”: długość 63 m, GT (tonaż) 1400. – To wyporność 30 naszych kutrów – ciągnie rybak. – 7,5 m zanurzenia, do Helu nie wejdzie, jest za duży. Statek został zbudowany w 2017 r. w Polsce dla armatora szwedzkiego. Dalej mamy „Westfjord”, 42 m długości, i „Stellę Novą”, 1023 GT, też zbudowaną w Polsce, oraz „Polar” – 62 m, 1211 GT.

Michał Kohnke podkreśla, że po przejściu takiej jednostki pozostaje w morzu pustynia. – Nasi ojcowie brali z morza łyżeczką, a nie chochlą. Były siatki na każdy rodzaj ryby, chroniono tarliska. Gdy przychodził okres połowowy, tzw. zimówka, łowiono. A nie że ryba jest mordowana non stop.

– To jest proteza, a nie rozporządzenie – komentował w lipcu zeszłego roku unijny zakaz połowu dorsza ▶

► w stadzie wschodnim Grzegorz Hałubek. – Jeżeli nie zamkniemy połowu innych ryb, to prawdopodobnie młode dorsze będą rywalizować o pokarm, którego nie ma, bo przecież to pożywienie wciąż jest odławiane.

– Wprowadzono zakaz połowów dorsza, a można łowić śledzia i szprota. Jaki to ma sens, jeśli pokarm dorsza łowi się dalej? – pytał Jan Omylak z Port Fish w Darłowie.

W 2019 r. połowów paszowych na swoich wodach zabroniła Dania.

Dorsz a populacja fok

Na jeszcze inne czynniki zaniku dorsza zwraca uwagę prof. Iwona Psuty z Morskiego Instytutu Rybackiego w wywiadzie dla Money.pl z czerwca 2018 r. Mało jest np. kluczowych dla tej ryby wlewów natlenionych wód z Morza Północnego, poza tym dorsze są niszczone przez pasożyty – jeżeli nie mają pod dostatkiem łatwo dostępnego pożywienia, ich wątrobę atakują nicienie, które są ubocznym skutkiem rosnącej populacji fok. Pani profesor podkreśla, że wbrew obiegowej opinii foka nie jest gatunkiem zagrożonym, bo szacunkowa populacja fok na Bałtyku wynosi ok. 50 tys. osobników, oficjalne dane Komisji Ochrony Środowiska Morskiego Bałtyku to ok. 30 tys., a bezpieczny poziom tej populacji według HELCOM to 10 tys. osobników.

Znalezienie w 2018 r. na polskim wybrzeżu martwych fok oburzyło opinię publiczną i środowiska ekologiczne. Na rybaków posypały się gromy, wyznaczono nawet 30 tys. zł nagrody za wskazanie osób, które zabijają zwierzęta. Tymczasem prof. Iwona Psuty twierdzi, że tradycyjne rybołówstwo łodziowe przegrywa z fokami: „Wystarczy kilkanaście osobników wyspecjalizowanych w wybieraniu ryb z sieci lub polujących u ujścia rzek, by wyeliminować ekonomiczny sens połowów lub poważnie zmniejszyć efektywność zarybień łososiowatymi”.

Henryk Indyk pokazuje spis szkód wyrządzonych przez foki w ostatnich latach. – Tylko w 2013 r. poniosłem straty na ok. 60 tys. zł. Trzeba doprowadzić do wyrównania populacji, foka potrafi zjeść rocznie 2,5 tony ryby, w tym dorsza. Michał Kohnke zaś dodaje, że największa kolonia fo-

cza, ponad 200 sztuk, usadowiła się w korytarzu biologicznym u ujścia Wisły, gdzie na tarło przychodzą łososie, trocie, pstrągi, w związku z tym nie ma naturalnego tarła, nie mówiąc już o roznoszeniu przez foki pasożytów.

Prezes tczewskiej spółdzielni rybackiej, która trudni się zarybianiem akwenów, także Bałtyku, mówił w 2018 r. na portalu Tcz.pl, że foki zniszczyły jego firmę: „Wprowadziły się na łachę przy ujściu Wisły i pożarły wszystko, co tam przepływało. W ubiegłym roku złowiłem tylko jednego łososia, i to pochłastanego foczymi pazurami”. Pod artykułem hejt na rybaków, że „dorsz w Bałtyku został wybity przez nich, a nie przez foki”, że są pazerni, że przełowili i powinni podzielić los zabitych fok.

Jaki sens ma zakaz połowu dorsza, jeśli dalej łowi się pokarm tej ryby?

– U naszych północnych sąsiadów jest inne podejście, dyskusja, ważenie racji. W Szwecji i Finlandii są odstrzały fok. Od lokalnej grupy rybackiej z tego kraju dostałem książkę kucharską o przyrządzaniu mięsa z fok, a u nas jest tylko krzyk – kontruje Henryk Indyk.

Gorzka rocznica

10 lutego mija 100 lat od zaślubin Polski z morzem. Przygotowywane są duże uroczystości w Pucku. W mediach pełno historycznych treści. Sejm i Senat ustanowiły rok 2020 Rokiem Zaślubin Polski z Morzem. Rybacy nie mają czego świętować.

– Polska odwróciła się od morza – mówi Michał Kohnke. – Pozwolono dokonać zbrodni na naszym morzu, popełniono zbyt dużo błędów przyklepanych administracyjnie, nie słuchano tych, co morze mają we krwi. Ale jak mogło być inaczej, skoro w okresie przełomu, przed przystąpieniem do Unii, dyrektorem departamentu rybołówstwa został dyrektor mieszałni pasz? Największą cenę zapłaciło za to rybołówstwo przybrzeżne, nieinwazyjne, na małych łodziach, będące wartością kulturową. Za 10-15 lat, gdy być może zasoby się odnowią, będziemy patrzeć, jak obcy łowią ryby na naszych wodach.

– O ochronę niemieckich rybaków przybrzeżnych na zachodnim Bałtyku walczy polityk federalny Ingo Gädechens, tam nie dąży się do likwidacji wszystkiego, ale stara się zachować infrastrukturę i życie w małych portach – uzupełnia Henryk Indyk.

Po wprowadzeniu zakazu połowów dorsza w trudnej sytuacji znaleźli się nie tylko rybacy, ale i przetwórcy ryb oraz właściciele 150 jednostek wędkarskich, których od stycznia też objął ten zakaz. – Do 7 lutego mamy dostać informację z ministerstwa na temat wielkości pomocy – mówił w styczniu Andrzej Antosik, prezes Bałtyckiego Stowarzyszenia Wędkarstwa Morskiego z Darłowa. Ministerstwo zwróciło się do KE o rozszerzenie programu operacyjnego, gdyż jednostki wędkarskie nie są objęte Funduszem Rybackim. Minister Marek Gróbarczyk ostrzegał w grudniu, że pozyskanie unijnej pomocy dla wędkarzy morskich będzie „niezwykle trudne”.

Według danych unijnych (Europejskie Rybołówstwo w liczbach w 2017 roku) Polska ma 839 statków, Dania 2222, Szwecja 1266, Niemcy 1382, a Finlandia aż 3197, lecz o małym tonażu.

Pod koniec grudnia Komisja Europejska zaproponowała pomoc dla rybaków objętych zakazem. Ma to być rekompensata za trwałe zaprzestanie działalności połowowej. – Nie chcemy złomować kutrów, bo potem nie będziemy mogli wrócić do łowienia. Ostatnia kasacja była w 2017 r., następne złomowanie prognozowano na rok 2025. Zainwestowaliśmy w swoje kutry i nie wiemy, na jakich zasadach to złomowanie ma się odbyć. Nie będziemy niszczyć działalności, na które pracowały całe pokolenia. Co zrobiła Unia, by ograniczyć np. połowy paszowe? – pyta Henryk Indyk. W sobotę, 25 stycznia, na redy wszystkich portów wypłynęły oflagowane kutry. Henryk Indyk protestował w Helu.

– Propozycja KE dalej jest w mocy, ale cały czas prowadzimy rozmowy na temat działań osłonowych za przestój dla rybaków objętych zakazem połowu dorsza. W ciągu kilku tygodni powinny zapaść ostateczne ustalenia. Nie pozostawimy też bez pomocy wędkarzy morskich, w planach jest finansowa rekompensata ze środków krajowych – uspokaja Michał Kania z ministerstwa.

Helena Leman

Krzysztof Juruś

Odbudowa czerwonego mostu

Laburzyści muszą zawalczyć o wyborców z niewielkich miasteczek, szczególnie tych, którzy głosowali za brexitem

Polska nie jest jedynym krajem, w którym największa partia opozycyjna, upokorzona wynikiem ostatnich wyborów i bezradna wobec narastającej fali populizmu, zmuszona jest wybrać nowego przewodniczącego, by przywrócić jej niegdyś popularność, a w następnych wyborach był w stanie zapewnić powrót do władzy. Przed podobnymi rozterkami stają właśnie brytyjscy laburzyści.

Jednak jeśli chodzi o rozgłos medialny i rozmach, wyłonienie nowego lidera Partii Pracy przypomina raczej prawybyry u amerykańskich demokratów niż szkolny konkurs popularności, jaki organizuje Platforma Obywatelska. Anglosaska centrolewica lepiej niż polska opozycja rozumie, że do odsunięcia od władzy prawicowych populistów – Trumpa, Johnsona, Kaczyńskiego – potrzeba więcej niż telewizyjnego uśmiechu czy kilku obietnic walki o prawdę i demokrację. Potrzeba programu i światopoglądu. Pytanie tylko, jakiego.

Dziedzictwo Blaire'a i Corbyna

Dwie skrajnie różne wizje polityki najlepiej uosabia dwóch laburzystowskich liderów – Tony Blair i żegnający się właśnie ze stanowiskiem Jere-

Jednocześnie kult Corbyna doprowadził do toksycznego konfliktu między frakcjami, a zdaniem krytyków radykalny zwrot w lewo przyniósł utratę umiarkowanych wyborców i w konsekwencji najgorszy wynik od 1935 r. Do tego doszła kwestia brexitu – niechętny Unii przewodniczący proeuropejskiej partii unikał jasnych deklaracji, kiedy trzeba było stanąć po jednej ze stron. Tym sposobem zraził do siebie i przeciwników, i zwolenników wyjścia z UE.

W partii nie brakuje takich, którzy z sentymentem wspominają Tony'ego Blaira, ale nawet oni rozumieją, że w nowej dekadzie nie ma szans na powrót do programu z lat 90. Z kolei lewe skrzydło musi się pogodzić z tym, że skoro program Corbyna nie przyciągnął wyborców, to samo stanie się z jego kopią, nawet gdy na czele partii będzie ktoś inny. Każdy

jest prawo do zadania premierowi sześciu pytań w trakcie środowych debat w Izbie Gmin. Brytyjski styl parlamentarnych konfrontacji bywa przesadnie teatralny, ale pozwala na wypunktowanie i ośmieszenie pomysłów szefa rządu. Boris Johnson to niełatwy przeciwnik w słownych potyczkach – członkowie Partii Pracy nie mogą o tym zapomnieć, wybierając nowego przewodniczącego.

Proces nominowania kandydatów jest dość skomplikowany. By znaleźć się na karcie do głosowania, trzeba było najpierw przekonać do siebie co najmniej 10% laburzystowskich posłów i europosłów. Co ciekawe, cztery lata temu właśnie ten etap sprawił największe trudności Jeremy'emu Corbynowi – nigdy nie był on szczególnie popularny wśród kolegów z ław parlamentarnych, a kilkoro posłów, którzy udzielili mu poparcia z li-

W wielu okręgach wyborczych w środkowej i północnej Anglii, które od dziesięcioleci popierały Partię Pracy, w roku 2019 wybrano konserwatywnych posłów.

my Corbyn. Blair w 1997 r. wygrał wybory po 18 latach rządów torysów i pozostawał na czele gabinetu i partii przez dekadę. W tym czasie zmienił ją nie do poznania, prowadząc neoliberalną politykę, z którą nie wszystkim było po drodze. Lewica na całym świecie nie może mu również wybaczyć udziału w wojnie w Iraku. Miał jednak zaletę, której nie sposób przecenić – umiał wygrywać wybory. Żadnemu z jego następców na razie to się nie udało.

Z kolei Corbyn, na czele partii od 2015 r., zadbał o powrót do lewicowych korzeni, a jego popularność, zwłaszcza wśród najmłodszych wyborców, do 2017 r. przyniosła niemal potrojenie liczby członków, dzięki czemu laburzyści stali się największą partią polityczną Europy Zachodniej.

kandydat na nowego przewodniczącego stara się odnaleźć równowagę między przestarzałym blairyzmem a nieskutecznym, nawet jeśli słusznym, corbynizmem. Być może za kilka lat ta proponowana równowaga pozwoli nowemu liderowi wprowadzić się na Downing Street – na razie jednak będzie musiała się sprawdzić, gdy stanie on na czele gabinetu cieni.

Brytyjski system nie daje liderowi opozycji żadnej władzy, ale oferuje istotne przywileje – zarówno symboliczne (członkostwo w fasadowej Tajnej Radzie przy królowej), jak i materialne (spory dodatek do poselskiej pensji). W trakcie uroczystości państwowych nieraz staje on ramię w ramię z premierem i na chwilę musi zapomnieć o dzielących ich różnicach. Najważniejszym przywilejem

tości bądź w celu wzbogacenia dyskusji nad przyszłością partii, gorzko pożałowało swojej decyzji. Pięcioro polityków, którym w tym roku udało się przekonać do swojej kandydatury parlamentarzystów, musi teraz – do 14 lutego – zachęcić do swojej wizji przedstawicieli co najmniej 33 struktur lokalnych lub trzech organizacji afiliowanych przy Partii Pracy, czyli związków zawodowych, socjalistycznych stowarzyszeń i siostrzanej Partii Kooperatywnej.

Dopiero poparcie tych instytucji zapewnia miejsce na karcie do głosowania. Wezmą w nim udział członkowie i zarejestrowani sympatycy, którzy – zgodnie z systemem alternatywnego głosu przechodniego – numerują kandydatów według swoich preferencji. Po pierwszej turze

▶ odpada kandydat z najniższym poparciem, a udzielone mu głosy przypadają tym z kolejnymi numerami – i tak aż do uzyskania przez któregoś większości bezwzględnej. Choć formalnie mówi się o kilku rundach, system ten pozwala na błyskawiczne wyłonienie przewodniczącego, któremu poparcia udzieliło ponad 50% głosujących.

Licząc na poparcie lokalnych działaczy, kandydaci muszą podróżować po całym kraju i brać udział w oddolnie organizowanych wydarzeniach, których poziom może budzić pewne zastrzeżenia. Pierwsza debata partyjna została zorganizowana przez liverpoolskich laburzystów w dość amatorski sposób – prowadzącemu zdarzało się zapominać, w jakiej kolejności udziela głosu uczestnikom, i prosił ich o pomoc. Ci zgodnie proponowali ogólnikowe rozwiązania, obiecując powrót wyborców i koniec konfliktu frakcji. Atmosfera była tak przyjazna, że aż trudno uwierzyć, że kandydaci ze sobą konkurują. Mimo to nie sposób zaprzeczyć doniosłości tej debaty – wreszcie można było zobaczyć (i usłyszeć) wszystkich kandydatów stojących na tej samej trybunie.

One trzy...

Emily Thornberry, posłanka z londyńskiego okręgu sąsiadującego z tym reprezentowanym przez Corbyna, w jego gabinecie cieni odpowiedzialna była za sprawy zagraniczne. W trakcie debaty podkreślała, że w związku ze sprawowaną funkcją wielokrotnie dyskutowała z Borisem Johnsonem, gdy ten szefował Foreign Office. Słuchając jej charyzmatycznych wystąpień, niefatwo było pojąć, dlaczego tyle wysiłku kosztowało ją zdobycie głosów poparcia partyjnych kolegów. Powodem może być pewien pozornie niewielki skandal sprzed pięciu lat – wrzuciła na Twittera fotografię białego vana stojącego przed domem przyozdobionym trzema flagami św. Jerzego, symbolem angielskiego nacjonalizmu. Komentarz, „Zdjęcie z #Rochester”, był krótki, ale bardzo wymowny – oto przedstawicielka londyńskich elit kpi z prostego człowieka z prowincji. Przed pięcioma laty kosztowało ją to miejsce w gabinecie cieni, dziś pamięć o niefortunnym tweecie drastycznie zmniejsza szanse na przewodzenie mu.

Bo to właśnie o wyborców z niewielkich miasteczek, szczególnie tych, którzy głosowali za brexitem, muszą walczyć laburzyści przez najbliższe lata, by zapewnić sobie powrót do władzy. Innymi słowy, trzeba odbudować tzw. czerwony mur. Tak określa się okręgi wyborcze w środkowej i północnej Anglii, które od dziesięcioleci lojalnie popierały Partię Pracy, aż w 2019 r. w wielu z nich wybrano konserwatywnych posłów.

Kandydatką, która wierzy, że ma największe szanse na odzyskanie zaufania elektoratu w tych regionach, jest **Lisa Nandy** – choć zamiast czerwonego muru proponuje lepiej kojarzący się czerwony most. Aktywnie proeuropejska Nandy reprezentuje okręg, który wyraźnie poparł brexit. Jej ojcem jest urodzony w Kalkucie marksistowski intelektualista, matka pochodzi z prominentnej liberalnej rodziny. Młoda, inteligentna kobieta z północnej Anglii, o imigranckich korzeniach – wydawałoby się, że to idealna kandydatka na przewodniczącą partii nowoczesnej, o włączającym charakterze. Jednak sondaże nie dają jej wielkich szans.

Również **Rebecca Long-Bailey** twierdzi, że ma sposób na dotarcie do serc niedawno utraconych wyborców, ale dla niej może to być zadanie niewykonalne – odbierana jest powszechnie jako kandydatka skrajnie lewicowa, która będzie chciała kontynuować linię Corbyna. W telewizyjnym wywiadzie, poproszona o ocenę przewodniczącego, dała mu 10 na 10 – jakby zapominać o katastrofalnym wyniku wyborów. Jednak w debacie wypadła bardzo dobrze. Drobną i niepozorną (trudno uwierzyć, że ma 40 lat), zaskakuje pozytywną energią, gdy tylko zaczyna przemawiać, a jej słowa o „aspiracyjnym socjalizmie” z pewnością znajdą odzew na lewym skrzydle partii.

Była jeszcze **Jess Phillips**, do której przylgnęła nieco złośliwa łatka blairystki. To spore nadużycie – polityczne drogi byłego premiera i posłanki nigdy się nie przecięły, bo zasiada ona w Izbie Gmin dopiero od 2015 r., a w trakcie jego rządów opuściła szeregi partii. Trzeba jednak przyznać, że Phillips, podobnie jak niegdyś Blair, reprezentuje raczej prawe skrzydło laburzystów. Jako jedna z najzagorzalszych krytyczek Corbyna nieraz stawiała się ofiarą hejtu ze strony jego wyznawców, chociaż na jej korzyść działań



imponujący dorobek działaczki feministycznej. Piszę o niej w czasie przeszłym, ponieważ 21 stycznia uznała, że jej szanse na ponowne zjednoczenie Partii Pracy są niewielkie, i wycofała się ze startu w wyborach.

...i on jeden

Jej rezygnacja to bardzo dobra wiadomość dla **Keira Starmera**, któremu komentatorzy i tak dają największe szanse na zwycięstwo. Trudno sobie wyobrazić, by centrowi zwolennicy Jess Phillips poparli drugą w sondażach Rebeccę Long-Bailey, tymczasem Starmer to optymalny, kompromisowy kandydat. Darzą go zaufaniem przedstawiciele różnych partyjnych frakcji, a poparcie udzielone mu przez Unison, największy związek zawodowy w Wielkiej Brytanii, musiało zbić z tropu jego główną konkurentkę. Starmer należy do tych posłów, którzy miejsce w Izbie Gmin traktują jako zwieńczenie pomyślnej kariery – w jego przypadku prawniczej. Niektórzy półżartem sugerują, że właśnie ten solidny, choć niezbyt charyzmatyczny obrońca praw człowieka był inspiracją dla postaci granej przez Colina Firtha w „Dzienniku Bridget Jones”.

W pierwszym spocie wyborczym Starmera zaprzyjaźniony związkowiec przypomniał jego rolę w głośnych procesach z czasów Margaret Thatcher. Lista jest rzeczywiście imponująca: drukarze, stoczniowcy, górnicy

HIP 2020

LEADERSHIP 2020

 Labour


Piątka kandydatów na stanowisko szefa Partii Pracy. Od lewej: Rebecca Long-Bailey, Jess Phillips, Emily Thornberry, Lisa Nandy i Keir Starmer.

– prawnik maszerował ramię w ramię z robotnikami w trakcie strajków, a gdy trzeba było, bronił ich w sądzie. Oprócz związkowców reprezentował *pro bono* także obrońców środowiska, m.in. w sprawie o zniesławienie, jaką dwójgu aktywistom wytoczył McDonald's. Konsekwentnie stanął nawet przeciw laburzystowskiemu gabinetowi Gordona Browna, gdy ten planował pozbawić uchodźców zasiłków.

prawnika walczącego z establishmentem. Co prawda, w spocie Starmera jego zwolenniczka podkreśla, że jako prokurator patrzył na ręce zbyt rozrutnym posłom, jednak krytycy przypominają zaskakującą opieszałość, z jaką zdarzało mu się traktować sprawy brutalnych policjantów.

W 2020 r. nie można też nie zadać pytania o relacje brytyjsko-unijne. Starmer, choć do tej pory wyraźnie

tyką brexitu, ale trudno go uznać za wyznawcę corbynizmu. Więcej o jego pomysłach dowiemy się zapewne w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. W przeciwnym razie – jeśli mimo braku deklaracji światopoglądowych zastąpi Corbyna na czele partii – jej członków może czekać niemiła niespodzianka.

Jak widać, dotychczasowemu faworytowi nie brakuje wad, ale przynaj-

Kandydaci na nowego lidera Partii Pracy starają się odnaleźć równowagę między przestarzałym blairyzmem a nieskutecznym, nawet jeśli słusznym, corbynizmem.

Jego raczej nietypowe imię nadało mu na cześć... pierwszego lidera Partii Pracy, Keira Hardie'ego. Chociaż syn mechanika i pielęgniarki laburzystowskie wartości wyniósł z domu, a przez lata bronił przed sądem lewicowych działaczy, nadmiar innych prawniczych sukcesów może odstręczać część elektoratu – milioner z centralnego Londynu nie jest wymarzoną przywódcą partii o robotniczych tradycjach. Odkąd – za zasługi dla wymiaru sprawiedliwości – królowa mianowała go kawalerem Orderu Łaźni, przysługuje mu tytuł *sir* (dla złośliwych nie ma znaczenia, że woli go nie używać). Poza tym przez pięć lat zajmował jedno z najwyższych stanowisk w angielsko-walijskiej prokuraturze, co kłóci się z wizerunkiem

proeuropejski, na początku kampanii przyznał, że pogodził się z brexitem i w przyszłości nie będzie walczył o powrót do UE. Pozostaje jeszcze jedna niezręczna kwestia – płeć. Czy nie nadeszła już pora, by na czele partii, która od zawsze promowała równość, stanęła kobieta? Zwłaszcza że nawet niesłyszany z feministycznych poglądów konserwatyści mieli już dwie przewodniczące.

Ten skomplikowany obraz skłania do postawienia kluczowego pytania – jakie właściwie poglądy ma Keir Starmer? Poparcie udzielane robotnikom, a nawet ich obrona przed sądem, to co innego niż prowadzenie lewicowej polityki gospodarczej czy zagranicznej. W poprzedniej kadencji Starmer zajmował się w gabinecie cieni tema-

mniej jedną z łatwością da się zamienić w zaletę. Jak sugeruje John Rentoul w felietonie dla „The Independent”, pozornie problematyczny niedobór charyzmy w połączeniu z wizerunkiem profesjonalisty może zagwarantować Starmerowi zwycięstwo w wyborach zarówno partyjnych, jak i parlamentarnych. Kiedy niezdrowe emocje sięgają zenitu, a podziały w społeczeństwie uniemożliwiają prowadzenie skutecznej polityki, potrzeba kandydata, który zamiast porwać tłumy, będzie w stanie je uspokoić i... znudzić. Bez ironii przynajmniej, że do tego Starmer nadaje się wyśmienicie.

Krzysztof Juruś jest publicystą „Krytyki Politycznej”. Zajmuje się polityką zagraniczną, brytyjską i amerykańską kulturą oraz polskim teatrem

W masowej pamięci Beppe Grillo zapisał się jako komik skandalista, ale raczej z czasów minionych.



Ruch Spadających Gwiazd

Niedawny symbol populistycznych triumfów w Europie Zachodniej stał się największym przegranym włoskiej polityki

Mateusz Mazzini

Bujna czupryna, długa broda, kamizelki zakładane na białe koszule – tego charakterystycznego stylu Beppe Grillo, telewizyjny komik i współzałożyciel Ruchu Pięciu Gwiazd, nie wyzbył się nigdy. Już w latach 80., kiedy media głównego nurtu i włoska telewizja publiczna tolerowały jego skecze na temat wszechobecnej korupcji, głupoty i upadku moralnego tamtejszej klasy politycznej, wyglądał tak samo, choć włosy i brodę miał wtedy kasztanowe, a nie siwe. Widać to chociażby na słynnym dziś archiwalnym nagraniu z 1986 r., kiedy na antenie państwowego kanału Rai Uno oskarżył o korupcję ówczesnego premiera Bettina Craxiego, człowieka będącego ucieleśnieniem wszystkich najważniejszych cech ówczesnej klasy politycznej na Półwyspie Apenińskim. Krajem rządzili wtedy politycy niezapalalni,

żyjący w symbiozie z kryminalnymi syndykatami, wymieniający się ministerstwami i stanowiskami w administracji publicznej. Craxi, Giulio Andreotti czy Giovanni Goria zdawali się wręcz przyklejeni do ministerialnych czy premierowskich stanowisk, blokując dopływ tlenu i świeżej krwi na szczyty władzy.

Od tego czasu minęły dwie dekady, ale Beppe Grillo uważał, że nie zmieniło się nic. On sam z telewizji przeniósł się do internetu, zaczął wydawać książki i produkować mało popularne komedie. W masowej pamięci zapisał się jako komik skandalista, ale raczej z czasów minionych. Ktoś, kto odszedł wraz z politykami, których wyśmiewał i krytykował. Jemu jednak na marginesie debaty publicznej nie było wcale dobrze. Szukał sposobu na dotarcie do szerszego grona odbiorców. Mówił to samo, co 20 lat wcześniej na ekranach telewizorów – że politycy kłamią, kradną, są nieuczciwi i niekompetentni. Tym

razem jednak chciał zrobić coś więcej niż prawienie kazań. Zależało mu na przekuciu idei w czyn – stworzeniu ruchu, który do włoskiej polityki wprowadziłby nową jakość.

Zaczął od mobilizowania zwolenników w raczkujących wtedy jeszcze mediach społecznościowych. W 2005 r. zorganizował pierwsze zebranie dla zainteresowanych jego projektem, nazwane „40 przyjaciół Beppe Grilla”. Polegające na skrzyżowaniu happeningu z jarmarkiem i imprezą rodzinną zebrania z czasem stały się platformą do dyskusji. W Turynie, Sorrento i Piacenzie Grillo chodził pomiędzy zgromadzonymi ludźmi i pytał, co im leży na sercu, choć nie wiedział jeszcze, co z odpowiedziami zrobić.

Kolejnym etapem jego politycznego rozwoju była seria wydarzeń, o których usłyszała już cała Europa. Grillo zapraszał ludzi w coraz większej liczbie miast na tzw. V-Day, co było skrótem od *Vaffanculo-Day*. Krótko mówiąc, brodaty performer wychodził na scenę i w kilku często niewybrednych słowach tłumaczył, dlaczego włoscy politycy, wszyscy, co do jednego, muszą odejść. Nazwa wydarzenia w oczywisty sposób nawiązywała też do lądowania wojsk alianckich w Normandii w czasie II wojny światowej. Dla Grilla zebranie tysięcy zwolenników, wspólnie z nim pokazujących środkowy palec całej włoskiej klasie politycznej, miało być momentem

zwrotnym w karierze publicznej. Sukcesem, na którym będzie mógł budować nowy porządek polityczny na Półwyspie Apenińskim.

Dalszą część tej historii zna większość Europejczyków. Rejestracja Ruchu Pięciu Gwiazd w 2009 r., pierwsze sukcesy wyborcze, przełom w wyborach parlamentarnych 2016 r., kiedy to kandydaci ugrupowania zdobyli stanowiska burmistrzów Rzymu, Turynu i Parmy. Wreszcie marzec 2018 r. i pierwsze miejsce w wyborach

w 8 z 20 włoskich prowincji (we Włoszech te wybory są rozłożone na raty), wynik formacji Luigiiego Di Maio był wręcz upokarzający – 5% w lewicowym regionie Emilia-Romania, zaledwie 1 pkt proc. więcej w Kalabrii, czyli jednym z jej mateczników. Łącznie nieco ponad 5% wszystkich oddanych wtedy głosów. Na porażkę nie patrzyli już jednak ani Di Maio, wciąż szef włoskiego MSZ, ale od 22 stycznia były lider partii, ani Beppe Grillo. Komik pozostaje wprowadzie

w sprzeczkach personalnych. Nie było nawet wiadomo, kto tak naprawdę podejmuje w nim decyzje. Czy szef włoskiej dyplomacji, czy przewodniczący Izby Deputowanych Roberto Fico, czy też sceptyczny wobec mariażu z demokratami Alessandro Di Battista. A może tak naprawdę z tylnego fotela wszystkim steruje wciąż Beppe Grillo? Di Maio okazał się politykiem bez charyzmy, marionetką w rękach silniejszych od siebie. Zdaniem wielu to on ponosi winę za sondażowe spadki, bo dał się wykiwać Salviniemu w czasie sierpniowego kryzysu, czym obniżył wiarygodność Ruchu w oczach wyborców. Nie pomógł również fakt, że w Ruchu nie ma dyscypliny partyjnej, a oficjalne stanowisko ugrupowania klaruje się za pomocą internetowej platformy Rousseau, gdzie gwiazdziści głosują nad najważniejszymi decyzjami. Ruch Pięciu Gwiazd po 13 miesiącach u władzy stał się po prostu synonimem chaosu.

Wreszcie wymienić należy przyczyny oczywiste. Wyczerpał się początkowy entuzjazm, który wyniósł Grilla na pierwsze strony gazet. Wyborcy nie zadowalali się już środkowym palcem, chcieli konkretów, a tych nie było. Zamiast spadku bezrobocia i wzrostu gospodarczego pojawiały się natomiast kolejne niepopularne pomysły, np. referendum w sprawie wyjścia z eurostrefy czy idea wyłaniania senatorów w ogólnokrajowym

Ruch Pięciu Gwiazd ma dziś tylko 15% poparcia i żadnego pomysłu na odwrócenie negatywnego trendu.

parlamentarnych. 32,7% poparcia, 227 miejsc w Izbie Deputowanych. Choć wynik poszedł w świat, o pełnym sukcesie nie mogło być mowy. Gwiazdziści zajęli pierwsze miejsce wśród pojedynczych list wyborczych, ale sumarycznie przegrali z koalicją skrajnie prawicowych partii – Ligą Mattea Salviniego wspartą przez Forza Italia z nieśmiertelnym Silviem Berlusconiem i neofaszystowskich Braci Włoskich. Pierwszy rząd z udziałem ruchu stworzonego w mediach społecznościowych musiał być rządem koalicyjnym.

Romans z prawicą potrwał nieco ponad rok. Najpierw przez cztery miesiące Salvini i liderujący Rucho wi Pięciu Gwiazd od 2017 r. Luigi Di Maio nie mogli się dogadać co do obsady stanowisk w rządzie. Potem każdą ich kolejną propozycję blokował prezydent Sergio Mattarella, bez zgody którego koalicja formalnie nie mogła się zawiązać. Ostatecznie współrządzili Włochami 13 miesięcy. Rozeszli się, kiedy szef Ligi postanowił zagrać *va banque*. Rozwiązał umowę koalicyjną, prąc do przyspieszonych wyborów, bo chciał rządzić sam. Ostatecznie Ruch obronił miejsce w rządzie, wymieniając prawicowców na mocno krytykowaną przez siebie centrolewicową Partię Demokratyczną. Dziś jednak widać jak na dłoni, że tamten ideologiczny piwot był tylko odwiekaniem upadku w polityczną przepaść. Na początku 2020 r., choć formalnie współrządzi Włochami, Ruch Pięciu Gwiazd walczy już nie o przyszłość niosącą sukcesy – ale o jakąkolwiek przyszłość.

W ubiegłotygodniowych wyborach samorządowych, rozpisanych

członkiem formacji, jednak trzy lata temu wycofał się z pierwszej linii frontu, rzadziej zabiera też głos publicznie. Pozbawiony swoich najbardziej rozpoznawalnych twarzy Ruch ma dziś tylko 15% poparcia i żadnego pomysłu na odwrócenie negatywnego trendu. Co poszło nie tak?

Na to pytanie jak zawsze nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Szczegółowa analiza posunięć polityków Ruchu pokazuje, że ich grzechem głównym było uprawianie tego, co uprawiać musieli, a czym – przynajmniej deklaratywnie – tak się brzydzili. Czyli najzwyczajszej polityki.

Wielu wyborców nigdy nie wybaczyło im zmiany koalicyjnego partnera. Na samym początku kryzysu rządowego, w sierpniu zeszłego roku,

Beppe Grillo i pozostali liderzy Ruchu stracili umiejętność odczytywania nastrojów społecznych.

opinia publiczna była jeszcze po ich stronie. To Salvini był barbarzyńcą w ogrodzie, awanturnikiem wyzywającym w parlamencie niedawnych sojuszników od politycznych prostytutek. Jednak już kilka dni później okazało się, że trochę racji miał. Di Maio obrócił się w drugą stronę, w kierunku Partii Demokratycznej – symbolu starych, skostniałych ugrupowań i zgniłej klasy politycznej. I natychmiast znalazł nowego partnera do koalicji. Zdradził w ten sposób pierwszy ideał Ruchu, czyli nienawiść do establishmentu.

Zdrada druga postępowała stopniowo. Z miesiąca na miesiąc spadał prestiż samego przewodniczącego ugrupowania, a Ruch pogrążał się

losowaniu. Beppe Grillo, a w ślad za nim pozostali liderzy Ruchu stracili umiejętność odczytywania nastrojów społecznych. Nie zauważyli, że po turbulencjach lat pokryzysowych sytuacja na południu Europy zaczyna się stabilizować, w dodatku wcale nie dzięki nim. Nie potrafili też skutecznie rozwiązać nowych problemów, takich jak fala migrantów, wzrost przestępczości czy starzenie się populacji. Wciąż bazowali na ekonomicznej frustracji i nienawiści do Brukseli, a oba te uczucia we włoskim społeczeństwie zaczynały już się rozchodzić po kościach. Aż wreszcie zgasty, tak jak gwiazdy, które na polityczne niebo Włoch wyniósł stary komik z coraz mniej śmiesznymi żartami. ■

Plastikowa awangarda

Niemcy uchodzą w Europie za wzór w walce z plastikiem, ale jego zużycie wciąż wzrasta

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Rok temu Parlament Europejski przyjął dyrektywę wprowadzającą zakaz sprzedaży jednorazowych artykułów z tworzyw sztucznych (np. plastikowych tac, talerzy, słomek i sztućców), a także wymóg oddzielnej zbiórki plastikowych butelek w sklepach do 2029 r. Celem tych przepisów jest walka z rosnącym problemem odpadów zanieczyszczających morza i oceany. Jak ocenia Komisja Europejska, obok porzuconych lub nieumyślnie zgubionych sieci rybackich ponad 80% tych śmieci to przedmioty codziennego użytku, pochodzące z handlu żywnością, fast foodów oraz sprzedaży napojów. Nowe prawo m.in. nakłada na detalistów obowiązek wprowadzenia systemu odbioru plastikowych butelek po napojach. Wdrożenie unijnej dyrektywy powinno nastąpić do 2021 r.

W pierwszym szeregu

O ile w wielu państwach członkowskich UE, jak choćby w Polsce, wprowadzenie opłaty kaucyjnej od plastikowych butelek i innych opakowań nadal jest dyskutowane (butelkomaty są niezwykle drogie – 20 tys. zł, ich zainstalowanie w całej Polsce to kwota rzędu 20 mld zł), o tyle Niemcy już za rządów socjaldemokratów i Zielonych (1998-2005) wyszli przed szereg. Skupomaty można dziś znaleźć niemal w każdym niemieckim sklepie spożywczym, nie mówiąc już o większych sieciach handlowych. Unijna walka z plastikiem została przez ekologicznie nastawionych Niemców przyjęta z entuzjazmem, a zdaniem wielu z nich zastrzone w ubiegłym roku przepisy są nadal zbyt umiarkowane. „Odpady z tworzyw sztucznych są dosłownie wszędzie: na łąkach, polach, w ogrodach i lasach, a nawet w powietrzu. Plastik szkodzi również zwierzętom

i ludziom. Zobowiązania i deklaracje składane dotychczas przez przemysł i handel prowadziły donikąd. Produkcja plastiku wciąż działa na pełnych obrotach. Recykling pomaga, ale nie wystarcza. Także apele do konsumentów, by częściej używali opakowań wielokrotnego użytku, niewiele dają. Unijny zakaz jednorazowych artykułów z tworzyw sztucznych jest dobrym krokiem w odpowiednim kierunku, ale wciąż zbyt słabym. Przede wszystkim powinniśmy niezwłocznie i całkowicie skończyć z produkcją i stosowaniem plastiku”, czytamy w dzienniku „Rhein-Zeitung”. „Zakaz używania plastikowych kubeczków i słomek do napojów zasługuje na pochwałę. Dziś już wiemy, że mikrocząstki plastiku dostają się do organi-

Niemiecki konsument w 2016 r. zużywał ok. 70 plastikowych toreb, w 2019 r. zaledwie 25.

zmu ludzkiego. Jest to jednak dopiero pierwszy krok na drodze do lepszej ochrony mórz i całej fauny”, pisze w podobnym tonie lewicowa gazeta „Die Tageszeitung”.

Natomiast publicysta „Frankfurter Rundschau” Joachim Wille kwestionuje unijne dyrektywy z zupełnie innego stanowiska. Jego zdaniem problem z morskimi odpadami w Europie tylko w nieznacznym stopniu jest winą jej mieszkańców. „Czy Unia Europejska może uniknąć katastrofy, zakazując swoim państwom członkowskim plastikowych patyczków do uszu? Otóż nie, wprowadzone restrykcje zapobiegają jej nieznacznie. Główna przyczyna zaśmiecenia wód leży bowiem na innych kontynentach. 90% niebezpiecznych śmieci dostaje się do naszych mórz m.in. z Egiptu, Wietnamu, Chin oraz Indii. Przepływają one systemami rzeczniczymi przez kraje, które dopiero od kilku lub kilkunastu lat notują szybki wzrost gospodarczy. Unijni komisarze i europosłowie powinni raczej

skoncentrować się na tych krajach, a nie zasypywać Europę kolejnymi zakazami”, uważa dziennikarz frankfurckiej gazety.

Pierwsze skrzypce

Niemniej jednak w walce z plastikiem Niemcy nadal grają w Europie pierwsze skrzypce. Minister środowiska RFN Svenja Schulze (SPD) wprowadziła w tym roku całkowity zakaz używania jednorazowych toreb plastikowych. Nieobjęte zakazem pozostaną jeszcze przez parę miesięcy lekkie torby, w rodzaju tzw. zrywki do warzyw i owoców. Schulze utrzymuje, że jej decyzja jest nieodwracalna i zgodna z wolą większości rodaków. Przy czym można przypuszczać, że się nie myli, ponieważ niemieccy detaliści w ciągu ostatnich trzech lat sami – bez jakichkolwiek dyrektyw i restrykcji – zredukowali używanie foliówek o prawie dwie trzecie. Według ustaleń Federalnego Ministerstwa Środowiska niemiecki konsument w 2016 r. zużywał ok. 70 plastikowych toreb, w 2019 r. zaledwie 25. Jeśli więc chodzi o reklamówki, Niemcy są dzisiaj

o kilka długości przed celem wytyczonym przez Unię, czyli ograniczeniem ich zużycia do 40 sztuk na mieszkańca do 2025 r. (!). Dla porównania – według ustaleń portalu Bankier.pl polscy konsumenci nadal wykorzystują rocznie ok. 400 toreb foliowych. Co prawda, w 2018 r. objęto w Polsce foliówki opłatą recyklingową, lecz zapowiedziana przez Ministerstwo Środowiska rzeka pieniędzy, która miała wpływać do budżetu, okazała się wąskim strumykiem.

Polski budżet miał w ten sposób pozyskiwać ponad 1 mld zł rocznie, ale według informacji z Ministerstwa Finansów do połowy 2019 r. wpłynęło zaledwie ok. 70 mln zł. Problem polegał na tym, że opłatą 20 gr obłożono jedynie torby o grubości od 15 do 50 mikrometrów. W rezultacie detaliści zaczęli po prostu sprzedawać torby grubsze niż 50 mikrometrów, zatrzymując sobie opłatę za nie. Nowa regulacja ani nie dała wpływów podatkowych, ani nie zmniejszyła masy odpadów z tworzyw sztucznych. Opła-



Skupomaty można dziś znaleźć niemal w każdym niemieckim sklepie spożywczym.

tę recyklingową zapłaciły co najwyżej apteki, które nie chciały omijać ustawy. Z tego powodu w Polsce opłacie ma teraz podlegać każda reklamówka, z wyjątkiem wspomnianych zrywek na owoce, warzywa i pieczywo, których użycie podyktowane jest względami higienicznymi. Z drugiej strony całkowity zakaz foliówek jest krytykowany nawet przez niektórych ekologów niemieckich.

Trudne rozstanie

„Zwyczajnie zmienia edukacja, nie zaś opłata za torebkę foliową”, ocenia Sandra Schäder, ekodziałaczka i dziennikarka portalu gazety „Hamburger Morgenpost”. Według niej wprowadzenie opłat recyklingowych będzie miało ujemny wpływ na przyszłość wielu przedsiębiorstw w Unii Europejskiej, ponieważ uprzywilejowuje większych producentów papieru albo np. bawełny. Z ubiegłorocznych badań duńskiej agencji rządowej ds. środowiska Miljøstyrelsen wynika, że produkcja i utylizacja uznawanych powszechnie za bardziej ekologiczne toreb bawełnianych jest znacznie szkodliwsza dla środowiska niż cienkich toreb plastikowych. „Torba nieplastikowa musiałaby być używana aż 52 razy, aby zrównoważyć jej wpływ na środowisko”, przekonuje Sandra Schäfer.

Podobnych krytycznych głosów przybywa także na łamach innych

niemieckich gazet, chociażby w konserwatywnej Bawarii, gdzie rządy chadeków z CSU licytują się z Die Grünen w ekologicznej gorliwości. „Nasza schizofrenia jest doprawdy zaskakująca. Partia Zielonych cieszy się coraz większym poparciem, troszcząc się rzekomo o nasze zdrowie i środowisko. Jednocześnie rośnie ruch lotniczy i sprzedaż nieekologicznych SUV-ów. Wbrew wszelkim restrykcjom foliówki nadal fruwać w powietrzu i zwiększa się zużycie jednorazowych opakowań z plastiku. Okazuje się, że wszelkie apele o zachowanie rozsądku na nic się nie zdają. Ludzie wolą poczekać, aż ich

tworzyw sztucznych oraz ilość plastikowych odpadów.

Kropla w morzu potrzeb

Bodaj w żadnym innym państwie członkowskim Unii Europejskiej nie zużywa się tyle plastiku co w Niemczech. Z ustaleń Europejskiego Urzędu Statystycznego (Eurostatu) w Luksemburgu wynika, że zużycie plastiku w Niemczech wciąż wzrasta, ponieważ rośnie tam popyt na zakupy w internecie. A towary zamówione w sieci najczęściej wymagają plastikowego opakowania, by zapobiec uszkodzeniom podczas przesyłki.

Minister środowiska RFN wprowadziła w tym roku całkowity zakaz używania jednorazowych toreb plastikowych.

bierność zostanie ukarana zakazami Komisji Europejskiej. Z drugiej strony restrykcje Brukseli oraz jej chęć prowadzenia nas za rączkę nie zwiększą naszej sympatii do eurokratów”, ostrzega ratyżbońska „Mittelbayerische Zeitung”.

Można odnieść wrażenie, że bawarski dziennik obnażył pewną niemiecką sprzeczność: Niemcy są w awangardzie walki z plastikiem, uchodzą wręcz za europejskich fanatyków ekologicznego stylu życia, a zarazem wciąż należą do ścisłej czołówki, jeśli chodzi o produkcję

Poza tym do modnych papierowych torebek w sklepach spożywczych i hipermarketach niemieccy konsumenci ciągle wkładają wiele plastiku. Na cóż bowiem ekologicznie poprawna torebka, skoro przeciętny Niemiec jest singlem i wobec tego gorliwym konsumentem potraw, które można szybko przyrządzić w mikrofalówce? A gotowe jedzenie zazwyczaj jest opakowane w plastik. Niemcy są także niezaprzeczalnymi europejskimi liderami w branży kosmetycznej, która raczej nie tak szybko zrezygnuje z tworzyw sztucznych.

► Z tego względu wszelkie niemieckie sposoby walki z plastikiem ciągle jeszcze wydają się kroplą w morzu potrzeb. Wprawdzie w niemieckich sklepach pojawia się coraz więcej artykułów luzem, konsumenci przychodzą coraz częściej z własnymi torbami płóciennymi wielokrotnego użytku, a w dużych sieciach handlowych, takich jak Edeka czy REWE, próżno szukać plastikowych torebek, nawet tych lekkich przy półkach z warzywami, jednak góra plastikowych odpadów się zwiększa (w 2019 r. było ich ok. 20 mln ton).

Ponadto niemieccy naukowcy kwestionują unijne dyrektywy także pod względem ekonomicznym. „Koszty produkcji oraz korzystania z alternatywnych materiałów będą o wiele wyższe niż w przypadku plastiku. To trochę tak jak z modnymi kiedyś choinkami sztucznymi, które miały ocalić te prawdziwe i chronić środowisko. Dziś już wiemy, że wyprodukowanie sztucznej choinki jest bardziej szkodliwe niż ścięcie kilkunastu prawdziwych w lesie. Podobnie oceniam regulacje unijne, mające

zmusić nas do rezygnacji choćby z cienkich foliówek”, mówi dr Wolfgang Pauser, austriacki prawnik i specjalista ds. konsumpcji.

Nowe technologie

A jednak mimo tych sprzeczności walka z plastikiem w Niemczech i Unii Europejskiej jest jak najbardziej potrzebna. To problem dotyczący nie tylko zdrowia oraz ekologicznego stylu życia, ale również najwyżej w świecie estetyki. Latem na plażach wielu niemieckich jezior gromadzą się wręcz usypiska odpadów z tworzyw sztucznych. Plastik niezwykle trudno i długo się rozkłada, a zdaniem ekspertów tak naprawdę nigdy nie rozkłada się do końca, trafiając do organizmów ryb i innych zwierząt morskich.

Tymczasem pojawiają się nowe technologie, które w przyszłości mogą zastąpić tworzywa sztuczne, choćby biodegradowalne opakowania, lecz ich produkcja jeszcze przez długi czas będzie droższa niż plastikowych. Ciekawe rozwiązania w walce

ze zbędnymi opakowaniami z plastiku mają na koncie niemieckie start-upy. Natomiast na Uniwersytecie Technicznym w Berlinie młodzi naukowcy pracują nad wytworzeniem z surowców pochodzenia naturalnego plastikopodobnego materiału, który mógłby zostać wykorzystany przy produkcji sztućców, talerzy, patyczków do uszu oraz słomek do picia. Najwięcej jednak zależy od postaw samych konsumentów, którzy powinni zaczynać rozumieć, że życie na wysypisku plastikowych odpadów nie jest przyjemne. Edukacja i świadomość ekologiczna może wymusić zmianę modeli biznesowych i skłonić producentów do innego myślenia. Być może warto się skupić na wytwarzaniu trwalszych, nie zaś jednorazowych towarów, co ma miejsce w coraz większej liczbie branż. Ale czy wówczas foliówka naprawdę przejdzie do historii? Nie wolno nam składać broni w wojnie z plastikiem, ale może warto się zastanowić, czy każde zalecenie unijnych władz jest słuszne.

Wojciech Osiński



17 CZERWCA 2020
PGE NARODOWY · WARSZAWA

BILETY: LIVENATION.PL / TICKETMASTER.PL

GUNSNROSES.COM

LIVE NATION

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Tegoroczny, rekordowy, kilkusetmilionowy budżet Instytutu Pamięci Narodowej nie zostanie uszczuplony, co postulowała posłanka lewicy Marcelina Zawisza, proponując przesunięcie części nadwyżki nad budżet ubiegłoroczny do Państwowej Inspekcji Pracy, instytucji chronicznie niedofinansowanej i pozbawionej oparcia w rządowych głowach. IPN dostanie w tym roku rekordowe 423 mln zł – o 81 mln zł więcej niż w roku 2019. Dlaczego? Nie jest jasne. Spora część pójdzie na publikacje o charakterze propagandowym, które wzmacniają dominujący w tej formacji

korzenie i nie bardzo mogą się wyrwać. Wilczyk w swoich projektach fotograficznych w ostatnich dekadach śledził, znajdował, upamiętniał. Fotografował „Czarno-biały Śląsk”, portretował „Życie po życiu” – stare, zniszczone, porzucone samochody, i „Kapitał” – rozmaite formy śląskiego małego biznesu, dokumentował „Postindustrial” – rozpadające się, ginące dawne fabryki i kombinaty produkcyjne w Polsce i Niemczech. W cyklu „Niewinne oko nie istnieje” stawiał aparat fotograficzny przed budynkami, które kiedyś wypełnione były tłumem żydowskich mieszkańców i obywateli

z powstaniem warszawskim czczonym jak Polska długa i szeroka, od morza po Tatry, od Bugu do Odry, mamy husarzy, Paderewskiego, powstańców wielkopolskich, „Inkę”, św. Faustynę i Jana Pawła II. Oglądamy mityczną, nieistniejącą w historii krainę wojów, pompatycznych i aż do poziomu patologii patetycznych cytatów, inskrypcji łańskich; wszystko zanurzone w sosie wysprejowanych barw narodowych. Liczone w tysiącach wizerunki, murale opowiadają z perspektywy antysystemowej wspólnoty postkibicowskiej lub jawnie faszyzującej historię Polski wymyśloną przez IPN. Kult

Patriorealistyczny

przekaz o wyjątkowości zarówno cierpień, jak i męstwa Polaków w dziejach, szczególnie podczas II wojny światowej i w latach następnych. Dostajemy więc martyrologiczno-pseudopatriotyczny, bezkrytyczny i ahistoryczny przekaz o niezłomności, wyklętości, bohaterstwie. W konsekwencji upamiętnieni zostają – i to przez przedstawicieli najwyższych instytucji w państwie, premiera Morawieckiego czy prezydenta Dudę – także zbrodniarze wojenni (i powojenni), którzy mordowali ludność cywilną i Żydów, oraz formacje współpracujące z hitlerowcami (Brygada Świętokrzyska NSZ). To się dzieje na górze, płynie z kręgów władzy i ich przekazu polityki historycznej. Ale co się dzieje z tym dalej?

Maria Janion w liście do Kongresu Kultury w roku 2016 pisała: „Nie mam wątpliwości, że trwała nasza niezdolność do modernizacji ma źródło w sferze fantazmatycznej, w kulturze przywiązania zbiorowej nieświadomości do bólu, którego źródła dotykamy z największym trudem, po omacku. Naród, który nie umie istnieć bez cierpienia, musi sam sobie je zadawać”.

Wojciech Wilczyk jest poetą i fotografem, od lat przemierza Polskę, często docierając tam, gdzie inni nigdy się nie zapuszczają, oprócz tych, którzy tam mają

Polski, a dzisiaj są sklepami, magazynami, kinami, ruinami. Tworzył w ten sposób dojmujący portret polskiej niepamięci o zagładzie Żydów na ziemiach polskich. W ostatnich latach podążał śladami „Świętej Wojny” toczzonej między zwaśnionymi kibicami w całej Polsce i w poszczególnych miastach. Wojna ta znajdowała „artystyczny” wyraz w muralowych wizjach, wizerunkach, hasłach. I to wówczas Wilczyk dostrzegł niewykłą popularność i liczebność murali o tzw. wymiarze patriotycznym, zdominowanych przez kilka podstawowych, powtarzalnych wzorców: osobowych, tematycznych, tekstowych. To przekaz ideowy IPN, który zstąpił na mury polskich miast, miasteczek i wsi i zapatriotyczył tę przestrzeń, często dotkniętą równocześnie fizyczną degradacją. Tak właśnie powstał „Słownik polsko-polski”, wydany w tych dniach przez krakowską oficynę Karakter. Wymalowane mury, ściany garaży pokryte „patriotycznymi” muralami – zapis podróży Wilczyka po kilkuset miejscach hipnotyzuje konsekwentnymi wzorcami estetycznymi, wizją bohaterstwa zakłęta w historii najnowszej jakby prosto z bryków IPN. Mamy więc zasadniczo podobizny niemal samych mężczyzn: żołnierzy, partyzantów, „wyklętych”, NSZ-owców, WiN-owców, mamy wizerunki związane

kłęski, przegranych potyczek, które jak w Muzeum Powstania Warszawskiego urosły do wymiarów zwycięstwa, fantasmagorie „hurrapatriotyzmu” przekute na odrealnione wzorce męskości, obywatelstwa, polskości. Są wszędzie wokół nas. Będą nam towarzyszyć. Niektórych kształtować. Te dwa języki polskie są nieprzekładalne na siebie. I to udało się Wilczykowi opowiedzieć w tych kilkuset kadrach. Trudno je przemilczeć i zlekceważyć. Szczególnie że wiele z tych murali powstało za pieniądze samorządów. Układają się w wielki wyobraźniowy atlas naszego powszechnego, polskiego nacjonalizmu.



Andrzej Kapkowski

Prawno-politycznym wyróżnikiem pisowskiej tzw. ustawy dezubekizacyjnej z 16 grudnia 2016 r. jest złamanie przez nią obowiązującej w systemach demokratycznych zasady nienaruszania praw nabytych i niestosowania odpowiedzialności zbiorowej.

Ustawa ma również wyjątkowe aspekty społeczno-moralne, jej powstanie bowiem poprzedzała bardzo zjadliwa, nienawistna propaganda, przedstawiająca funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa jako wyzutych z sumienia oprawców i zdrajców ojczyzny. W kampanii tej aktywnie uczestniczyli członkowie rządu, posłowie PiS, usłudzy historycy i publicyści, co nadało ustawie dziejowy wymiar. W rzeczywistości to sąd nad PRL, dokonywany prawie 30 lat po upadku systemu socjalistycznego i przy rozmyślnym wskazaniu wyłącznie służb bezpieczeństwa jako winowajcy. Populistycznym hasłem mającym zapewnić poparcie mas było przywrócenie sprawiedliwości społecznej.

W istocie rzeczy, ze względu na mściwość zapisów ustawowych i posługiwanie się półprawdami pod z góry założone tezy, ustawa nabrała represyjnego charakteru.

Zabranie wysługi emerytalnej za służbę w PRL sprawiło, że 59 funkcjonariuszy emerytów zmarło w następstwie nagłych zawałów i udarów lub popełniło samobójstwo. Ustawy o takich skutkach jeszcze w III RP nie było.

Manipulacje

Koronny argument, że kaci mają więcej niż ofiary, okazał się naciągany hasłem propagandowym. Z pojedynczych przypadków emerytur sięgających ok. 18 tys. zł brutto zrobiono nagłośnioną regułę, nie podając opinii publicznej późniejszych i wymuszonych z Zakładu Emerytalno-Rentowego MSW danych, że średnia wysokość emerytur wynosiła ok. 2,5 tys. zł netto. Faktyczny wymiar rzekomej niesprawiedliwości w porównaniu z emeryturami cywilnymi jest więc zupełnie inny, niż głoszą. Należy przy tym zaznaczyć, że emerytury pobierane przez funkcjonariuszy, którzy zaczęli służbę po 1990 r., są znacząco wyższe niż te „uprzywile-

Mściwe prawo

Ustawy o takich skutkach jeszcze w III RP nie było – 59 funkcjonariuszy emerytów po decyzji o zmniejszeniu świadczeń zmarło na zawał lub udar albo popełniło samobójstwo

jowane” z lat PRL. I jeszcze bardziej przewyższają cywilne świadczenia. Nie wywołuje to jednak niepokoju rządzących o naruszanie zasady sprawiedliwości społecznej.

Gdyby nawet przyjąć, że są to emerytury słusznie nabyte, wypada przypomnieć, że działaniom służb towarzyszyły takie wpadki jak: śmierć Barbary Blidy, inwigilowanie polityków, prowokacje wobec Andrzeja Leppera, aresztowanie prezesa Orlenu Andrzeja Modrzejewskiego, nieuczciwe rozgrywanie postanki Beaty Sawickiej i biznesmena Romana Kluski, dostarczanie „haków” na przeciwników, „lojalki” czy dzikie lustracje. Przypadki te oczywiście nie równoważą represyjności służb z lat 1944-1956, ale obciążania winą funkcjonariuszy, którzy rozpoczęli służbę po roku 1960, nie da się moralnie i prawnie uzasadnić. Faktyczni sprawcy prześladowań w większości już zmarli bądź dużo wcześniej opuścili Polskę. Natomiast ówcześni wykonawcy represji

odpowiem, że w tym zniewolonym państwie dzieci robotników i chłopów zdobywały wyższe wykształcenie, służba zdrowia i szkolnictwo były bezpłatne, a w światowym dorobku kultury i nauki nie brakowało polskich twórców z PRL.

Pokolenie oficerów z lat 1960-1989 nie musiało już się odwoływać do zastraszania obywateli, by uzyskać ich pomoc w prowadzonych działaniach. Twórcy ustawy nie chcieli jednak zauważyć zmian, jakie zachodziły w relacjach służb ze społeczeństwem, i woleli w rozliczeniowym zapale wrzucić do jednego worka cały okres PRL i wszystkich funkcjonariuszy SB, w tym pozytywnie zweryfikowanych w 1990 r. Nie wartościując jednostek służby, wypada zaznaczyć, że nawet rozwiązane definitywnie w 1990 r. struktury zwalczające opozycję i Kościół były formacjami ustawowymi i działały w legalnym państwie. Ciągłość państwa też nigdy nie była podważana.

Koronny argument, że kaci mają więcej niż ofiary, okazał się naciągany hasłem. Średnia emerytura funkcjonariusza wynosiła 2,5 tys. zł netto.

byli młodymi, niewykształconymi, zindoktrynowanymi funkcjonariuszami. Żyjący mieliby dzisiaj ponad 90 lat.

Dla ludzi poważnie zajmujących się bezpieczeństwem oczywista jest złożoność powiązań służb specjalnych z aparatem polityczno-państwowym. W każdym ustroju służby specjalne są instrumentem rządzących, z natury nie są demokratyczne, a ich apolityczność jest względna. Z prawdy tej powinno wynikać pewne umiarkowanie w rozliczaniu służb, by nie popaść w zakłamanie.

Na wysuwany przez Krystynę Pawłowicz zarzut, że służba bezpieczeństwa zniewalała Polskę i Polaków,

Nie da się także zaprzeczyć, że te ograbione z emerytur służby gwarantowały bezpieczeństwo państwa i obywatela, zyskały uznanie aktualnych sojuszników i stworzyły podwaliny obecnego bezpieczeństwa kraju. Wybitne osiągnięcia, które na trwałe weszły do dorobku polskich służb specjalnych, to nie tylko wprowadzenie amerykańskich oficerów z Iraku, ale również zdobywanie bardzo cennych dla rządzących źródłowych opracowań wywiadowczych. Materiały takie zdobywano poprzez ryzykowne tajne wejścia do znajdujących się w Polsce placówek przeciwnika i stosowanie szkodliwych



Pikieta przed Sejmem byłych pracowników służb mundurowych w sprawie ustawy dezubekizacyjnej, 16 grudnia 2019 r.

borczego atakuje demonstrujących emerytów Straży Granicznej, łączy ich, grozi i wyrywa z rąk transparent. Na szczęście nikt nie odniósł ran, choć wiemy przecież, do czego może prowadzić mowa nienawiści.

Wartości „etyczne” ustawy

Niestety, również wypowiedzi wielu czołowych polityków sprzyjały tworzeniu nienawistnego klimatu wobec środowiska służb bezpieczeństwa, i to wbrew równoległym zapewnieniom, że rząd troszczy się o wszystkich Polaków, a o emerytów w szczególności. Oto niektóre wypowiedzi.

Prezydent Andrzej Duda: „Nawet ręka mi nie drgnęła, gdy podpisywałem ustawę dezubekizacyjną”, „Należy eliminować z przestrzeni publicznej dzieci i wnuki esbeków, gdyż są to potomkowie zdrajców”.

Premier Mateusz Morawiecki (w Brukseli): „Esbecy mordowali polskich bohaterów”.

Posłanka PiS Krystyna Pawłowicz: „Krzywdzili ludzi, służyli obcemu państwu, zniewalali Polskę i Polaków. Jak nie mają za co żyć, niech sprzedają swoje dachy i złoto”.

Posłanka PiS Beata Kempa (w kościele do robotników): „Odebraliśmy emerytury waszym oprawcom”.

dla zdrowia technik niezbędnych do pokonywania zabezpieczeń. Niektórzy z wykonawców tych operacji przedwcześnie zmarli na skutek uszczerbku na zdrowiu, a większość żyjących walczy z nowotworami. Fakty te dedykuję tym, którzy twierdzą, że „esbecy” tylko korzystali z przywilejów, niczym nie ryzykując. Tym przywilejem zawsze była i będzie stała dyspozycyjność, ryzyko wpadki i odpowiedzialność, funkcjonowanie w ciągłej tajemnicy, stresie i ograniczeniach w życiu rodzinnym.

Niepodważalnym osiągnięciem ówczesnej służby były również zatrzymanie dyplomatów – oficerów wywiadu w trakcie wykonywania przez nich na terenie Polski tajnych operacji wywiadowczych. Ujawnienie i udokumentowanie takich operacji w sposób niewywołujący protestów dyplomatycznych jest bardzo trudne. Profesjonalizm ten został doceniony przez wszystkich partnerów zachodnich, a zwłaszcza CIA, która np. zaprosiła emerytowanego pułkownika do Langley, by podzielił się swoim doświadczeniem, i przyznawała naszym oficerom medale zasłużonych dla bezpieczeństwa Stanów Zjed-

noczonych. To również CIA, jeszcze przed weryfikacją, wystąpiła z apelem do ministra Andrzeja Milczanowskiego o pozostawienie w służbie doświadczonej kadry.

Przedstawione działania służb specjalnych nie miały nic wspólnego z represjonowaniem, zostały docenione

Już ponad 1,5 tys. emerytów zmarło, nie doczekawszy rozpraw odwoławczych.

przez partnerów, ale nie zyskały uznania autorów ustawy. Funkcjonariusze zostali ograbieni z emerytur, a pozytyw ich pracy przemilczano. Zamiast tego rządowe media eksponowały informacje o „esbeckich” represjach, w tym filmowe sceny z rozpędzania opozycyjnych demonstracji. A przecież wiadomo, że pałującymi nie byli funkcjonariusze wywiadu czy kontrwywiadu ani nawet policji politycznej.

Przyjąć należy, że zamysłem takich przekazów było wywołanie wrogości społeczeństwa. Strategia ta zdaje egzamin, czego potwierdzeniem jest jedna ze scen filmu Andrzeja Dziedzica „Listy śmierci”, w której kilku uczestników pisowskiego wiecu wy-

Posel PiS Stanisław Pięta: „Służyli obcemu, okupacyjnemu reżimowi i realizowali sowieckie interesy. Powinni być sądzeni za zdradę. Nie powinni otrzymywać ani grosza. Niech ich Putin uposaża”.

Premier Beata Szydło: „W imię przywracania godności, honoru i sprawiedliwości społecznej oprawcy i gnębielcy Solidarności będą mieli obniżone emerytury”.

Z kolei wiceminister spraw wewnętrznych i administracji **Jarosław Zieliński** cynicznie eksponował wysokości kwot, jakie skarb państwa zyskał na obniżce emerytur.

Przytoczone wypowiedzi świadczą o przyjęciu przez PiS roli sumienia ▶

► narodu i o niebywałym zaangażowaniu rządu oraz pisowskich posłów w ustawę, która z ducha i litery łamie standardy moralne i prawne. Nieetyczne jest bowiem zarówno nazywanie zdrajcami 50 tys. byłych funkcjonariuszy SB, jak i manifestowanie satysfakcji z drastycznego obniżenia emerytur. Powoływanie się na wymogi sprawiedliwości społecznej jest zwykłym populizmem, a nawet obtudą. W przytoczonych wypowiedziach i zapisach ustawowych trudno dostrzec dobro, a gdyby nawet przyjąć, że dbałość o sprawiedliwość jest szczerą, to chrześcijaństwo zabrania osiągania moralnych celów niemoralnymi metodami. Deklarowanie więc przez twórców ustawy przywiązania do wartości religijnych nie idzie w parze z ich dziełem.

Zarzuty zdrady nie dość, że nie mają potwierdzenia w postaci postępowań prokuratorskich, to jeszcze rozmijają się z realiami. A są one takie, że w końcu lat 80. łącznicy służb specjalnych krajów demokracji ludowej zarzucali polskim oficerom zdradę socjalizmu, nieradzenie sobie z opozycją i rozbijanie całego systemu.

Represyjność ustawy

Bezzasadne zarzuty zdrady potwierdzają, że ustawa jest nieuczciwa, bo w sposób nieobiektywny przedstawia służbę kilkudziesięciu tysięcy

byłych funkcjonariuszy, eksponując wyłącznie represyjność, podczas gdy wielu z nich, np. funkcjonariusze Biura Paszportów, Zarządu Łączności, Straży Granicznej czy Biura Ochrony Rządu nie mieli nawet możliwości represjonowania. Bardzo szeroki, partyjnie ustalony katalog jednostek zaliczonych do struktur bezpieczeństwa umożliwił wrzucenie do represyjnego worka każdej wskazanej przez PiS formacji mundurowej. Za sprzeczne z duchem

zgodnej z zasadą bezzwłocznego rozpatrywania spraw, już ponad 1,5 tys. emerytów zmarło, nie doczekawszy rozpraw. Jest zatem oczywiste, że stworzony na potrzeby ustawy klimat politycznej niechęci do dawnego aparatu bezpieczeństwa wpływa na postępowanie wymiaru sprawiedliwości. W istocie jest to celowe pozbawienie poszkodowanych jakichkolwiek szans na zmianę położenia. Takie podejście rodzi i legalizuje

Prezydent Andrzej Duda: „Należy eliminować z przestrzeni publicznej dzieci i wnuki esbeków, gdyż są to potomkowie zdrajców”.

sprawiedliwości należy uznać, że sądy w postępowaniach odwoławczych z lat 2010-2016 nie rozstrzygały, czy dany funkcjonariusz naruszył swoim działaniem prawa obywatelskie, lecz jedynie ustalały, czy jednostka, w której pracował, znajdowała się w katalogu formacji zaliczanych do represyjnych. Efektem takiego podejścia było automatyczne wydawanie niekorzystnych wyroków po zaledwie 15-minutowym procedowaniu. Odrzucane były również przez prokuratury wnioski emerytów o wszczęcie postępowań wyjaśniających, czy istotnie byli oni oprawcami, co praktycznie wykluczało możliwość dochodzenia swoich praw.

Ustawową represją, a nie przywracaniem sprawiedliwości, jest zabranie wraz z obniżaniem świadczeń kwot waloryzacyjnych oraz kwot uzyskanych z podwyższania emerytur o 1,3% rocznie z tytułu pracy i odprowadzania składek na ZUS. Prawo to, z którego korzystają wszyscy cywilni emeryci w Polsce, zostało zabrane emerytom organów bezpieczeństwa przez wprowadzenie limitu ograniczającego maksymalną wysokość emerytury do średniej emerytury krajowej (1770 zł netto). Przyjęte rozwiązania spowodowały zagrożenie dla podstaw bytowych emerytów, wzrastające ze względu na coraz bardziej zaawansowany wiek (70+) i pogarszający się stan zdrowia.

Represją jest również zawieszenie postępowań odwoławczych przez Wydział XIII Sądu Okręgowego w Warszawie na nieokreślony czas, ze względu na trwający już dwa lata brak odpowiedzi Trybunału Konstytucyjnego na pytanie o zgodność ustawy z konstytucją. Przy opieszałości Trybunału Konstytucyjnego, nie-

ponadto obojętność na dramatyczną sytuację resortowych emerytów, co potwierdzają wypowiedzi niektórych pisowskich posłów, np. poseł Marek Suski stwierdził, że o ewentualnym związku śmierci z ustawą świadczyłyby dopiero listy zostawione przez samobójców, natomiast Krystyna Pawłowicz zaleciła drogę sądową do rozstrzygania spraw. Właściwą odpowiedź na tę obojętność stanowi wspomniany już film Andrzeja Dziedzica „Listy śmierci”, ale jest on przez rządzących ignorowany.

Ustawa dezubekizacyjna nie przyniosła żadnych pozytywnych skutków. Nie dała sprawiedliwości, wprowadziła represyjność, pogwałciła normy prawne i moralne, rozbudziła złe emocje i wrogość. Jest też przykładem amatorskiego rozumienia bezpieczeństwa państwa, a zwłaszcza sytuowania służb specjalnych w układzie władzy państwowej.

Ustawa źle oddziałuje na dalsze stanowienie prawa, gdyż jest ono obciążone polityczną gotowością do łatwego stawiania zarzutów i ulegania wpływom partyjnym.

Obecnie, w związku z wniesieniem 16 grudnia 2019 r. do łaski marszałkowskiej projektu nowelizacji ustawy, jest szansa, by wyjść z tego obciążenia i przywrócić wiarę w stanowienie uczciwego prawa. Nowelizacja jest potrzebna i należy ją jak najszybciej przeprowadzić. Wymaga tego ludzka, nie partyjna, sprawiedliwość i szacunek dla prawa.

Gen. Andrzej Kapkowski jest psychologiem po UW. Od 1968 r. w kontrwywiadzie cywilnym. W 1996 r. dyrektor Zarządu Kontrwywiadu Urzędu Ochrony Państwa. W latach 1996-1997 szef UOP

Zamieszczony w najnowszym numerze tygodnika „NIE” portret nowego lidera Platformy Obywatelskiej może i by był zabawny, gdyby dawał jakąś nadzieję. Ale nie daje.



Walka o emerytury stażowe – nowe otwarcie

Emerytury stażowe pozwoliłyby zmniejszyć skalę zatrudnienia w szarej strefie

Renata Górna, Bogdan Grzybowski
Wydział Polityki Społecznej, Rynku Pracy,
Ubezpieczeń i Zdrowia OPZZ

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych od kilkunastu lat zabiega o wprowadzenie emerytur stażowych, tj. możliwość uzyskania prawa do świadczenia emerytalnego po osiągnięciu okresów składkowych w wymiarze 35 lat dla kobiet i 40 lat dla mężczyzn, bez względu na wiek osoby uprawnionej. To nasz pomysł i nasz projekt popierany przez związkowców, pracowników, obywateli.

Problem skorzystania z prawa do emerytur stażowych narodził się w momencie wprowadzenia reformy emerytalnej w 1998 r., po przejściu z systemu zdefiniowanego świadczenia na system zdefiniowanej składki – zmieniono wówczas sposób wyliczania emerytur. Wprowadzono metodę, zgodnie z którą, ile sobie uskładasz, tyle emerytury dostaniesz (kwota składek będzie podzielona przez dalszy przewidywany okres przeżycia). Wtedy też okazało się, że bez wpłat na fundusz emerytalny wiek emerytalny jest kwestią drugo- czy trzecio-planową. Można pracować i sto lat, ale jeśli się nie odprowadza składek, nie ma się szans nawet na minimalną emeryturę.

OPZZ zaczęło głośno mówić o emeryturach stażowych ok. 10 lat temu. Przez dwie kadencje związkowcy prezentowali tę inicjatywę w parlamencie. Kulminacją był obywatelski projekt, pod którym podpisało się ponad 700 tys. pracowników. Był on dwukrotnie przedstawiany w Sejmie – 22 lipca 2010 r. i 29 lutego 2012 r. Wtedy się nie udało – parlament nie podjął prac nad tą propozycją.

Od tamtego czasu nie ma dnia, abyśmy nie zabiegali o wprowadzenie tego rozwiązania, apelując o poparcie decydentów i polityków, bo poparcie społeczne mamy od dawna.

Kolejny etap naszych działań to skierowanie 5 lutego 2015 r. pisma do prezesa Rady Ministrów, w którym ponowiliśmy postulat podjęcia prac nad projektem obywatelskim. Niestety, po raz kolejny koalicyjny rząd PO-PSL negatywnie odniósł się do naszych propozycji. Następne pismo do premiera, tym razem rządu PiS, Mateusza Morawieckiego, z postulatem emerytur stażowych skierowaliśmy w sierpniu 2018 r. Poinformowaliśmy w nim o złożeniu do Rady Dialogu Społecznego naszego projektu ustawy o zmianie ustawy o emeryturach pomostowych oraz ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy, prosząc o zainicjowanie procesu legislacyjnego.

Sprawy przyspieszyły w ubiegłym roku. 3 marca 2019 r. skierowaliśmy do prezydenta RP projekt ustawy wprowadzający dodatkową możliwość skorzystania z prawa do emerytury po 35 latach stażowych dla kobiet i 40 latach stażowych dla mężczyzn, z prośbą o wsparcie prac nad zmianą prawa w tym zakresie. A 9 maja 2019 r. wystosowaliśmy petycję do ministerstwa rodziny, pracy i polityki społecznej o poparcie złożonych w Radzie Dialogu Społecznego dwóch projektów ustaw emerytalnych:

w sprawie emerytur stażowych i w sprawie niewygasającego charakteru emerytur pomostowych. Kolejna wymiana pism, kolejna wymiana argumentów.

Przełom nastąpił 23 stycznia 2020 r. Parlamentarzyści z Polskiego Stronnictwa Ludowego z prezesem Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem na czele złożyli nasz projekt ustawy jako projekt poselski do marszałek Sejmu Elżbiety Witek. To początek drogi do dyskusji w parlamencie i przedstawienia atutów naszego rozwiązania.

OPZZ zawsze wskazywało płynące z niego korzyści, nie tylko indywidualne, ale też społeczne i ekonomiczne. W naszej ocenie są nimi w szczególności: zwiększenie zainteresowania pracowników wykonywaniem pracy rejestrowanej, zmniejszenie skali zatrudnienia w szarej strefie, zmniejszenie liczby przypadków ukrywania przez pracodawców i pracowników



Manifestacja OPZZ przed siedzibą Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w Warszawie, 9 czerwca 2019 r.

faktycznie osiągniętych zarobków, zmniejszenie liczby przypadków zgłaszania zanizonych wynagrodzeń do ubezpieczenia społecznego i urzędów podatkowych czy zmniejszenie skali zastępowania umów o pracę umowami cywilnoprawnymi. To także realne zwiększenie wpływów do budżetu z podatku dochodowego od osób fizycznych, do Narodowego Funduszu Zdrowia ze składek na ubezpieczenie zdrowotne, a także do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych składek ubezpieczenia społecznego. Najważniejsze jest jednak prawo do wcześniejszej emerytury, która będzie decyzją podejmowaną indywidualnie przez pracowników, w zależności od stanu zdrowia czy sytuacji rodzinnej.

Informacje o wszystkich inicjatywach podjętych przez OPZZ w tym zakresie dostępne są pod adresem: www.opzz.org.pl/aktualnosci/kraj/walka-o-emerytury-stazowe-ten-projekt-powstal-w-opzz. Na stronie OPZZ można znaleźć także materiał wideo z konferencji prasowej w Sejmie z udziałem przewodniczącego OPZZ Andrzeja Radzikowskiego i prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Rozmawia Urszula Abućewicz

Joanna Wawrzyniak i Aleksandra Leyk oddają głos ekonomistkom, brygadystom i dyrektorom zakładów, którzy w latach 90. przeszli „terapię szokową”. O swoich doświadczeniach pracownicy i pracownice sprywatyzowanych przedsiębiorstw opowiadają w książce „Cięcia. Mówiona historia transformacji”.

Jeden ze zwolnionych pracowników Wedla ponoć do końca swoich dni przychodził pod zakład, siadał na ławeczce i patrzył na ukochane miejsce pracy. Dużo sentymentu w waszej książce.

Joanna Wawrzyniak: – To prawda. Ja np. z sentymentem wspominałam inżynierów z FSO, bardzo wielkownych panów, którzy nie ukrywali emocji, opowiadając o nieistniejącym już zakładzie pracy. Pamiętam, jak jeden mówił z rozrzewnieniem: „Usiąść i płakać tylko. Zostały ruiny i gruzy. Nic więcej”. Mój rozmówca urodził się w 1937 r. Jestem w kontakcie z jego córką, która dopytuje się, kiedy książka wyjdzie, bo jej ojciec bardzo na nią czeka. I to są takie wzruszające momenty, kiedy widzimy, że nasza praca ma sens, bo robimy ją także dla tych ludzi, żeby ich historie mogły dotrzeć do szerszego grona odbiorców.

Tych wspomnień i zakładów było znacznie więcej. Zdecydowaliście się na cztery zakłady pracy i ok. 30 wywiadów.

J.W.: – Dokładnie tych nagrań było 137. Z pojedynczymi wyjątkami są zarchiwizowane w Domu Spotkań z Historią w Warszawie. W latach 2010-2016 z pomocą studentów i współpracowników nagrałyśmy wspomnienia z 12 zakładów pracy w całej Polsce. W książce zawarłyśmy 27 wywiadów z Wedlą, Stomilu, Celulozy i FSO. Chodziło nam o przedsiębiorstwa, które zostały przejęte przez zagraniczne korporacje na samym początku lat 90. Wedla kupiło PepsiCo, FSO – Daewoo, Stomil – Michelin. Interesowało nas zderzenie kultur i idąca za tym zmiana organizacji zarządzania, która zmieniała świat naszych rozmówców. I to, w jaki sposób oni o tym opowiadają.

Kilku pracowników Stomilu mówiło, że wolałoby bezpośrednich,

Polska transformacja z ludzkiej strony

Od czasów Solidarności 1980-1981 wierzono, że będzie lepiej. A potem ludzie znaleźli się w rzeczywistości, do której niekoniecznie dążyli.



JOANNA WAWRZYNIAK I ALEKSANDRA LEYK

– socjolożki



uśmiechniętych szefów z Ameryki, a trafili im się sztywniacy z Francji, do których trudno było dotrzeć.

Aleksandra Leyk: – Jedną z naszych rozmówczyń opowiadała, że stała w kolejce w stołówce z prezesem Amerykaninem, który podał jej rękę, uśmiechnął się, nie okazał wyższości. Kobieta była mile zaskoczona. W wielu firmach zarządzanych przez ludzi z USA dystans był skracany choćby przez zwracanie

trochę paternalistyczną. François Michelin, a potem jego syn są wspomniani jak „dobrzy ojcowie”, dla których firma jest wartością nie tylko ekonomiczną. To również przykład stabilizacji. W przeciwieństwie do wielu zakładów olsztyńska firma nie została odsprzedana ani przejęta. Należy do Michelina do dziś.

J.W.: – Myślę, że ten francuski system dobrze się nałożył na PRL-owskie rozwiązania, bo jednak był stosunkowo hierarchiczny i niektóre zmiany udało się dosyć łatwo wprowadzić czy negocjować. Gorzej z kulturą azjatycką, która wraz z kupnem FSO przez koreańskie Daewoo trafiła do zakładu na Żeraniu i była dla wielu pracowników kompletnie niezrozumiała. Na początku dla Polaków każdy Azjata wyglądał tak samo. Potem doszły różnice dotyczące kultury pracy, standardów i czasu. Praca po 12-14 godzin była dla koreańskiego właściciela normą. Najgorzej te nowe porządki wspominają kobiety z produkcji i administracji. Nie odnajdowały się w azjatyckiej kulturze

Praca po 12-14 godzin była dla koreańskiego właściciela normą.

się do siebie po imieniu. Pozornie więc te relacje były partnerskie, ale już wkrótce pracownicy dostrzegli, że większość decyzji zapadała ponad ich głowami, a relacjom daleko było do partnerstwa. W przypadku Stomilu okazało się, że Francuzi – na pozór zdystansowani i sztywni – dawali pracownikom więcej niezależności. Trzeba też pamiętać, że Michelin był wtedy firmą rodzinną,

pracy, uważały, że były źle traktowane. Natomiast mężczyźni pracujący na stanowiskach kierowniczych podkreślają, że bardzo dużo od Daewoo się nauczyli, od kwestii produkcyjnej, technologicznej, po organizację pracy. Wszyscy też podkreślają kulturę dbałości o miejsce pracy. Jest taka anegdota o tym, jak Koreańczycy malują fabrykę i wciąż nie podoba im się kolor, więc kilka razy go zmieniają, aż do skutku. Jedni mówią, że to była jakaś aberracja, a drudzy opowiadają jako mit fundacyjny nowego systemu: „My też zaczęliśmy dbać o swoje miejsce pracy”.

Jednak FSO nie dało się uratować.

J.W.: – Staramy się pokazać historię FSO przez pryzmat różnych opinii. Dla niektórych to wina planu Balcerowicza, lecz pewien nasz rozmówca, związany z tą firmą całe życie, mówi, że fabryka zużyła się historycznie. Powiedział nam, że kardynalny błąd popełniono, budując tę fabrykę w Warszawie, a nie na obrzeżach miasta. Problemy bowiem zaczęły się nawarstwiać, kiedy stolica zaczęła się rozrastać. Druga sprawa, na którą zwrócił uwagę, to kryzys na rynku motoryzacyjnym w latach 90. To wszystko mówił człowiek, który walczył o przetrwanie fabryki, ale z żalem zauważał, że FSO było po prostu nie do uratowania.

W historiach przez was zebranych głos zabierają dyrektorzy, kierownicy odpowiedzialni za restrukturyzację firm, ale też szeregowi pracownicy, którzy tych zmian nie rozumieli i przytłaczali je utratą pracy.

J.W.: – Zależało nam na tym, żeby pokazać proces zmiany cywilizacyjnej z różnych punktów widzenia. Dlatego wybrałyśmy tylko kilka zakładów, ale w każdym starałyśmy się uwzględnić perspektywę zarówno kierownictwa, jak i pracowników produkcji i administracji, a także związkowców, bo wszyscy oni mieli inne doświadczenia. Oczywiście dla pracowników i pracownic produkcji, a także administracji czy magazynów, to był moment, który wiązał się z dramatycznym odcinaniem ich od zakładu pracy. To oni byli zwalniani w pierwszej kolejności. I oni zapamiętali ten okres najgorzej, z największą goryczą. Natomiast również z gorzką nostalgią wspominają ten czas pracownicy wyższego szczebla, którzy byli zaangażowani w procesy

Od 1967 do 1991 r. w FSO wyprodukowano niemal 1,5 mln polskich fiatów 125p, z tego ponad 0,5 mln trafiło na eksport.

Opustoszała FSO w 2017 r.



W krajach zachodnich przemiany zachodziły stopniowo, przez 20-30 lat, u nas to wszystko działo się w ciągu czterech-pięciu lat.

perci i firmy zewnętrzne mieli decydujący wpływ na dalszy przebieg prywatyzacji. Następnie władzę nad przedsiębiorstwem w praktyce uzyskiwał zagraniczny inwestor. Dlatego zebrane przez nas opowieści osób zaangażowanych w zmiany zachodzące w przedsiębiorstwach, zarówno kierownictwa, jak i członków rad pracowniczych oraz związkowców, to w znacznym stopniu historia utraty sprawczości.

J.W.: – Z ich opowieści przebiega dużo goryczy. To gorycz zawiedzionych nadziei, bo inaczej wyobrażali sobie te procesy. I tutaj można powiedzieć o dwóch rodzajach opowieści. Jedna to opowieść z perspektywy ekonomii moralnej, która odwołuje się do traumy transformacji, zwolnień, bezrobocia, zaniku wspólnot lokalnych, a druga to narracja modernizacyjna mówiąca, że nie było innego wyjścia. „Gdybyśmy tego nie zrobili, zakłady by upadły i byłoby jeszcze gorzej”. Bo badane przez nas zakłady, poza FSO, przetrwały.

Ale jakim kosztem! Wedel w latach 90. zatrudniał ok. 4 tys. pracowników, w wyniku zmian – 1,3 tys. Celuloza w Świeciu ok. 5 tys., teraz

modernizacyjne. Poszukiwanie zagranicznego kapitału wydawało się wtedy jedynym sposobem, by przetrwać na konkurencyjnym rynku, zwłaszcza po kryzysie lat 80., który wpłynął na kondycję większości polskich przedsiębiorstw. Oni niejednokrotnie brali udział w poszukiwaniach inwestorów, ale robili to w imię ratowania swojej fabryki.

Nie mogli jednak podejmować wszystkich decyzji samodzielnie.

A.L.: – Przedsiębiorstwa, które badałyśmy, szybko stały się spółkami skarbu państwa, więc po krótkim okresie samodzielności i zarządzania przez dyrekcję oraz rady pracownicze głos decydujący przejęło Ministerstwo Przekształceń Własnościowych. To ono oraz wyłanianie przez nie eks-

► 1 tys. Huta Warszawa zatrudniała 10 tys. osób, a zostało 500.

J.W.: – Pracownicy, którzy odeszli, na ogół wspominają ten czas bardzo źle. Kierownicy mówią, że nie było innego wyjścia, ale są i tacy, którzy podkreślają: „Chcieliśmy, żeby było inaczej. Szukaliśmy innych rozwiązań, ale się nie udało”.

A.L.: – Jest jednak coś, co łączy pracowników niezależnie od szczebla w hierarchii i ich opinii na temat tamtych zmian. To konieczność konfrontacji z rzeczywistością, która zmienia się bardzo dynamicznie i której ramy są dopiero ustalane przez polityków czy ekonomistów, a pracownicy nie mają na nią wpływu. Muszą się w tym odnaleźć i uratować swój zakład czy miejsce pracy, swoją społeczność. W tym sensie jest to wspólne doświadczenie konieczności przyjęcia jakiejś strategii w obliczu presji, niepewności i nawarstwiających się wyzwań. Z drugiej strony otwiera ono nowe możliwości.

Te wszystkie historie łączy tęsknota za minionymi czasami. Przedsiębiorstwo jest nie tylko miejscem pracy, ale też zapewnia mieszkanie, lekarza, żłobek, wczasy itp.

A.L.: – W toku prac nad książką słyszałyśmy zarzuty, że pozwalamy na idealizację przeszłości. Naszym zdaniem ta tęsknota pełni bardzo ważną funkcję, bo nie tyle mówi, jak było – tego można się dowiedzieć z masy innych źródeł – ile odkrywa to, czego ludziom współcześnie brakuje. Z opowieści pracowników przebija tęsknota za wspólnotowością,

Pozornie relacje z Amerykanami były partnerskie, ale wkrótce pracownicy dostrzegli, że większość decyzji zapadała ponad ich głowami.

stabilnością i pewnością pracy, tożsamością opierającą się na zawodzie, fachu, ale i konkretnym zakładzie. Ale również potrzeba funkcjonowania na co dzień w jakiejś społeczności, która ma wymiar ludzki, a nie wyłącznie ekonomiczny.

J.W.: – Oczywiście, że rzeczywistość PRL w tych wywiadach jest mocno idealizowana, bo żłobki wprawdzie były, ale bardzo słabej jakości, zaopatrzenie w sklepach marne, a ludzie byli przeciążeni pracą. Nie bez powodu łódzkie włók-

Torcik wedlowski dla Edwarda Gierka z postulatem wolnych sobót, lata 70.



niarki strajkowały w latach 70., a w latach 80. kobiety organizowały marsze głodowe. One protestowały przeciwko opresyjności tamtego systemu. Z drugiej strony socjalizm dawał dużo większą przestrzeń na rozwijanie relacji społecznych. Nostalgiczna opowieść o PRL jest m.in. o towarzyskości rozwijanej w pracy, w mieszkaniach na wspólnych osiedlach pracowniczych, a także w ogródkach działkowych,

podczas wczasów pracowniczych czy wycieczek zakładowych. Polskie społeczeństwo stało się nagle bardzo indywidualistyczne, ludzie musieli sami dawać sobie radę.

Jeden z bohaterów mówił: „Wszystkie te winogrona zaczęto odcinać”.

Wszystkich bardzo to bolało, nieważne, na jakim szczeblu hierarchii się znajdowali.

J.W.: – Bo z ich punktu widzenia nieprodukcyjne zaplecze przedsiębiorstw tworzyło kluczowe przestrzenie życia społecznego.

Wszyscy wspominają je z sentymentem. Nawet dyrektor, który mówił o „odcinaniu winogron” i *de facto* prowadził restrukturyzację fabryki, kończy wywiad słowami: „I właśnie w ten sposób ta firma przestała istnieć”. Bo już przestała się kojarzyć z tym, czym była – nie tylko z zakładem produkcyjnym, ale także z mikroświatem, który pozwalał zaspokoić bardzo różne potrzeby społeczne.

A.L.: – To jest element dużej, diamentalnej zmiany i różnicy postrzegania roli przedsiębiorstwa w czasach socjalistycznych i kapitalistycznych. W socjalizmie większość funkcji opiekuńczych państwa była realizowana właśnie na poziomie wielkich zakładów pracy. A tu nagle przedsiębiorstwo zostało zdefiniowane jako firma przynosząca zyski. Do tego dochodzi utrata przestrzeni do podtrzymywania relacji społecznych i tożsamości opartej na lokalności. Nasi rozmówcy często mówili o sobie: my, wedlowcy, my, ozosowcy (od OZOS Stomil); utożsamiali się z miejscem pracy.

J.W.: – Kiedy rozmawiam o naszym projekcie ze znajomymi z Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Francji, często słyszę pytanie: czym właściwie to się różni od historii upadku wspólnot przemysłowych na zachodzie Europy? Na przykład górników w Wielkiej Brytanii? Myślę, że odpowiedź jest złożona. Po pierwsze, w krajach tych przemiany zachodziły stopniowo, przez 20-30 lat, u nas to wszystko działo się bardzo szybko – w ciągu czterech-pięciu lat mieliśmy się stać częścią tamtego świata wraz

z jego ekonomicznym, politycznym i kulturowym porządkiem. Po drugie, w grę wchodzi zawiedzione nadzieje czasów transformacji. Od czasów Solidarności 1980-1981 wierzone, że będzie lepiej. Po to przecież ludzie protestowali – żeby demokratyzować stosunki pracy i zaspokajać potrzeby konsumpcyjne. A potem znaleźli się w rzeczywistości, do której niekoniecznie dążyli.

Czy można w ogóle połączyć neoliberalizm z troską o człowieka?

J.W.: – Nie jesteśmy w stanie zawrócić zmian technologicznych i ekonomicznych, które przyniosła globalizacja, a w które wpisał się neoliberalizm. Natomiast możemy je na różne sposoby humanizować. Na przykład w latach 90., kiedy przez Polskę przechodziła fala strajków związana z gwałtownie rosnącym bezrobociem, w Danii popularne stawało się *flexicurity*, czyli model zatrudnienia polegający zarówno na możliwości szybkiego zwalniania pracowników przez pracodawcę, jak i na wysokich zabezpieczeniach socjalnych dla bezrobotnych i pomaganiu im

w ponownym odnalezieniu się na rynku pracy. Zapewne Polski nie było stać na takie rozwiązania w latach 90. Była biednym, zapatrzonym we wzorce anglosaskie krajem, któremu warunki redukcji olbrzymiego zadłużenia dyktował tzw. konsensus waszyngtoński, kładący m.in. nacisk na szybką prywatyzację

Z opowieści pracowników przebija tęsknota za wspólnotowością, stabilnością i pewnością pracy.

sektora przemysłowego. Jednak po 30 latach transformacji, po tylu poświęceniach i włożeniu tak wielkiej energii społecznej w tworzenie gospodarki *flex*, nadszedł czas, by myśleć o drugiej stronie równania, czyli o *security*, bezpieczeństwie i dobrostanie pracowników.

A.L.: – Bardzo bym się cieszyła, gdyby elementy *flexicurity* zostały w Polsce sprawnie wprowadzone. Jest to jakaś próba odpowiedzi na problem braku bezpieczeństwa pracy. Inną jest rozwijanie społeczeń-

stwa uczącego się przez całe życie. Nie jest to jednak odpowiedź na deficyt relacji społecznych. Richard Sennett w książkach, szczególnie w „Razem. Rytuały, zalety i zasady współpracy”, zwraca uwagę na funkcję pracy jako uczenia się bycia razem, współpracy czy akceptacji inności. To są rzeczy deficytowe w neoliberalnym świecie. Nawet jeśli zapewnimy prawo do godnego zasiłku i możliwość sprawnego przekwalifikowania się, nie będzie też problemu z bezrobociem – to wciąż nie zapewnia się przestrzeni do tworzenia i codziennego praktykowania relacji społecznych.

J.W.: – Napisałyśmy książkę o pamięci gwałtownej neoliberalnej transformacji, ale współcześnie najważniejsze jest pytanie o to, jaki porządek instytucjonalny chcemy budować, aby zaspokajał on te potrzeby i wartości społeczne, które zostały zakwestionowane przez neoliberalną rewolucję.

Urszula Abucewicz



unicef 
dla każdego dziecka

Dzieci w Nigerze umierają z głodu
Uratuj dziecko takie jak 8-miesięczna Omara
unicef.pl/niger

Jacek Cezary Kamiński

Regularne rządy kameralnych, przytulnych kamieniczek, a w nich sprawdzone pod kątem politycznym, prawomysłne niemieckie rodziny. Do tego zespół monumentalnych gmachów publicznych skupionych nad brzegiem Wisły. Po prawej stronie rzeki baraki dla grupy polskich niewolników. W sumie senne i prowincjonalne miasto na wschodnich kresach Wielkoniemieckiej Rzeszy. Taka miała być przyszłość Warszawy według wizji hitlerowskich planistów w przypadku zwycięstwa Wehrmachtu nad Związkiem Radzieckim.

„Hala kongresowa NSDAP projektowana na miejscu skazanego na zburzenie Zamku Królewskiego – symbolu państwowości polskiej – stanowi kwintesencję niemieckich intencji wobec Warszawy”, oceniał prof. Krzysztof Pawłowski, architekt i współautor raportu „Straty wojenne Warszawy 1939-1944”, opracowanego na zlecenie prezydenta stolicy Lecha Kaczyńskiego.

Stołeczne władze samorządowe, tak samo zresztą jak wojewódzkie i państwowe, najwyraźniej nie dostrzegają jednak grozy i historycznej rzeczywistości tego planu. Włodarze miasta nie podjęli się w tym roku organizacji obchodów dnia wyzwolenia Warszawy. W lipcu 2019 r. Rada Warszawy zmieniła nazwę upamiętniającej to wydarzenie ulicy 17 Stycznia. W prawicowej narracji nie było bowiem żadnego wyzwolenia, tylko zamiana jednej okupacji na drugą, a w najłagodniejszej wersji jedynie zajęcie ruin miasta przez Armię Czerwoną.

Dziesięciokrotnie mniejsza

Niemieckie zamierzenia wobec Warszawy znane są pod zbiorczą nazwą planu Pabsta (pierwotnie zaprezentowanego już 6 lutego 1940 r.), od nazwiska okupacyjnego naczelnego architekta miasta Friedricha Pabsta. W rzeczywistości głównymi autorami najbardziej kompleksowej koncepcji Nowego Niemieckiego Miasta Warschau z 1940 r. byli niemieccy archi-

Wizualizacja „nowego niemieckiego miasta”. Kadr z filmu Aleksandry Polisiewicz „Wartopia”.

Zabić stolicę Polski

Plan Pabsta zakładał niemal całkowite wyburzenie Warszawy i budowę Die neue Deutsche Stadt Warschau

tekci Hubert Gross i Otto Nurnberger. Opis i szkice planu przetrwały wojenną pożogę i do dziś są przechowywane w Archiwum Państwowym w Warszawie.

W najdalej idącej wersji plan Pabsta zakładał niemal całkowite wyburzenie Warszawy i budowę na jej miejscu *Die neue Deutsche Stadt Warschau*. Miało to być niewielkie miasto z ok. 100 tys. niemieckich mieszkańców i mniej więcej 50 tys. polskich niewolników skoszarowanych w obozie na Pradze. Oznaczało to dziesięciokrotne zmniejszenie liczby ludności w porównaniu ze stanem sprzed wojny. Również powierzchnia miasta miała się zmniejszyć dziesięciokrotnie.

Założenia szalonej wizji urbanistycznej hitlerowskich architektów opisywał pracownik warszawskiego magistratu w okresie okupacji, powojenny wiceprezydent Gdańska Władysław Czerny: „Treścią tych planów było miasto zupełnie nowe, niepodobne do Warszawy, znacznie mniejsze, skoncentrowane przede wszystkim na terenie Warszawy lewobrzeżnej między wysoką skarpą,

Dworcem Gdańskim, koleją obwodową i linią średnicową. W planie tym dworzec główny był położony na krańcu miasta, a tereny leżące na południe od Alej Jerozolimskich były oznaczone jako tereny niezabudowane, zielone. Na Żoliborzu był zaprojektowany wielki obóz wojskowy. W obrębie Śródmieścia było kilka szerokich na ok. 200 m pasów, niezabudowanych, przecinających miasto z północy na południe. Jeden z nich przebiegał na miejscu Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia i placu Saskiego. Wykonanie tego projektu wymagałoby zburzenia wszystkich charakterystycznych zabytków Warszawy. Na zakończeniu tego szerokiego pasa od strony północnej, w okolicy Zamku, mniej więcej na miejscu kościoła św. Anny, zaplanowano wielki drapacz wieżowy, który miał zdominować sylwetkę miasta. Zamku na tym planie nie było. Projekt nosił tytuł: »Plan niemieckiego miasta Warszawy« (*Plan der deutsche Stadt Warschau*)”.

Uzupełnieniem planu budowy nowego miasta Warschau był projekt stopniowego wyburzania dotych-





Plan Warszawy, nowego niemieckiego miasta.

Idea zburzenia Warszawy oraz prawie całkowitego usunięcia jej polskich i żydowskich mieszkańców nie była wyrazem jakiejś szczególnej obsesji Adolfa Hitlera na punkcie stolicy Polski. Powstała jako element szerszego planu podboju przez Niemcy „przestrzeni życiowej na Wschodzie”. „Najbardziej radykalny w swoich zamierzeniach był opracowany na przełomie lat 1941-1942 przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) Generalny Plan Wschodni (*Generalplan Ost*, GPO). Wyznaczał on podstawy dla przebudowy Europy Środkowo-Wschodniej w duchu założeń narodowego socjalizmu. W wyniku osadnictwa niemieckiego etniczna granica Rzeszy

Nowa niemiecka Warszawa miała mieć ok. 100 tys. niemieckich mieszkańców i ok. 50 tys. polskich niewolników skoszarowanych na Pradze.

czasowej zabudowy, zatytułowany z cyniczną szczerością „Plan zburzenia polskiej Warszawy” (*Abbau der Polenstadt Warschau*). Jego cele udało się hitlerowskim okupantom w znacznym stopniu zrealizować. Stało się to w dwóch etapach – po zdławieniu powstania w getcie wiosną 1943 r. i po upadku powstania warszawskiego jesienią 1944 r. Szacuje się, że w wyniku walk kampanii wrześniowej i powstania warszawskiego oraz celowego wyburzania zagładzie uległo 84% zabudowy lewobrzeżnej Warszawy. Muranów i Stare Miasto zostały zniszczone praktycznie w 100%. Wyzwolona już jesienią 1944 r. prawobrzeżna Praga uciepiała w znacznie mniejszym stopniu.

Warschau w trójwymiarze

Artystyczną wizję tego, jak miała wyglądać hitlerowska Warszawa, możemy odnaleźć w internecie. Plan Pabsta zainspirował bowiem do stworzenia wirtualnej wersji takiego niemieckiego miasta polską performerkę Aleksandrę Polisieńczak. W projekcie Wartopia z 2006 r. wykreowała ona w wersji 3D wizualizacje szkiców Huberta Grossa i Ottona Nurnbergera. W 2009 r. zaprezentowała swoje prace niemieckiej publiczności w berlińskiej galerii sztuki

Künstlerhaus Bethanien i w tamtejszym Instytucie Polskim. „Plany, które Aleksandra Polisieńczak znalazła w archiwach, były bardzo ogólne. Dlatego konstruując je w wersji trójwymiarowej, puściła nieco wodze fantazji. *Gauforum* z charakterystyczną wieżą skopiowała z Weimaru (tam zaprojektował je sam Adolf Hitler). Wykorzystała również formę budynków radiostacji ze swoich rodzinnych Gliwic i warszawskiego Muzeum Narodowego”, opisywała wystawę „Gazeta Wyborcza”.

Wizualizacja wykonana za pomocą środków technicznych sprzed kilkunastu lat wciąż jest mało szczegółowa, ale i tak robi wrażenie totalna niespójność prezentowanej zabudowy zarówno z przedwojenną, jak i ze współczesną Warszawą. „Tu nie chodziło o szczegółową rekonstrukcję tych planów, bo jest to po prostu niemożliwe. Traktuję ten projekt jako ostrzeżenie przed tym, co znowu może się zdarzyć, przed nowymi utopiami”, tłumaczyła Aleksandra Polisieńczak. „Miała to być bezduszna metropolia, składająca się z napuszonych budowli w stylu neoklasycystycznym”, komentował hitlerowskie plany urbanistyczne na podstawie wystawy Joachim Trenkner na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

(*Volkstumgrenze*) miała zostać przesunięta o ok. 1000 km na wschód, a na południu aż po Krym. Łącznie z etnicznymi Niemcami w kolonizacji na wschodzie miało wziąć udział ok. 10 mln ludzi”, opisywała założenia tych zbrodniczych zamysłów prof. Maria Rutowska w wydanej przez IPN zbiorczej pracy „Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami”.

Kolonizacji przez niemieckich osadników podlegać miały okupowane ziemie polskie, republiki nadbałtyckie, rejony Żytomierza, Kamieńca Podolskiego i częściowo Winnicy na Ukrainie oraz wydzielone obszary: okręg Petersburga, Krym i łuk Dniepru. Spośród żyjących na tych terenach 45 mln osób (w tym 5-6 mln Żydów) aż 31 mln osób „rasowo niepożądanych” hitlerowcy planowali wysiedlić na zachodnią Syberię. Ludność żydowska miała zostać poddana całkowitej zagładzie. Według wersji *Generalplan Ost* z lutego 1943 r. na Syberię trafić miało 16-17 mln Polaków. Pozostałą ludność polską zamierzano sprowadzić do roli przymusowych robotników. „Warunkiem realizacji planowanych na taką skalę przesiedleń ludności było zwycięstwo III Rzeszy w wojnie prowadzonej przeciwko ZSRR”, podkreślała prof. Rutowska.

► Eliminację ludności polskiej z ziem przyłączonych do Rzeszy niemieccy okupanci rozpoczęli już pod koniec 1939 r. Do marca 1942 r. zesłano stamtąd do Generalnego Gubernatorstwa prawie 400 tys. Polaków. Ale GG miało być dla tych ludzi tylko etapem w podróży. „Führer jest zdecydowany uczynić z tego kraju w przeciągu 15-20 lat kraj czysto niemiecki. Określenie siedziba narodu polskiego nie będzie odtąd używane w odniesieniu do Generalnego Gubernatorstwa” – takie wytyczne Adolf Hitler przekazał gubernatorowi Hansowi Frankowi 17 marca 1941 r. Wspomniana Maria Rutowska zwróciła uwagę, że „już po agresji na ZSRR Frank zapowiedział, że przekształci podległy mu teren z obszaru przyjmującego Polaków z ziem wcielonych w obóz przejściowy dla Polaków. Taką rolę miało pełnić GG aż do czasu powstania nowych terenów przesiedleńczych na Wschodzie”.

Wytępić całe to bydło

Realną groźbę urzeczywistnienia tych planów podkreślał znany w czasach PRL dziennikarz i publicysta, korespondent z procesu norymber-

skiego Marian Podkowiński. „*Generalplan Ost* jest podstawowym dokumentem likwidacji Słowian w miarę opanowywania inkorporowanych do Rzeszy obszarów przez zwycięskie kohorty Trzeciej Rzeszy. Nie są to marzenia lub fantazje. Wojna i praktyka gestapo i SS pokazały, że wszystko było możliwe. I że wróg nie cofał się przed niczym, jeśli chodziło o realizację założeń eksterminacyjnej polityki Trzeciej Rzeszy. Miliony Niemców nic innego nie robili,

Hala kongresowa NSDAP na miejscu Zamku Królewskiego to kwintesencja niemieckich intencji wobec Warszawy.

jak właśnie tępiły »obcorasowych« i »obcoplemiennych« ludzi w Europie”, pisał w książce „Gdyby Hitler wygrał wojnę”.

Hitler w swoich ludobójczych, częściowo zrealizowanych zamierzeniach zawartych w *Generalplan Ost* nie był wcale prekursorem. „Ludność prekolumbijskiego Meksyku liczyła 30-37,5 mln osób, podobne były szacunki odnośnie do liczby Indian zamieszkujących region andyjski. Z kolei Ameryka Środkowa miała ok. 10-13 mln mieszkańców.

Społeczności Azteków, Inków i Majów, w chwili, gdy na ich ziemie dotarli konkwistadorzy, liczyły między 70 a 90 mln. 150 lat później było ich zaledwie 3,5 mln”, pisał Jean Ziegler w książce „Nienawiść do Zachodu”.

Sam Hitler odwoływał się do przykładu kolonialnej ekspansji Wielkiej Brytanii. „Czym dla Anglii były Indie, tym dla nas będzie obszar na Wschodzie”, zapowiedział swoim przybocznym podczas jednej z narad w Wilczym Szańcu 3 września 1941 r.

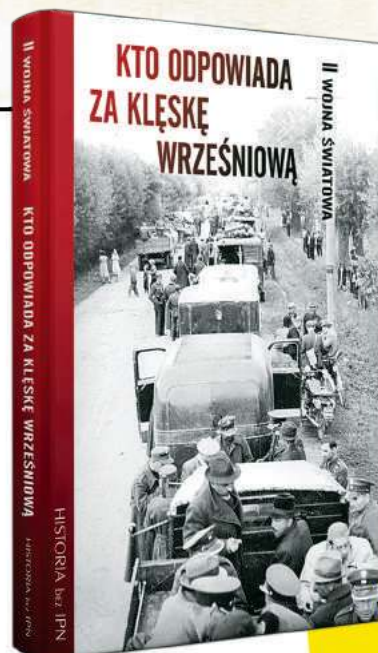
Analogię pomiędzy zbrodniczą polityką Hitlera a poczynaniami Brytyjczyków dostrzega także szwedzki pisarz Sven Lindqvist. „To, co chciał stworzyć, szukając »przestrzeni życiowej« na Wschodzie, miało być kontynentalnym odpowiednikiem brytyjskiego imperium. U Brytyjczyków i wśród innych zachodnich społeczeństw znajdował wzory, których »zdeformowaną kopią« stało się unicestwienie Żydów”, pisał w książce „Wytępić całe to bydło”.

Jacek Cezary Kamiński

Książka PRZEGLĄDU!

Dokumenty komisji powołanej przez gen. Sikorskiego

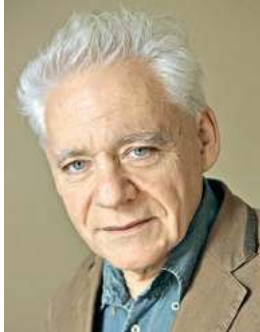
Najpierw „góra” zaczęła uciekać, nie tylko w wojsku, ale i w administracji. Nic dziwnego, mieli przecież czym uciekać i za co.



45 zł

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Agent Tomek znowu na scenie

Agent Tomek to postać złowroga i zarazem komiczna, jedna z bardziej charakterystycznych figur w niezwykle spektakularnym politycznym, w tym „Muppet Show” za pierwszego wcielenia rządów PiS. Dzisiaj agent Tomek znowu jest na scenie, skruszony spowiada się, jak był namawiany do złego przez PiS. Partia już przestała go chronić i grozi mu więzienie za nadużycia finansowe, więc jest na nią rozczarowany. Warto przypomnieć, że agent Tomek był człowiekiem roku „Gazety Polskiej”.

Ta sama „Gazeta Polska” woła teraz, co widzę w sklepie, tytułem na pierwszej stronie: „Sąd Najwyższy poszedł na wojnę z Polską”. Mało piszę o pacyfikacji sądów, inni robią to lepiej ode mnie. Nie mam głowy do zawiłości prawa i gubię się w tym. Większość ludzi prawie nic nie pojmuję z tego, co PiS wyczynia z sądami. Ale ci, którzy nie akceptują PiS, chociaż nie rozumieją szczegółów, wiedzą, że gdy się nakłada kaganiec sędziom, to nakłada się go też demokracji. Za to pisowcy cieszą się, że dorzyna się sędziowską mafię, czarne owce trzeba usunąć, jak mówi prezydent. Propaganda woła: sędziowie nie chcą oddać władzy, więc sięją chaos prawny, a w tej zadymie ty możesz być ofiarą, zacny Polaku, na szczęście prezes i Duda cię obronią. Działa czynnik psychologiczny, dla ludu sędzia to ktoś groźny, postać magiczna, bywa niemal zawsze niesprawiedliwy, tylko Bóg jest sędzią sprawiedliwym.

Pani Jola przez lata służyła nam pomocą, zajmowała się dziećmi i sprzątaniami. Ze wsi, prosta, ale przepełniona zdrowym rozsądkiem, czułością dla dzieci. I zawsze w dobrym humorze. Pisze mi: „Mam przeżycia spadkowe i sąd nie był sprawiedliwy, zostałam oszukana przez urząd i sędziów, to są oszukańcy i łobuzy”. Wiceminister aktywów państwowych Janusz Kowalski komentuje uchwałę Sądu Najwyższego: „Mam w nosie tych 60 profesorów, bo ja jestem za Polakami. To nie są dla mnie autorytety”. Minister wyraża szczerze opinię całej swojej partii. Trwa więc wymiana elit zapowiadana przez prezesa. Profesorowie generalnie są do likwidacji, prawica swoich ma za mało, w ich miejsca wejdą zatem magistrowie. Hitler to robił radykalnie i nie miał litości, prezes litościwy, nie chce środków tak radykalnych. Patryk Jaki wyłożył wprost filozofię prezesa. Polacy po raz drugi zagłosowali na PiS, widząc przecież, jaki pomysł na Polskę ma ta partia, w domyśle: ograniczenie demokracji, łagodna narodowo-katolicka dyktatura, z prezesem jako umiowanym przywódcą. PiS

ma więc nie tylko prawo, ale nawet obowiązek, wszelkimi metodami dążyć do celu.

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski wizytuje wszystkie dzielnice, zaczął od naszego Wawra. Spotkanie w dużej sali pobliskiego centrum kultury. Wielkie tłumy. Trzaskowski wcześniej od rana z armią urzędników jeździł po dzielnicy, oglądał, rozmawiał, notował. Teraz chce słuchać mieszkańców.

Jak to u nas, wielki kłopot z zdawaniem krótkich pytań. Polacy mają skłonność do traktowania pytań jako pretekstu, żeby przemówić. Każdy chce mieć swoje pięć minut. Trzaskowski świetny, kompetentny, pełen energii. Promieniuje uczciwością. A ja ciągle w nim widzę siedmioletniego chłopca, który grał w serialu dla dzieci „Nasze

Trwa wymiana elit zapowiadana przez prezesa. Profesorowie są do likwidacji, prawica swoich ma za mało, więc w ich miejsca wejdą magistrowie.

podwórko”, do którego napisałem scenariusz. Przyjeżdżałem często na plan, no i sam występowałem w tym filmie. Opowieść oparta była na mojej „podwórkowej biografii”, a Rafał grał właśnie mnie małego.

Bliska znajoma jest rzecznikiem prasowym prezydenta Warszawy; zachwycona, jak szybko on się uczy, jak jest oddany miastu. W czasie spotkania prezydent unikał polityki, ale wyraźnie sugerował, że PiS karze Warszawę, wszystkie duże miasta, za to, że poparły opozycję w wyborach. PiS daje pieniądze tym, którzy na niego głosują, i przerzuca na miasta koszty swoich podarunków dla ludu.

W Onecie wiadomość, że nie żyje R., mój przyjaciel z młodości. Zrobił mi dawno temu wielkie świństwo, wybaczyłem. A teraz mimo śmierci nie mogę mu wybaczyć, że stał się pisowcem i gadał w ich mediach obrzydliwości i banialuki, bardzo z siebie zadowolony. Chciałem go chwycić za koszulę pod szyją i zapytać: podły konformizm czy szaleństwo? Szukałem kontaktu, by to zrobić. Już za późno. Chociaż czuję smutek i otwarło się we mnie puste miejsce, moja żałoba jest zatruta. Śmierć powinna wszystko kasować, a ona tylko stanowi czarne tło dla mojego gniewu. Daleko zaszły sprawy w Polsce.

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Czy nasza Wikipedia jest duża?

– Nie jesteśmy najwięksi, ale mieścimy się w pierwszej dziesiątce. Wkrótce po założeniu polskiej Wikipedii znaleźliśmy się w czołówce, nawet przez jakiś czas byliśmy w pierwszej piątce. Czuję się dumny z dokonań społeczności, bo wynik jest niezły, zważywszy, że nad jej działaniem pracuje niewielka liczba ludzi, a 1 379 000 haseł jak na 38-milionowy naród to niemało. Jestem wręcz zaskoczony wynikiem, a mój pogląd podziela także drugi z ojców założycieli, Krzysztof P. Jasiutowicz, który dołączył do projektu dzień po mnie. Anglojęzyczna Wikipedia ma 6 mln haseł, po niej są chińska,



Nawet noblistka korzysta z Wikipedii

Źródła są najważniejszą częścią każdego hasła. Ich znalezienie to połowa roboty autora każdego nowego wpisu

niemiecka, portugalska, koreańska, japońska, francuska, hiszpańska i nasza. Wystarczy porównać, ile milionów ludzi posługuje się na świecie językiem hiszpańskim, portugalskim czy chińskim, by wiedzieć, jak daleko zasłaliśmy.

Ale pewnie nasza Wikipedia korzysta z haseł anglojęzycznej, np. dotyczących tamtejszej kultury.

– Wikipedie różnych krajów się wspierają, tłumaczenia z wielu pozostałych Wikipedii jako dodatkowe źródła treści jest częste. Dotyczy to stron nie tylko anglojęzycznych, ale i np. niemieckich, które są dobrym źródłem, w typowo niemieckim, solidnym stylu. Hasła anglojęzyczne są tworzone przez większą liczbę autorów, jest dużo czytających i poprawiających, więc są one rozbudowane i lepiej zweryfikowane. Wikipedia anglojęzyczna ma o wiele większą moc przerobową, dotyczy nie tylko anglojęzycznych autorów i czytelników, ale w ogóle wszystkich

komunikujących się po angielsku. Ponadto chodzi nawet nie o treści poszczególnych haseł, które można by po przetłumaczeniu powielić u nas, ale o listę źródeł do tych haseł, co jest nieocenioną pomocą dla naszych i innych autorów obcojęzycznych i stanowi kapitał wiedzy o danym fakcie czy zjawisku, cenny dla każdej redakcji dzieła o charakterze encyklopedycznym.

Czy hasła są objęte przepisami prawa autorskiego?

– Wikipedia jest jako dzieło w całości objęta prawami autorskimi. Udostępnianie haseł czy powtórne ich użycie dokonuje się w ramach licencji Creative Commons. Mogą one być wykorzystywane bez konieczności uzyskania każdorazowej zgody od właściciela praw autorskich. Dotyczy to w zasadzie wszystkich tekstów i materiałów publikowanych w Wikipedii. Zdarza się jednak, że gdzieś pojawiają się kopie haseł z reklamami – po prostu ktoś chce



DR HAB. PAWEŁ JOCHYM

– założyciel polskiej Wikipedii

zarobić parę groszy na cudzej pracy. Te strony nie są zazwyczaj nielegalne w rozumieniu prawa autorskiego, raczej nieetyczne w kategoriach zwykłej przyzwoitości. Przy cytowaniu Wikipedii ważne jest, aby umieścić adnotację, skąd materiał został wzięty. Nie warto w takich przypadkach kruszyć kopii. Jeśli się zobaczy taką stronę z reklamami, po prostu można przejść na właściwą stronę Wikipedii, bo tamta wykorzystana do reklamy może już być nieaktualna.

Czy zespół monitorujący hasła encyklopedii można by zastąpić jakimś programem numerycznym

w połączeniu ze sztuczną inteligencją?

– Byłbym ostrożny w takich działaniach, choć moja wiedza na temat możliwości sztucznej inteligencji jest raczej gazetowa. Wiem, że dziedzina ta szybko się rozwija i zapewne stanie się narzędziem dla encyklopedystów. Jednak na obecnym etapie sztuczna inteligencja potrafi wywołać niezamierzone i niepożądane efekty. Znany jest przykład eksperymentalnego użycia takiego instrumentu do rozpatrywania w USA decyzji, czy przestępca zasługuje na przedterminowe zwolnienie. Okazało się, że nieopatrznie stworzono system rasistowski, który przyznaje ujemne punkty za kolor skóry. Takie nieprzewidziane efekty mogą być dużo subtelniejsze, sądzę więc, że to jeszcze nie ten etap, aby posługiwać się sztucznym narzędziem przy ocenie haseł.

Czyli przede wszystkim człowiek.

– Na razie człowiek jest zdecydowanie skuteczniejszy w decydowaniu np., czy dany wątek nie jest okazją do szerzenia jakiejś ideologii na forum publicznym, a właśnie taka platforma jak Wikipedia jest dla niejednego ugrupowania takowym kąskiem. Encyklopedia powinna relacjonować, a nie oceniać rzeczywistość. Zdarzało się niejednokrotnie, że dana ocena faktów po pół wieku okazywała się błędna lub anachroniczna. I odwrotnie, gdyby Wikipedia stała się miejscem cenzurowania oczywistych faktów, byłaby to jej kompletna klęska połączona z utratą wiarygodności. Ideałem dla Wikipedii i jej autorów jest podawanie obiektywnych faktów, a w każdym razie do takiego ideału dążymy.

To oznacza, że niektórzy, mocno zideologizowani autorzy mogą mieć szlaban w pisaniu haseł lub ich poprawianiu.

– Tworzenie tzw. czarnej listy autorów jest niebezpiecznym kierunkiem.

Paweł Tomasz Jochym – (ur. 1966) fizyk, zajmujący się fizyką komputerową i fizyką teoretyczną. Pracownik Instytutu Fizyki Jądrowej PAN w Zakładzie Komputerowych Badań Materiałów. W 1991 r. razem z lekarzem Krzysztofem P. Jasiutowiczem założył polską wersję Wikipedii.

Powinna obowiązywać merytokracja. Nawet jeśli ktoś jest przekonany, że np. Holokaust się nie wydarzył, i jego wiedza historyczna pozostawia wiele do życzenia, nie oznacza to, że w innej dziedzinie, np. w matematyce, też będzie wypisywać bzdury. Czarne listy są niebezpieczne, bo mają tendencję do rozszerzania się, tymczasem ludzie potrafią równie szybko zgłupieć, jak i zmadrzeć, ważna więc jest treść haseł, a nie ich autorzy. To, że początkowo lokuje się jakiegoś autora bardzo nisko i trudno jego teksty

Encyklopedia powinna relacjonować, a nie oceniać rzeczywistość.

zaakceptować, nie znaczy, że nie nauczy się on wypośrodkowywać swoich przekonań i dobrze korzystać ze źródeł. Czasem nawet amator w danej dziedzinie, np. socjologii, potrafi lepiej udokumentować jakąś teorię niż autor z cenzusem naukowym.

Każdy może pisać hasła?

– Aby pisać hasła do encyklopedii, nie jest potrzebne formalne wykształcenie, wystarczy chęć dzielenia się posiadaną wiedzą i logiczne, krytyczne myślenie. Nie ma znaczenia, jakie autor ma papiery, ważne, jak się posługuje materiałami źródłowymi. Takie podejście sprawia, że wielu naukowców, bardzo przywiązanych do swojej ciężko wypracowanej pozycji zawodowej, nie potrafi się oderwać od swojego *ego* i nie pisze haseł do Wikipedii, bo tu ich formalne kompetencje nie są zauważane. Zresztą zgodnie z nietypową strukturą Wikipedii trudniejsze i dłuższe hasła mają często po kilku autorów, których nazwiska są mało widoczne lub nieznane. W konsekwencji równie ważne bywa to, co napisał wikipedysta bardzo wykształcony w danej dziedzinie, jak i to, co napisał amator zapaleniec. Środowisko najbardziej płodnych autorów haseł jest ogromnie zróżnicowane.

Jakie dostrzega pan białe plamy w polskiej Wikipedii, czego w niej najbardziej brakuje?

– Mówiąc krótko, brakuje pozostałych 4 mln haseł, które są np. w encyklopedii anglojęzycznej, ale nie robiłem takiego przeglądu. Mogę powiedzieć, że w mojej dziedzinie, fizyce, przydałoby się umieścić jeszcze sporo dobrze opracowanych

haseł, a te, które zostały napisane, w moim przekonaniu są dosyć lakoniczne i skrótowe. Być może ci, którym potrzebna jest szersza wiedza na dany temat, znajdują ją w Wikipedii anglojęzycznej i w ten sposób zanika motywacja, by w polskiej wersji dokonywać uzupełnień.

A pan dużo się udziela?

– Sam napisałem trochę haseł, ale nie jestem autorem szczególnie aktywnym, nie liczyłem, ile udało mi się zamieścić. Moja rola w Wikipedii była ważna na początku, w trakcie tworzenia zrębów społeczności i negocjacji w kwestii włączenia polskiego odłamu Wikipedii do projektu globalnego. Hiszpanie poszli inną drogą, doszło do rozłamu i dlatego zanim różne projekty się połączyły, upłynęło trochę czasu, a ich projekt na tym ucierpiał. U nas połączenie nastąpiło bardzo wcześniej i to pomogło w jego rozwoju.

Przejdźmy do aktualności. Czego można się doczytać w Wikipedii o Oldzie Tokarczuk?

– Artykuł o niej jest spory i dobrze opracowany, choć z pewnością mógłby być jeszcze większy. Zawiera także odwołania do indywidualnych omówień niektórych utworów pisarki. Oczywiście jest informacja o Noblu. W Wikipedii wystarczy jedna osoba, aby uzupełnić treść artykułu o najnowsze informacje. Jednak nie w każdym przypadku taka aktualizacja trafia od razu do zasobu widocznego dla czytelników. To może

Zdarza się, że jedno hasło przeczy drugiemu. To ludzkie.

powodować nieporozumienia z początkującymi wikipedystami, którzy zgłaszają poprawkę, licząc na to, że natychmiast będzie widoczna. Jest jednak bariera chroniąca encyklopedię przed wandalizmem. Każda nowa treść musi mieć podane źródło, aby można było ją zweryfikować. Jeśli jakiś anonimowy edytor umieszcza poprawkę, nie zostanie ona zaakceptowana bez podania źródła, to samo dotyczy doświadczonych autorów. Edytorzy z dłuższym stażem są uprzywilejowani, ponieważ ich zmiany nie wymagają dodatkowej akceptacji, natomiast początkujący

► lub anonimowi, nawet podając źródła nowej treści, trafiają do kolejki i może upłynąć kilka dni, zanim nastąpi reakcja na ich wpis. Źródła są najważniejszą częścią każdego hasła. W przypadku Olgi Tokarczuk hasło ma aż 82 referencje, w sumie jest ich więcej niż tekstu o noblistce. Znalazienie źródeł to połowa roboty autora każdego nowego hasła.

Pytam o Olę Tokarczuk, bo w mowie noblowskiej poświęciła sporo uwagi Wikipedii, i to dosyć krytycznie.

– Jej wykład podobał mi się. Byłem miło zaskoczony pozytywnym odbiorem naszego projektu, zwłaszcza że humaniści mają tendencję do niesprawiedliwych ocen tego medium. Powtarzam, jej słowa o poparciu dla Wikipedii były dla mnie miłym zaskoczeniem.

Miły? Nawet gdy powiedziała, że czasami jedno hasło Wikipedii są sprzeczne z innymi i się wykluczają?

– Ależ powiedziała prawdę. Zdarza się, że jedno hasło przeczy drugiemu. To ludzkie. Encyklopedia jest dużym dziełem polegającym na zgromadzeniu całej ludzkiej wiedzy w różnych językach, różnych kulturach i okolicznościach. To zadanie ambitne i daleko mu do komplet-

ności. Osiągnięcie ideału, gdzie wszystko się ze sobą zgadza i wiedza na wszystkie tematy jest identyczna tu, teraz i wszędzie indziej, jest zapewne niemożliwe. Zdarza się, że jakaś teza czy wiadomość przez dwie dekady wygląda nierealistycznie, ale po pewnym czasie się uprawomocnia. Trzeba się starać zbliżyć do ideału, włączyć się w uzupełnianie wiedzy i tworzenie haseł, poprawiać to, co w świetle nauki i niezbitych faktów było dotąd błędnie rozumiane. Dzięki nieustannemu poprawianiu świat staje się lepszy. Zachęcam do tego.

Gdyby Wikipedia stała się miejscem cenzurowania oczywistych faktów, byłaby to jej klęska.

Które hasła są najbardziej dyskusyjne?

– Ogromne emocje budzi wiele haseł oświeceniowych. W encyklopedii historia nie powinna być polem do interpretacji, ale oddzielenie czystych faktów od ich interpretacji jest bardzo trudne. W wielu wypadkach, np. konfliktów zbrojnych, już samo to, że o jednej stronie piszemy więcej niż o drugiej, może wywoływać krytykę. Najlepiej więc byłoby zbalansować relacje płynące ze wszystkich stron. Jeśli wszystkie strony sporu w równym stopniu krytykują jakieś hasło historyczne, to mam wrażenie, że jesteśmy w dobrym punkcie.

Słychać niekiedy, że Wikipedia ma wyraźnie lewicowy przechyl.

– To może być błędne przekonanie. Mnie, a mam poglądy raczej lewicowe, wiele wpisów wydaje się konserwatywnie usytuowanych, co może świadczyć o tym, że Wikipedia jest raczej obiektywna. W każdym razie obiektywizm jest celem, do którego dążymy. Nie zawsze to się udaje, ale drogą do tego celu jest dyskusja i uzgodnienie stanowisk na podstawie źródeł.

Olga Tokarczuk przestrzegała też, by nie opierać rozumienia świata wyłącznie na Wikipedii.

– To zrozumiałe, że nawet najwspanialsza encyklopedia nie ukaże w 100% obrazu świata spójnego i zrozumiałego dla wszystkich. Braki trzeba usuwać, błędy poprawiać, a szczególnie uczyć się krytycznej oceny źródeł. To również

zadanie w kształceniu młodego pokolenia. Nasza szkoła miała taki etap, że traktowała Wikipedię jak diabła wcielonego. Uczniowie korzystający z tej platformy otrzymywali oceny niedostateczne. Funkcjonował w wielu szkołach ostry zakaz. To się trochę zmieniło. Niezależnie od zakazów uczniowie będą z Wikipedii korzystać, bo to łatwe i skuteczne, byle nie robili tego po partyzancku, na dziko, lecz traktowali wiki jako jedno ze źródeł wiedzy i miejsce, od którego jej poszukiwania można i trzeba zaczynać, ale nie kończyć, a znalezionych tam informacji nie

przyjmowali bezkrytycznie. Współczesna szkoła powinna kłaść nacisk na edukację informatyczną, uczyć korzystania z technologii informatycznych takich jak edytor tekstu czy arkusz kalkulacyjny, ale nie „guzikologii” jakichś konkretnych wersji tych programów. Trzeba zauważyć, że te aplikacje, z którymi dziś zapoznaje się młodzież, szybko się starzeją i zapewne wyjdą z użycia, zanim zakończy ona edukację.

Skoro wspomnieliśmy o szkole, czy Wikipedia nie mogłaby być jednym z ważniejszych źródeł edukacji seksualnej młodego pokolenia? Czy tutaj nie powinno się uczciwie wyjaśnić, co to LGBT, pedofilia, masturbacja itd.?

– Rolą Wikipedii jest dostarczanie wiedzy, w tym wiedzy o seksualności człowieka i zachowań w tym obszarze. Wymienione w pytaniu hasła są w Wikipedii, nawet dosyć rozbudowane. Lepiej, by młodzi ludzie dowiadawali się o życiu z encyklopedii niż z rozmów z rówieśnikami. W Polsce panuje silne społeczne tabu, a rodzice nie zawsze potrafią rozmawiać z dziećmi na takie tematy.

Jaka przyszłość czeka Wikipedię?

– Ciągłe poszerzanie prezentowanej wiedzy i doskonalenie samej platformy. Oprogramowanie, które zapewnia funkcjonowanie Wikipedii (MediaWiki), podlega ciągłemu rozwojowi i na pewno nie jest to ostatnie słowo technik informatycznych w tym zakresie.

Bronisław Tumitowicz

1% podatku dla fundacji Glogerianum wspierającej uzdolnione dzieci z niezamożnych rodzin.



KRS 0000239949
 Łomża, al. Piłsudskiego 83
 Alior Bank S.A. Oddział w Łomży
 46 2490 0005 4500 7321 4083
 www.glogerianum.pl

opp
 organizacja pozarządowa

Sherry Brandy



Ludwik Stomma

Prezydent Władimir Putin pogadał sobie o Polsce (do meritum jego wypowiedzi ustosunkowałem się w PRZEGLĄDZIE nr 4/2020 i wszystko podtrzymuję). Andrzeja Dudy nie było akurat w Warszawie, miał więc wyjątkową okazję, żeby się zamknąć.

„Ej, gadajta, co chcecie”, pisał Kazimierz Laskowski, a znudzona radczyni w „Weselu” wytyka samemu panu młodemu: „Ach, pan gada, gada, gada”. Wiadomo – pogada człek i przestanie. Wmieszała się w to jednak tzw. opinia publiczna, z PO tym razem na czele. Odpowiedź trzeba dać! Kłamstwa wytknąć! Antypolonizm obnażyć! No i Duda dał głos. Namiętny i jednostronny, fakty traktujący jak przedtem Putin, tylko na odwrytkę. Świat słuchał tej rosyjsko-polskiej pyskówki i albo jej nie rozumiał, albo udawał, że nie rozumie. I wszystko byłoby przyschło, gdyby nie kontekst, a konkretnie rocznica wyzwolenia obozu zagłady Auschwitz przez oddziały Armii Czerwonej.

nastraszył Władimira, że ten już nie ośmielił się czeptać wielkiego naszego narodu, wciąż prześladowanego, ale zawsze zwycięskiego. Z ubolewaniem zawiadamiam, że było cokolwiek inaczej. Putin wyszedł na człowieka porozumienia i pojednania, a Polacy na obrażalskich pieniaczy, do których coraz mniej się opłaca wyciągać rękę.

Jeśli zaś chodzi o wielkie zwycięstwa narodu naszego, niedługo już będziemy obchodzić okrągły jubileusz Bitwy Warszawskiej 1920. Będzie się działo, jak mawia niestuszny Owsiak. Normalnym obywatelom radzę uciekać na wakacje, pozamykać radioodbiorniki i telewizory. To najprostsza metoda uniknięcia bogoojczyńnianego szaleństwa, które zakłóca pracę przewodu pokarmowego, powoduje wszelkiego rodzaju nerwice i choroby naczyń wieńcowych. Jest jednak i drugi sposób. Przypomnijmy sobie, że w tym 2020 r. przypada nie tylko rocznica radzywińskiej wiktorii. 300 lat przed nią

Duda pod Cecorą

Czczyć ją miano w Polsce i w Izraelu. Na obchody w Oświęcimiu polskie władze Putina nie zaprosiły, co go właśnie tak zdenerwowało, a co było, poza wszelką dyskusją, idiotycznym skandalem połączonym z próbą zmanipulowania historii. Nieobecny Putin nie mógł się wypowiedzieć w Polsce, postanowił więc nadać szczególną rangę przemówieniu w Izraelu, gdzie z kolei wystąpienie Dudy nie było przewidziane. Polacy jednak nie umieją się zadowolić remisem (społecznym podziałem pracy): Duda tu, Putin tam. Oświadczyły władze polskie, że jeśli Duda nie będzie mógł w Izraelu, z oficjalnej trybuny, polemizować z Moskwicynem, to bierze zabawki i idzie na swoją piaskownicę, a Żydzi niech się nie powołują na jakieś tam harmonogramy imprezy, bo pewna pani w Sieradzu ukrywała Icką podczas okupacji we własnej sypialni.

Jako pogroził, tak i uczynił. Żałoba zapanowała w całym Izraelu. Z tym większą uwagą wsłuchiowano się w słowa Putinowskiego spiczu. Co będzie w nich tak strasznego, że aż zmusiło Dudę do dyplomatycznego afrontu? Ale szczerwana jest liszka z Władimira Putina. Jednego słowa nie powiedział, które razić by mogło choćby polską dziewczynkę w bieli, sypiącą kwiatki w drodze do pierwszej komunii, albo serce powstańca warszawskiego, Matek Polek czy Ojców Polaków na urlopiach macierzyńskich.

Cóż dziwnego, że refleksja była jednogłówna. Ot, poobsobaczali się Polacy z Rosjanami. Nie od dzisiaj (że zostaniemy przy zwierzętach domowych) drą ze sobą koty. Kiedy jednak przychodzi co do czego, okazuje się, że to Polacy mają na wyrost pretensje, obrażają się, sieją kłótnie i zamęt w swojej części Europy. Kiedy przeczytano nad Wisłą tekst referatu Putina, zaraz kilka prawicowych periodyków napisało o „wielkim sukcesie Dudy”. Tak Adrian

(18 września-6 października 1620 r.) stoczona została słynna polsko-turecka bitwa pod Cecorą. Wspomina jej uczestnik Teofil Szeberg, co duszy polskiej serdeczne winno być i bliskie: „A jako to już u nas nastąpiło wszystkie starszych swych rady paczyć, zwierzchność za nic nie mieć, każdy swoje zdanie najlepsze rozumieć i chcieć je przewieść, znalazły się między nami przeciwnego Im. PP. Hetmanom zdania, którzy nie smakując starszych swych rady, jeli między żołnierstwo opacznie udawać i różnie. Jedni, że nas PP. Hetmani chcą na mięsne jatki wydać, drudzy, że chcą uciekać, trzeci, że źle radzą, bo Tatarom niepodobna uść”. Rozpoczęta w tak miłej atmosferze bitwa zakończyła się bezprzykładną (do tamtych czasów) klęską Polaków. Większa część wojska wraz z hetmanem wielkim koronnym Stanisławem Żółkiewskim poległa. Hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski dostał się do niewoli. Rozerwany tabor padł łupem nieprzyjaciela. Tatarzy przeprawili się przez Dniestr i ruszyli w głąb Rzeczypospolitej, docierając aż do Sanu.

Radziłbym te dwie rocznice obchodzić razem. Tutaj Maryja pędzi na obłoku, tam psia wiara ścina głowę hetmanowi Żółkiewskiemu. Z lewej atakują ułani, chłopcy malowani, z prawej niezwykła husaria zmyka co sił w końskich nogach, wrzeszcząc ze strachu i gubiąc skrzydła. Ks. Skorupka pędzi dzieci do boju, a Stanisław Koniecpolski poddaje się i chorągiew Turczynowi oddaje. I tak byłoby najlepiej, bo historia Polski męczeńską jest, o czym zawsze należy przypominać, ale dlatego przede wszystkim, żeby nam mania wielkości nie uderzyła do głowy.

Bo inaczej Duda, Morawiecki *et consortes* same będą zwycięstwa odnosić. A to 27:1, a to 26:1, a to przez nieobecność w Izraelu...

Małgorzata Szczepańska-Piszc

Bydgoszczanka Basia Morawiak, uczennica tamtejszego liceum plastycznego, lubi szperać w lumpekach, poszukując ciuchowych skarbów. Szuka ubrań do noszenia na co dzień, ale i do przerobienia na kostiumy, które z pasją projektuje od kilku lat. Zna wszystkie second handy w mieście. Ten przy placu Poznańskim odwiedza często przed lekcjami angielskiego. I właśnie na początku grudnia ub.r. również tam weszła, bo do korepetycji było jeszcze trochę czasu. A napis na sklepie: „Wszystko za 2 zł” brzmiał bardzo zachęcająco.

Prawie natychmiast dostrzegła granatowy rękaw ze złoto-bordowymi zdobieniami, który wystawał z jednego z wieszaków. – Chwyciłam i od razu zauważyłam, że jest ciężki – wspomina 18-latkę. – Z dobrego materiału, solidnie uszyty. A cała marynarka wyglądała po prostu jak część kostiumu. Z teatru? Z prywatnej kolekcji? Na pewno nie z sieciówek. Chyba cztery razy upewniałam się, że kosztuje tylko 2 zł. Nie mogłam uwierzyć. Przecież za takie cudo dałabym dużo więcej! Uznałam, że niemal za darmo będę miała wystrzałową marynarkę!

Ze zdobyczą z lumpeksu pobiegła na korepetycje. – Mój nauczyciel, mądry Anglik po siedemdziesiątce, tylko rzucił okiem na marynarkę i od razu skojarzył z mundurami brytyjskiej Royal Navy. Zaraz po korkach, jeszcze na przystanku autobusowym, zaczęłam pilniej się przyglądać marynarce. A zwłaszcza jej ciężkim guzikom.

Na tropie marynarki

Ale gdy w domu wyszukała w internecie ubiory brytyjskiej marynarki wojennej, zobaczyła na zdjęciach zupełnie inne mundury. W końcu jednak wygooglowała także marynarkę od galowego munduru identyczną jak ta z lumpeksu. A obok był napis, że to galowe umundurowanie brytyjskiej marynarki wojennej z czasów II wojny światowej.

Nie mogła uwierzyć, że za 2 zł kupiła wojenny zabytek. – Myślałam, że to podróbka i w internecie szukałam porad, jak rozpoznać fałszywy mundur. Okazało się, że m.in. po

Mundur i dziewczyna

Cenna kurtka Royal Navy z bydgoskiego lumpeksu



Przekazanie munduru w Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy. Nz. dyrektor MWL Wojciech Bartoszek, Małgorzata Derlacz-Chmielowiec z Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni i Barbara Morawiak

guzikach. Te prawdziwe muszą być pełne, ciężkie, mosiężne, a nie takie cienkie blaszki, jakie teraz produkują. Moja marynarka miała pełne! Inne testy internetowe też zdała.

– Właściwa ocena tej marynarki nie nastręczy kłopotów fachowcowi, ale dla laika to trudne – ocenia

tasy. Najczęściej ludzie przynoszą nam zdjęcia. Rocznie z fotografiami dokumentującymi działania wojska i ludzi z nim związanych zgłasza się 50-100 osób.

Barbara Morawiak: – Dopiero po internetowych testach na oryginalność metodycznie obszukałam

Często nie wiemy, co mamy na wyciągnięcie ręki, na strychach, w piwnicach, po dziadkach czy pradiadkach.

Wojciech Bartoszek, dyrektor Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy. Dodaje, że mundury trafiają do muzeum bardzo rzadko. – Nie więcej niż kilka rocznie. A wojenne i przedwojenne jeszcze rzadziej. Gdy są dobrze zachowane, nawet niekompletne – to prawdziwe rary-

marynarkę i znalazłam w kieszonce naszywkę z datą 10.11.42, nazwiskiem C.R. Manassah i nazwą firmy – Gieves Ltd. A więc jednak mundur brytyjskiego wojskowego z 1942 r.!

– Znakowanie mundurów nazwiskiem czy datą nie wynika z przepisów wojskowych – twierdzi Marek

Zwiefka, historyk zbiorów mundurów bydgoskiego Muzeum Wojsk Lądowych. – To raczej krawcy, którzy szyli mundury, często kilka jednocześnie, oznaczali je naszywkami, żeby nie pomylić, który jest dla którego oficera.

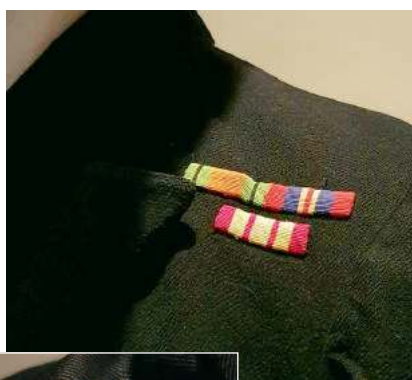
– Zaczęłam szukać we wszystkich bazach danych dostępnych w internecie oficera o nazwisku Manassah – opowiada dalej Barbara Morawiak. – Ale mało skutecznie. Jedynie upewniłam się, że taki człowiek istniał. Niewiele owocniejsze okazały się poszukiwania ludzi o takim nazwisku. Jakby cała rodzina, która przecież gdzieś musiała być, zapadła się pod ziemię. Poszłam wtedy spać chyba o trzeciej czy czwartej nad ranem, tak mnie wciągnęło!

Syn zza oceanu

W kolejnych dniach na jednym z amerykańskich koledżów udało jej się wytropić profesora o nazwisku Manassah. Mejlowo ustalili, że – po pierwsze – jest on synem nieżyjącego już komandora podporucznika, wojskowego inżyniera z Anglii, który m.in. rozminowywał po wojnie wody przybrzeżne Europy, po drugie zaś, o tacie może powiedzieć niewiele, bo go słabo znał. Po trzecie, marynarka najprawdopodobniej trafiła do second handu po wielkim sprzątaniu domu taty przed sprzedażą nieruchomości. A po czwarte, profesor zgadza się na oddanie munduru do muzeum.

Barbara bowiem, gdy tylko zobaczyła plaketkę z nazwiskiem i datą, wiedziała, że ta marynarka nie może zostać u niej w domu. – Dlatego, że mam dziadka, który był wojskowym, i mam duży szacunek dla weteranów – tłumaczy. – A to jest zbyt cenna rzecz, żeby leżała i kurzyła się w prywatnej szafie. Nie wiedziałam tylko, czy ta marynarka będzie dla nich cennym nabytkiem. Może mają całe stopy podobnych eksponatów?

– Kurtka mundurowa komandora podporucznika Royal Navy, bo w terminologii wojskowej jest to kurtka właśnie, bardzo nas ucieszyła – zapewnia Małgorzata Derlacz-Chmielowiec z Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni, do którego jeszcze w grudniu ub.r. Barbara Morawiak bezpłatnie przekazała swoje znale-



zisko za pośrednictwem bydgoskiego Muzeum Wojsk Lądowych. – Nie mieliśmy dotąd takiej w swoich zbiorach, choć posiadamy inne elementy umundurowania Royal Navy. Kurtka pięknie uzupełniła nasz zbiór.

Szyli dla admirała Nelsona

Muzealnicy z Gdyni dzisiaj wiedzą już trochę więcej o kurtce i jej właścicielu: – Złote galony na rękawach wskazują na zawodowego oficera RN w stopniu *engineer lieutenant commander* (odpowiednik komandora podporucznika z korpusu inżynieryjnego) – wylicza Małgorzata Derlacz-Chmielowiec. – Pierwszy człon nazwy mówi o przynależności do korpusu inżynieryjnego RN, o czym świadczą również purpurowe wypustki pomiędzy złotymi paskami galonów. Metka Gieves Ltd, opa-

trzona królewskimi herbami, dokumentuje pochodzenie kurtki z firmy zaopatrującej w mundury Królewską Marynarkę od 1778 r. Można przypuszczać, że szyl u nich mundury sam admirał Horatio Nelson. Firma – jako Gieves&Hawkes – istnieje do dzisiaj. Kurtka jest świetnie zachowana, dobrze się prezentuje. Dlatego już ją wystawiliśmy – w specjalnej gablocie pokazującej dary dla naszej placówki – w holu muzeum, razem z opisem całej historii odnalezienia cennego eksponatu. Dołączyliśmy też zdjęcia z przekazania. Kurtka będzie eksponowana co najmniej do końca lutego br.

– Pani Barbara spisała się na medal. Wykonała w krótkim czasie ogromną pracę, można śmiało powiedzieć, że przeprowadziła kwerendę za nas, muzealników – mówi dyrektor Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy. – I pokazała nam, jak z takiej małej, indywidualnej historii zrobić świetne wydarzenie medialne promujące wielką historię i muzealnictwo. Nie kryję, zainspirowała nas.

– Okazało się, że dzięki marynarce z lumpeksu przez chwilę miałam historię dosłownie na ramionach. Fantastyczna przygoda! – zapewnia Basia Morawiak.

– Ta historia pokazuje, że często nie wiemy, co mamy na wyciągnięcie ręki, m.in. na strychach, w piwnicach, po dziadkach czy pradziadkach – podsumowuje dyrektor Bartoszek. – A wcale nie tak rzadko są to rzeczy o ogromnej wartości historycznej, a czasem również materialnej. ■

Naszemu fotoreporterowi

**KRZYSZTOFOWI
ŻUCZKOWSKIEMU**

serdecznie współczujemy
z powodu śmierci

MAMY

Koleżanki i koledzy z PRZEGŁĄDU

Rozmawia Grzegorz Ćwiertniewicz

Prawie w każdej rozmowie jest pan pytany o Śląsk. Nie robi się nudno?

– Może się kurczyć zestaw odpowiedzi. Dużo już o Śląsku powiedziałem i boję się, że nie mam nic nowego do dodania. Wymyślam więc teraz, że nie lubię Śląska, że jest przekleństwem.

A nie jest?

– W jakimś sensie na pewno, ale to również trochę prowokacja z mojej strony. Śląsk zawsze był i będzie w kręgu moich zainteresowań, bo jestem Ślązakiem. Mam go w krwiobiegu. Zawsze będzie mnie bolał, zachwycał i irytował. Nie da się zamknąć Śląska na klucz i o nim zapomnieć.

Co w nim takiego irytującego?

– Nie potrafimy, ja też mam z tym problem, opowiedzieć o tym Śląsku współczesnym w sposób krytyczny i różniący się od tego, w jaki opowiadano o nim wcześniej. Nawet gdy reżyserowałem „Dracha” Szczepana Twardocha, który już w samej literaturze jest bardzo krytyczny, nie uchroniłem się przed sentymentalną opowieścią o śląskiej rodzinie, zamiast intensywniej skupić się na strasznym fatalizmie zapisanym w tej książce.

Czym jest dla pana Śląsk?

– Czymś, bez czego funkcjonować nie mogę. Ani w sferze artystycznej, ani w prywatnej. Doszliśmy ostatnio w teatrze do wniosku, że musimy powołać jakiś klub lub stowarzyszenie, które promowałyby Śląsk na skalę kraju, a nawet Europy, ale trochę inaczej niż dotychczas. Można by obmyślić status Ślązaka Doskonałego i przyznawać go każdemu, kto chce tym Ślązakiem być. I ten Ślązak składałby się z kilku cech charakterystycznych dla regionu oraz kilku wymyślonych. Byłby to w pewnym sensie łącznik pomiędzy Śląskiem mitycznym a współczesnym.

Każdemu? Bez żadnego kryterium?

– Takim kryterium byłaby naturalnie miłość do Śląska, jako krainy nieco fantasmagorycznej, na granicy realności i snów, miłość w różnych odmianach – np. do niezwykłych miejsc, cudownej architektury, fantastycznej kuchni, fajnych ludzi, otwartych na drugiego człowieka, niezwykłego języka, malarstwa,

Taki trochę drugi Kutz

Nie potrafimy opowiedzieć o współczesnym Śląsku w sposób krytyczny i inaczej, niż robiono to wcześniej



ROBERT TALARCZYK

– aktor, reżyser i dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach

muzyki, filmu, teatru, wielokulturowości, powikłanej historii, dzięki której w tym miejscu występują w przyrodzie cechy charakterystyczne dla różnych zakątków Europy, od Pragi poprzez Wiedeń, Berlin i Warszawę. I każdy, kto by się z tym utożsamiał, mógłby otrzymać status Ślązaka Doskonałego.

Chodzi o to, żeby nastąpiła moda na Śląsk?

– Ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Może nawet zahaczająca trochę o mit. Chodzi o to, żeby ludzie przyznawali się, że chcą być Ślązakiem, bo z różnych powodów fajnie być Ślązakiem, bo bycie nim to przywilej. Śląsk nie zamyka się na resztę kraju, a odnosi wrażenie, że uważa się, że żyjemy w jakimś getcie. Jesteśmy indywidualni i osobni, ale otwieramy się na innych, chcemy, żeby ludzie w Polsce nas poznawali. A oni raczej boją się Śląska. Nie wiadomo,

dłaczego. Jest dystans. I stereotypowe postrzeganie – przez pryzmat kopalń i górników. O opcji niemieckiej już nie wspomnę.

Dla mnie w tej mityczności tkwi siła Śląska. Tak samo jak w jego enigmatyczności. W tej samej chwili, w której wyjeżdża się ze Śląska, już się za nim tęskni.

– Na szczęście łatwo tutaj wrócić. W cztery godziny można dojechać z Katowic do Wiednia, w pięć – do Berlina czy Pragi. Położenie jest bardzo atrakcyjne.

Stawia pan sobie ambitny cel – sprawić, żeby nie patrzono na Śląsk jak na skansen czy rezerwat. Ale czy troszkę nie próbuje pan wyważyć otwartych drzwi? Śląsk nowocześniejsze. Widać to gołym okiem.

– Rzeczywiście. Z perspektywy zwykłego obywatela, człowieka, który tutaj mieszka, muszę przyznać, że Śląsk jest bardzo dobrym miejscem do życia. W ciągu ostatnich kilkunastu lat bardzo się zmienił.

Coraz lepiej też dzieje się w kulturze. Przybyło na Śląsku regularnych i ważnych imprez artystycznych.

– Kultura naprawdę rozkwita. Mammy znaczące festiwale muzyczne, choćby Tauron Nowa Muzyka Katowice czy Off Festival. Powstało wiele interesujących instytucji, w których mieszkańcy mogą na co dzień stykać się z kulturą wysoką. W modzie jest pójść na koncert do NOSPR, Filharmonii Śląskiej, do Teatru Śląskiego. W modzie jest także przyznawanie się, że jest się „stąd”. Region bardzo się przeobraża. Na bok odsuwane są m.in. mity związane z kopalniami. Na bok odchodzi industrialność. Albo się ją artystycznie przeobraża, np. na Industriadzie.

Kopalnie ustąpiły miejsca sztuce?

– Trochę tak się stało. Ślązacy mają coraz większą potrzebę ukulturalnienia się. Zresztą ta ambicja istniała w nas zawsze. Jeszcze przed wojną działało tu mnóstwo amatorskich grup teatralnych, do których należeli również, jak co chwila się dowiaduję, członkowie mojej rodziny. Zakładali chóry, grali na różnych instrumentach. Mieli ogromną potrzebę realizowania się poprzez sztukę. Zawsze mówiłem, że jestem pierwszym artystą w rodzinie, ale teraz już tak mówić nie mogę. Jestem pierwszym, który robi to zawodowo.

A co z godną pozazdroszczenia hierarchią wartości? Też się zmienia?

– To aż tak bardzo się nie zmienia. Przywiązanie do wartości i tradycji jest tutaj w dalszym ciągu niezwykle mocne. Podobnie jak przywiązanie do rodziny. Istnieje jednak potrzeba umocnienia wartości, a także uwierzenia, że te, które obowiązywały 100 lat temu, nie straciły na

„Piąta strona świata”, „Wujek.81. Czarna ballada” czy „Drach” to trzy chyba najważniejsze spektakle o Śląsku, które wyreżyserował pan w ciągu ostatnich sześciu lat. Ich wspólnym mianownikiem jest los Ślązaków, a największe znaczenie mają właśnie wartości.

– Jest jeszcze „Cholonek”, który ma już prawie 16 lat. Widzowie bardzo chętnie przychodzą na te przedstawienia. Wzruszają się. Widać, że utożsamiają się z bohaterami, czują, że są z tego samego plemienia. My nie robimy spektakli przeciw komuś. My w śląskich teatrach jesteśmy za – za sobą, za Ślązakami, po prostu

Śląsk zawsze będzie mnie bolał, zachwycał i irytował. Nie da się zamknąć Śląska na klucz.

za człowiekiem. Mówimy, że to, co pokazujemy na scenie, co widzowie przeżywają w domach, jest wartością, że jest w tym szlachetność. Nawet jeśli ktoś uważa to za naiwne, banalne, dla nas najistotniejszy jest efekt – pozytywne wzruszenie. Stawiamy na szczerość i uczciwość. Nie jesteśmy koniunkturalistami.

Tę szczerość kupują również widzowie, którzy nie utożsamiają się ze Śląskiem.

– To widać, kiedy pokazujemy spektakle w innych częściach Polski czy poza nią. Zwłaszcza „Piątą stronę świata”. Ludzie mają podobne doświadczenia. One nie muszą się nazywać „Śląsk”. Ważne, żeby odnaleźć w tych teatralnych historiach część siebie. Tak naprawdę są to opowieści bardzo uniwersalne.

My w śląskich teatrach jesteśmy za – za sobą, za Ślązakami, po prostu za człowiekiem.

aktualności. Współczesny Ślązak jest trochę zagubiony. Próbuje mu się wmówić, że ta rodzina wcale nie jest taka fajna, że przywiązanie do Kościoła, które zawsze było silne, też nie jest za dobre. A ludzie muszą zrozumieć, że i ze schematyczności może wynikać coś dobrego. Schemat można rozwalać, ale trzeba pamiętać, że stanowi on jakiś punkt wyjścia. Stoi za nim tradycja i mądrość pokoleń. Jeśli się zniszczy tę bazę, jeśli połamie się kładkę, na której stoimy, polecimy w dół.

Jaki jest współczesny Ślązak?

– Ludzie, którzy tutaj mieszkają, są tak różni, że trudno ich jakoś jednoznacznie określić. Trudno też powiedzieć, kim jest ten rdzenny Ślązak.

Nie dokonuje pan w swoich przedstawieniach ocen Ślązaków, co nie oznacza, że nie są w jakimś stopniu rozliczani. Trochę za złe im pan ma.

– Oczywiście, że mam. Na przykład tę „dupowatość”, o której mówił Kutz. Moja matka, kiedy zdecydowałem się zdawać do szkoły teatralnej, poszła się modlić do kościoła, żeby

mi się nie udało. Aktor?! Co to za zawód?! Trochę pokutuje dzisiaj to myślenie naszych mam, które nie dbały o nasze wykształcenie. Najlepiej, żeby syn pracował w kopalni, bo ma tam wszystko, czego potrzebuje. W najlepszym wypadku AGH, po której jest szansa na zostanie dyrektorem kopalni. Sami sobie zrobiliśmy kukę, a później mieliśmy pretensje, że przyjeżdżali ludzie z Sosnowca, z Krakowa czy z Warszawy i zostawiali naszymi szefami. Przyjeżdżali, bo nie było nikogo stąd. Ja jestem pierwszym w całej długiej historii Teatru Śląskiego dyrektorem, który jest Ślązakiem. Czy to normalne?

Stał się pan trochę takim drugim Kutzem, tyle że od teatru. I to często nagradzanym właśnie za umiejętności adaptacyjne i reżyserskie.

– Nawet nie jestem pyłem na jego bucie. Znam swoje miejsce w szeregu. Wiem, jakim gigantem był Kazimierz Kutz i ile mi brakuje, żeby w ogóle pomyśleć o tym, że mógłbym stanąć obok niego jako ten, który zajmuje się Śląskiem. Zależy mi jedynie na tym, na czym również zależało Kutzowi – żeby naszą armatą nie był jedynie Śląsk, choć on jest najważniejszy, ale by robić w teatrze rzeczy po prostu istotne.

O istotnych sprawach opowiada pana najnowszy spektakl o tajemniczym tytule „On wrócił”.

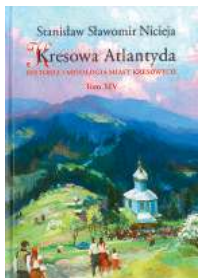
– Nie ma w nim żadnej tajemniczości. Opowiadamy, że Adolf Hitler powraca. A w zasadzie, że już wrócił. Zajęliśmy się także historią i pokazujemy skutki pewnych posunięć.

Wróćmy do lokalności. Radzi pan sobie z nią wyśmienicie. Czy to prawda, że opowiadania o lokalności uczył się pan od Jacka Głomba?

– Przeglądałem się temu, co robił Jacek. Zawsze uważałem, że lokalność jest czymś szczególnym. A on jest mistrzem w penetrowaniu tego, co w zasięgu ręki, i tworzeniu z tego sztuki.

Jacek Głomb nie jest legniczaninem, choć już się nim czuje. Przyjechał do Legnicy z Tarnowa i mieszka w niej już ponad ćwierć wieku. Wprowadził Teatr im. Heleny Modrzejewskiej na artystyczne wyżyny.

Stanisław Sławomir Nicieja
Kresowa Atlantyda, t. XIV
Wydawnictwo MS, Opole 2019



Wędrując po Kresach, autor wraca do Stanisławowa, obecnie Iwano-Frankowska, wzbogacając opowieść o jego dziejach kolejnymi informacjami uzyskanymi w archiwach i wspomnieniach o mieszkańcach, zajmujących ważne miejsce w kulturze, nauce i życiu społecznym. Dwa kolejne miasta, na których badacz skoncentrował uwagę w tym tomie, to Zabłotów i Buczacz oraz otaczające je wsie. Zabłotów był klasycznym sztetlem na galicyjskiej prowincji i wszedł do historii dzięki słynnej fabryce papierosów i cygar oraz imponującemu mostowi żelaznemu na Prucie, nazywanemu cudem architektury transportowej. Z kolei Buczacz to podolska perła rokoka. Ale najcenniejsze, jak we wszystkich książkach z cyklu kresowego prof. Nicieja, są opowieści o ludziach urodzonych w tamtych stronach.

Lech Słodownik
Rychliki (1310-2020)
Z dziejów wsi i okolic
Uran, Elbląg 2019



Istnieje grupa autorów zwanych regionalistami, niekoniecznie historyków z wykształcenia, ale zawsze entuzjastów swojej małej ojczyzny. Jednym z nich jest Lech Słodownik z Elbląga, dodatkowo historyk po toruńskim UMK, który dzieciństwo spędził w Rychlikach koło Pasłęka. Po latach wrócił tam w poszukiwaniu nie tyle wspomnień, ile śladów 700-letniej przeszłości Rychlik. Monografia tej miejscowości to owoc benedyktyńskiej pracy, w tym 30 lat spotkań z Niemcami, którzy tam żyli do 1945 r., rozmów z powojennymi pionierami, wyjazdów do RFN, kwerend w archiwach i bibliotekach. Na szczęście Słodownik zna niemiecki, więc uzyskane informacje są wiarygodne. I niezwykle interesujące, opatrzone nieznanymi zdjęciami, np. niemieckich żołnierzy na tle zabudowań, które po wojnie zasiedliła polska rodzina. Kolejna historia ocalała od zapomnienia.

Marek Książek

▶ Stał się ekspertem od lokalnych tematów. Jednak jako wybitny ekspert od lokalności legnickiej nigdy nie zrobił wybitnego spektaklu o Śląsku, o czym świadczą choćby głosy po „Czarnym ogrodzie”.

– Sam przyznał, że nie jest to „Pięta strona świata”.

Na Śląsku ważniejszy od Głomby jest Talarczyk i Talarczyk na Śląsku po prostu się zna! Co łączy Głomba i Talarczyk? Obaj stworzyli ze swoich teatrów miejsca dialogu z lokalnością.

– Chciałbym teraz jednak zaprosić do współpracy reżysera, który rozpracowałby po swojemu te śląskie tajemnice, rozkodował ten cały

Sami sobie zrobiliśmy kuku, a później mieliśmy pretensje, że to ludzie z Sosnowca, z Krakowa czy z Warszawy zostawali naszymi szefami.

mit i stworzył spektakl, który będzie w kontrze do tego naszego cłiwego „opowiadactwa”, ale żeby był poruszający. Powinniśmy opowiadać o współczesnym Śląsku, o młodych ludziach, którzy chcą się utożsamiać ze Śląskiem, ale inaczej.

Reżyser ma prawo być zmęczony tą samą problematyką. Ma też prawo bać się zaszufładowania. Byłoby jednak żał, gdyby te opowieści były inne, niż są. To one wywołują emocje, to dla nich ludzie zjeżdżają do Katowic. Bez takich przedstawień Teatr Śląski przestanie być Teatrem Śląskim, artystycznym skarbem. Przestanie się wyróżniać na tle innych teatrów.

– Dziękuję. Wiele o naszym teatrze słyszałem, ale czegoś takiego nigdy. To wspaniałe, że przyjeżdża się do nas po tkiwość, wzruszenie i czułość. Takiego teatru raczej w Polsce się nie robi, bo uważa się go za banalny, tandetny i przynoszący wstyd. Ale właśnie podczas takich spektakli tworzy się wspólnota. Żywym przykładem jest historia Ryśka Riedla zamknięta w spektaklu „Skazany na bluesa” w reżyserii Arkadiusza Jakubika. Ludzie śpiewają długo po zakończeniu i nie chcą wyjść z teatru, są spragnieni teatru opowieści.

Zaprasza pan do współpracy znanych reżyserów, żeby wspomnieć Piotra Cieplaka, Maję Kleczewską czy Agatę Dudę-Gracz. Ich przed-

stawienia mają niewiele wspólnego ze śląskością. Otwierają więc Katowice na świat.

– Takie nazwiska pojawiły się dopiero za mojej kadencji. Jeśli więc przez ten pryzmat patrzeć na nowość, to rzeczywiście jesteśmy nowoczesnym teatrem i przyczyniamy się do rozwoju regionu.

Skoro Teatr Śląski jest wypadkową pańskiego gustu i propozycji tego, kogo pan zaprasza, to tylko tej wypadkowej pogratulować. To jedna z najbardziej liczących się scen teatralnych Polski.

– Zdobywamy coraz więcej nagród i mamy 100% frekwencji. To cieszy i mobilizuje.

Osiągnięcie tego statusu nie byłoby jednak możliwe bez znakomitych aktorów, którzy kochają to miejsce i nie porzucają Katowic dla Warszawy czy Krakowa. Choć mogliby, bo są niezwykle utalentowani. Niektórzy wybitni.

– To najlepszy zespół w Polsce. Moi aktorzy są zawsze blisko ludzi. Cieszę się, że mogę pracować z najlepszymi w tym fachu. To dzięki nim i z nimi frunę tak wysoko.

Dyrektor, reżyser, scenarzysta, dramaturg, tłumacz. A co z aktorstwem? Jest na nie czas?

– Lubię grać w filmach, bo tam jest szybko. Kilka dni i po wszystkim. Jak już coś się nakręci, nie można tego zmienić. I dzięki Bogu! A tak poważnie – dzięki filmowi się spełniam. Skończyliśmy jakiś czas temu pracę nad „Czarnym Młynem” w reżyserii Mariusza Paleja. Premiera zaplanowana jest na jesień tego roku. Przygotowuję się do zagrania głównej roli w Teatrze Telewizji w spektaklu „Ostatnia bitwa” w reżyserii Mariusza Malca. Zdjęcia wiosną. Z Mirkiem Neinertem przygotowujemy w Teatrze Koresz spektakl komediowy „Nerwica natręctw”, na Katowicki Karnawał Komedi, m.in. z Grażyną Bułką i Barbarą Lubos – moimi aktorami, a przede wszystkim przyjaciółkami ze Śląskiego. Bo czego się nie robi dla dobrego towarzystwa!

Grzegorz Ćwiertniewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Nie pamiętam autora ani tytułu, właściwie nie pamiętam nawet samej historii, tylko jej straszliwą puentę. To była jakaś miniatura, którą namierzyłem jako łakome fikcji pacholę – przeczytana raz, utkwiała na resztę życia. Ostatnio myślę o niej coraz częściej, wiem, że z czasem będę myślał obsesyjnie, aż w końcu upodobnię się do bohatera i okaże się, że to, co zdawało mi się przypowieścią, było przepowiednią. W wielopokoleniowym domu senior rodu nagle zastyga w bezruchu z ołówkiem nad kartką papieru i tak już zostaje; początkowo przejęci domownicy próbują go wybudzić, z czasem akceptują jego bierne istnienie. Siedzi, nie wadzi nikomu, lata mijają, umierają zwierzęta, pojawiają się nowe, obwąchują go równie obojętnie, dzieci podrastają, pojawiają się wnuki i prawnuki, życie tętni, nikt nie przejmując się nieruchomym dziadkiem w kuchni, aż w końcu jedno z wnucząt świeżo nabytą umiejętność czytania wykorzystuje, by zauważyć, że znaki na kartce w końcu złączyły się w napis: Nie nadążam.

Decydując się na późne rodzicielstwo, poprzysięgliśmy sobie z Żoną, że nie ułatwimy zadania starości. Nie

Pisuję ostatnio np. w obecności młodszych kolegów i koleżanek z zespołu scenarzystów – to nowe dla mnie doświadczenie, zawsze dotąd pisałem w odosobnieniu – i oni nie mogą się nadziwić, „czemu tak walę w klawisze”. Dopytują, „czy piszę akurat jakąś scenę walki”. Fakt, z mojego poranionego laptopa co i raz odpadają jakieś elementy ze spodu, ale na razie jeszcze sprawny, więc nie podklejam, nie zabieram do naprawy. Tłumaczę: pochodzę z XX w., pierwsze książki pisałem na maszynie Łucznik, wyrabiała biceps przy zmianie wersu, a palce trzeba było mieć mocne, żeby litery wyraźnie się odciskały na papierze, zwłaszcza jeśli człowiek od razu kopiował przez kalkę. Patrzą na mnie tak, jakby nie nadążali za przeszłością, a mnie już się nie chce tłumaczyć z osobna każdego z rekwizytów, tak jak im nie chciałoby się wyjaśniać, czym się różni Flickr od Tumblra – zresztą rychło bym ich powstrzymał, mam to dokładnie tam, gdzie oni mają moje zmagania z maszyną Łucznik i starą, „wystukaną” taśmą. Albo np. moja ulubiona zabawa samochodowa w odgadywanie utworów nadawanych przez Dwójkę – skończyła

Wygnanie z zeszłego stulecia

wolno nam się zestarzeć nie tyle nawet przedwcześnie, ile w normalnym trybie. Jeśli para po czterdziestce decyduje się na potomka, podpisuje w pakiecie deklarację przedłużonej młodości – by wobec dziecka być *fair*. Chodzi o to, żeby wchodząc w pełnoletniość, nasz dzieciak wciąż miał rodziców, a nie parę sflaczałych tetryków grzechoczących zestawem pigulek na każdą porę dnia. Sprawa okazuje się nie taka prosta: sport i zdrowy tryb żywienia pomogą utrzymać formę, może za kilkanaście lat wciąż będę mógł wybiec z synem na boisko albo zabrać go do głębokiej jaskini, może matka dalej będzie mieć figurę i kondycję matrzystki; ach, może nawet będziemy ogarniać internety, media społecznościowe, apki i szatan raczy wiedzieć co jeszcze, będziemy mieć tak zamasytowane ramiona, że ogarniemy wszystko – ale nie zmieni to faktu, że zawsze będziemy wygnańcami z zeszłego stulecia.

Można to nazywać tysiącem synonimów, ale starość jest słowem, które przychodzi mi do głowy w pierwszej grupie na określenie pewnej temporalnej zagwozдки. Jeśli czuję dyskomfort współczesności, jeśli nie postrzegam już teraźniejszości jako „moich czasów”, jeśli doskwiera mi poczucie, że jestem na bezpowrotnej emigracji z czasów utraconych – oznacza to starość. Nie w fazie schyłkowej, z całym uciążliwym bagażem dolegliwości organicznych, ale już w fazie dość dojrzałej, żeby czuć wysiłek dostosowywania się do czasów cudzych (to takie czasy, w których czujemy się nieswojo), żeby mózóg nadążania wyciskał siódme poty i powodował chęć ucieczki za siódmą górę.

się, kiedy pasierb zainstalował Tidalą i zaczął nas robić w konia, że tak genialnie się zna na muzyce klasycznej. Szybko go zdemaskowaliśmy, teraz sami mamy stosowną apkę – wszak ogarniamy, nadążamy, ciekawskość wygrywa z cierpliwością – ale czy nas to cieszy? Nie bardziej niż ostatni deser skazańca. Albo gify – no dobra, już wiem, durny, skąd ten genialny refleks młodzieży, która zawsze ma na podorzędu filmik idealnie dopasowany – przeoczyłem jakoś wcześniej wyszukiwarke gifów – teraz sam je wysyłam zamiast językowych gierke. Nadążam, ale się nie cieszę, *GiF me back my good old days*.

Jestem rówieśnikiem „Cudu” Josefa Škvoreckiego, powieści, za którą nasz wspaniały bohemista Andrzej Jagodziński niedawno dostał doroczną nagrodę „Literatury na Świecie”. Czytam ją sobie właśnie do poduchy z niekłamaną przyjemnością – jest to lektura rozkosznie XX-wieczna, bezwstydnie seksistowska, rubaszna i politycznie niepoprawna. Zaczyna się od tego, że zarażony rzeźączką bohater trafia jako nauczyciel do żeńskiej szkoły i cierpi katusze piekielnej ambiwalencji: liczne grono wygłodniałych pensjonarek kusi go swymi wdziękami, nie wiedząc o tym, że każdy zwłód przyprowadza go o bolesną pokutę. Potem ta erotyczna gawęda snuje się przez dzieje praskiej wiosny i jest równie prząsna jak co pikantniejsze fragmenty pośmiertnej autobiografii Kazimierza Kutza, wspominającego np., która z pań... połykała i na co to jej robiło dobrze. Dziś już tak mogą pisać tylko umarli, żywym nie dano by żyć.

POLICJA UNICESTWIONA

Kiedy „Policja” Mrożka pojawiła się pierwszy raz na scenie warszawskiego Dramatycznego (1958), nosiła z nadania cenzury tytuł „Policjanci”. Najwyraźniej dopuszczono, aby na takie wybryki pozwalali sobie poszczególni policjanci – w końcu wszędzie trafiają się czarne owce – ale o policji (czytaj: milicji) jako całości nie powinno się pisać prześmiewczo. Rzecz w tym, że Mroźek, wykorzystując środki teatru absurdu, pokazał śmierć nadzoru służby bezpieczeństwa. Pomysł spodobał się widzom i „Policja” zdomowała się w polskim teatrze (ponad 30 premier w czasach PRL), by później zniknąć z afisza. Najnowsza jej premiera w Polsce to dopiero szóste wystawienie po transformacji.

Andrzej Saramonowicz zestawił w jednym spektaklu „Policję” z napisaną 60 lat później własną komedią „Noc zatracenia”. Mroźek ukazał katastrofę policji politycznej, która, doprowadzając do absolutnej lojalności obywateli, aby przetrwać jako instytucja, musi aresztować samą siebie. Saramonowicz zaś namalaował konsekwencje życia z głową do tyłu. Inaczej mówiąc: skutki zawziętego uprawiania polityki historycznej, czyli uwielbienia przeszłości arcynarodu. Może trochę za dużo w komedii Saramonowicza doraźnej karykatury wodza narodu, ale i tak „Noc zatracenia” brzmi jak przestroga. Blasku spektaklowi dodają Katarzyna Kwiatkowska oraz pełni werwy i wisielcze-



go humoru, z pewną dozą demoniczności, aktorzy Montowni: Adam Krawczuk, Marcin Perchuć, Rafał Rutkowski i Maciej Wierzbicki.

Spektakl wyreżyserował Saramonowicz pomysłowo, imponującą sprawnie zmieniając miejsce i czas akcji, dbając o tempo i finałowy efekt samozagłady, której Mroźek nie doprowadził do końca.

Tomasz Miłkowski

Sławomir Mroźek, Andrzej Saramonowicz, „Policja. Noc zatracenia”, reżyseria Andrzej Saramonowicz, Teatr Polonia, premiera 17 stycznia 2020

MIĘDZY OKŁADKAMI

Amy Reed

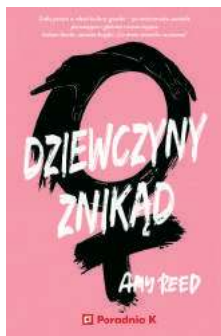
Dziewczyny znikąd

tłum. Anna Dzierżgowska

Poradnia K, Warszawa 2020

Trochę gryzie mnie tytuł, bo wprawdzie odpowiada oryginalnemu „The Nowhere Girls”, ale u nas książka może wpaść między takie różnice jak telewizyjne dziewczyny wojenne i ze Lwowa oraz upiorne, kiczowate okładki serii Anny Herbich-Zychowicz i zniknąć. Tymczasem warto, by sięgnęły po nią nie tylko nastolatki, ale także ich rodzice – i by potem o tym „straszonym seksie” spróbowali jednak porozmawiać. Bez piany na ustach, nawet jeśli autorka nie unika drastyczności. Niemówienie o seksie nie wymaże go magicznym sposobem z życia dzieciaków, zwiększy tylko ich zagubienie, będą osamotnione i bezbronne, a właśnie samotność pogłębia traumę w przypadku gwałtu. W amerykańskim miasteczku, którego dumą jest szkolna drużyna futbolowa, długo nikt nie chce przyjąć do wiadomości, że są w niej gwałciciele. Rządzi seksizm i wygodnictwo: niech nikt nie burzy naszego spokoju! Kiedy dziewczyny – tak bardzo różne – wreszcie zaczynają się buntować i jednoczyć, są zastraszane przez dyrektorkę szkoły. Amy Reed podkreśla, jak wiele odcieni ma dyskryminacja: ojciec łatwiej przełknie zmianę płci przez córkę, bo zyskuje drugiego syna, rebelia jest dla białych dziewczyn, czarne wiedzą, że lepiej się nie wychylać. A przecież na ludzi trzeba patrzeć czystymi oczami, bez nakładek stereotypów. No i nie być obojętnym.

Aleksandra Pańko



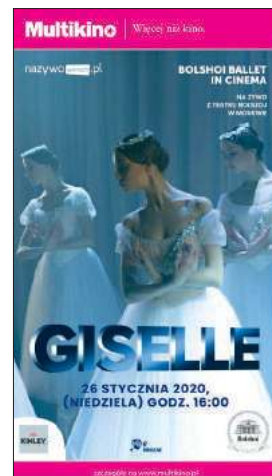
NA POWAŻNIE

TAK TAŃCZY BOLSHOJ

Niewiarygodne mistrzostwo klasycznej sztuki baletowej transmituje na żywo z Moskwy sieć Multikino. Tegoroczny cykl rozpoczęła „Giselle”, w której główną rolę wykonuje jak w transie Olga Smirnowa. Długie, szczupłe nogi niosą ją po scenie bez najmniejszego wysiłku. Postać niemal płynie w powietrzu, ale gdy napotyka niewiernego ukochanego Albrechta (Artemij Bieliakow), następuje odmiana, sceny stają się gwałtowniejsze. W chwili obłędu dramat osiąga kulminację, ale w drugiej akcie Giselle już jako duch znów lekko unosi się nad sceną. Oglądamy balet klasyczny z elementami pantomimy, a wyrobiona moskiewska publiczność nagradza okłaskami trudniejsze ewolucje. W kolejnych miesiącach Bolshoj zapowiada jeszcze transmisje „Jeziora łabędziego”, „Romea i Julii” oraz wieczoru baletowego „Jewels”, też do muzyki klasycznej.

Bronisław Tumiłowicz

Adolphe Adam, „Giselle”, choreografia Aleksiej Ratmański, dyrygent Paweł Klimczew, transmisja na żywo z Teatru Bolshoj w Moskwie, 26 stycznia 2020



NA EKRANACH

KŁAMSTEWKO

reż. Lulu Wang, prod. USA/Chiny, w kinach od 7 lutego

Co robić, gdy dowiadujemy się o śmiertelnej chorobie członka rodziny? Mówić mu czy zachować wiedzę dla siebie i pozwolić umierającemu spędzić ostatnie chwile w błogiej nieświadomości? W chińskiej kulturze takie pytanie nie jest rzadkie. Zgodnie z tamtejszym prawem o diagnozie dowiaduje się nie pacjent, tylko najbliższa mu osoba. Chińczycy wierzą bowiem, że zabija nie sama choroba, tylko wiedza o niej. I tak po długich telefonicznych dyskusjach rozsiana po różnych kontynentach familia Nai Nai decyduje się dla dobra seniorki zataić przed nią prawdę o trawiącym ją nowotworze. W tę pędy urządza też ślub kuzyna z dziewczyną, której chłopak nie kocha, ale czego się nie robi, by umilić babci ostatnie dni. Zadużone dzieci i wnuki kupują na kredyt bilety lotnicze do Chin, gdzie zaczyna się piekło. Billi (nagrodzona Złotym Globem raperka Awkwafina) ma wyrzuty sumienia, że nie jest z ukochaną babcią szczerą. A na wsparcie ze strony kuzynostwa i pociotków nie może liczyć, bo jej dylematy zbywane są stwierdzeniem, że się zwesternizowała i niszczy chińską tradycję amerykańskimi naleciałościami. Reżyserka Lulu Wang w zderzeniu kultur znajduje wiele powodów do śmiechu. Czasami gubi ją toporność, jak w scenie kłótni o znajomość języka przodków, przebiegu rytuałów i akcentu. Wynagradzają to naturalne dialogi (słychać, że większość jest wzięta z życia) i gra aktorów, których za-



angażowanie emocjonalne w kłótnie i godzenie się daje poczucie, jakbyśmy byli we własnej rodzinie. Sprawdza się też zderzenie innej opozycji – starości i młodości. Momenty, w których Billi prowadzi z babcią rozmowy o życiu, rejestrują przemiany pokoleniowe, ale też zadają pytanie o kultywowanie tradycji. Cierpi przecież i wnuczka, która wybrała emigrację i nie zdążyła poznać Nai Nai, i babka, która nie miała na kogo przelać doświadczeń. Ci, którym wyleciało z głowy święto 21 stycznia, powinni czym prędzej zabrać babcię na „Kłamstewko”. Ci, którzy nie zapomnieli, tym bardziej.

Artur Zaborski

DOKUMENT W TV

ZAGRAJĄ



MCMILIONY

Jak to mówią? Że pierwszy milion trzeba ukraść? Jak się okazuje, następne też – tak to sobie wykoncypował pewien policjant, który przez ponad 10 lat czuwał nad prawidłowością loterii Monopoly organizowanej przez McDonald's. I tak „czuwając”, wyprowadził 24 mln dol. Sześciuodcinkowy serial dokumentalny zabiera nas w lata 90., kiedy to sprawnie funkcjonowała przyjacielsko-rodzinna siatka oszustów. Dopiero anonimowe zgłoszenie do FBI w 2001 r. zakończyło loteryjne eldorado. W kolejnych odcinkach zobaczymy wywiady ze świadkami wydarzeń oraz archiwalne materiały filmowe przedstawiające agentów FBI, którzy wykryli przekręt, członków najwyższego kierownictwa sieci McDonald's, prawników, którzy zajmowali się sprawą, a także winnych i zwycięzców, którzy zarobili krocie na oszustwie, jak również osoby, które wzięły w nim udział przypadkowo lub zostały zachęczone podstępem.

HBO GO OD 4 LUTEGO, HBO OD 6 LUTEGO, GODZ. 21.35

ARTYŚCI OPERY KRAKOWSKIEJ DLA AUSTRALII
Specjalny koncert charytatywny

15 lutego na Dużej Scenie Opery Krakowskiej odbędzie się koncert charytatywny, z którego dochód zostanie przekazany na konto funduszu pomocy i odbudowy założonego przez Australijski Czerwony Krzyż. Dyrekcja Opery Krakowskiej nawiązała kontakt z Nicholasem Moorem, szefem Opery w Sydney, która w marcu organizuje podobne wydarzenie. W koncercie wezmą udział Magdalena Barylak, Agnieszka Częstka-Niezgódka, Monika Korybalska, A. Kuk, K. Oleś-Blacha, I. Socha, K. Wiktor-Kałużka, J. Bielecki, K. Mazurek, M. Kutnik, A. Szwarc, A. Sobierajski. Orkiestra pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka. Bilety (amfiteatr: 100 zł, łoża marszałkowska: 150 zł, balkon/łoża prawa/lewa: 50 zł) można kupić w kasie Opery Krakowskiej, płatność tylko gotówką.

15 LUTEGO, GODZ. 18.30



Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Anna Brzeska

Rośnie liczba osób odmawiających szczepienia dzieci – tak wynika z danych Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny. Tylko do końca października 2019 r. potwierdzono 44 475 przypadków unikania szczepień ochronnych, o 4 tys. więcej niż w całym 2018 r., w którym to odnotowano 30% więcej uchylających się od szczepień niż rok wcześniej. W ostatniej dekadzie liczba niezaszczepionych dzieci i nastolatków wzrosła aż 13-krotnie.

Wybiegi u lekarza

O coraz częstszym odmawianiu szczepień raportują też pediatrzy. W komunikacie opublikowanym w styczniu przez prezesa Naczelnej Rady Lekarskiej i głównego inspektora sanitarnego czytamy, że rodzice małych pacjentów stosują chytry wybieg. Zanim zgodzą się na zaszczepienie dziecka, żądają od lekarzy licznych i bardzo szczegółowych informacji. Gdy lekarz, choćby ze względu na ograniczenie czasowe, nie jest w stanie ich udzielić, rodzice odmawiają szczepienia, powołując się na niespełnienie przez niego obowiązku udzielenia im niezbędnych informacji. W ten sposób przerzucają odpowiedzialność za niewykonanie szczepienia na lekarza, który rzekomo nie dopełnił procedury.

Okazuje się, że tego rodzaju wybieg nie ma podstawy prawnej. Lekarze rzeczywiście mają obowiązek poinformowania rodziców pacjentów o możliwych niepożądanych odczynach poszczepiennych (NOP-ach), co jednak nie oznacza, że muszą udzielić szczegółowych wyjaśnień na temat składu szczepionki, statystyk wystąpienia objawów niepożądanych czy odpowiedzialności materialnej za powikłania poszczepienne – a właśnie

OBOWIĄZKOWE SZCZEPIENIA

Dzieci i młodzież do 19. roku życia obowiązkowo są szczepione przeciw gruźlicy, błonicy, krztuścowi, odrze, polio, różyczce, śwince, tężcowi, a także przeciw wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, zakażeniom pneumokokowym oraz przeciw zakażeniom Hib.

Antyszczepionkowcy wciąż w natarciu

W ostatniej dekadzie liczba niezaszczepionych dzieci i nastolatków wzrosła aż 13-krotnie



o takie informacje proszą rodzice. Dlatego NRL i GIS zalecają, by tego typu wybiegi uznać za uchylanie się od obowiązku szczepienia.

Postępowanie rodziców to efekt działania nie tylko antyszczepionkowców, ale także części radców prawnych, którzy udzielają instrukcji, jak uniknąć grzywny za brak szczepienia. Dzięki ich poradom rodzice mniej się boją konsekwencji odmowy szczepień, uznając, że prawo jest po ich stronie. Jeśli jednak wczytamy się w opisy spraw sądowych o zasadność grzywnien, okazuje się, że wygrywają je ci rodzice, u których dzieci rzeczywiście wykazano wcześniej przeciwwskazania do szczepienia. Rodzice zdrowych dzieci nie powinni więc sugerować się takimi przypadkami.

Bolesne skutki nieszczepienia

Przeciwnicy szczepień często powołują się na wolność wyboru co do szczepień ochronnych w niektórych krajach. I rzeczywiście – w krajach skandynawskich (np. w Szwecji i Norwegii) czy w Finlandii nie ma obowiązku szczepień. A jednak tam odsetek zaszczepionych i tak jest wysoki, co ma związek z dużą świadomością zdrowotną społeczeństw oraz ich zaufaniem do instytucji państwa.

Niestety, jeśli chodzi o poziom opieki medycznej i zaufania do służby zdrowia, Polsce bliżej jest raczej do Rumunii niż do Szwecji. Warto więc mieć na uwadze, że brak obowiązku szczepień doprowadził w Rumunii w 2017 r. do największej od lat epidemii odrzy. Jak raportuje Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób, przypadki odrzy w Europie występują głównie

w niezaszczepionych populacjach. Wiadać to przede wszystkim na częściowo objętej wojną Ukrainie. Do połowy 2019 r. zanotowano tam aż 144 tys. przypadków odrzy. Z danych WHO wynika też, że w 2018 r. liczba zachorowań na odrę na naszym kontynencie wzrosła o 300% w porównaniu do roku 2017. Zwiększa się również liczba przypadków błonicy i krztuśca. Ostrzeżeniem dla Europejczyków powinna być epidemia odrzy w 2018 r. w rejonie amerykańskiego miasta Portland. W hrabstwie Clark, w którym położone jest to miasto, odsetek szczepień w momencie wybuchu epidemii wynosił zaledwie 78%. Przypadki zachorowań (do marca 2019 r. potwierdzono ich 73) dotyczyły głównie dzieci niezaszczepionych lub tych, które nie przyjęły obu niezbędnych dawek szczepienia.

Mimo alarmujących informacji w Europie rośnie liczba rodziców, którzy nie zgadzają się na szczepienia swoich dzieci. Przykładowo w latach 2013-2017 we Francji odsetek zaszczepionych szczepionką DTP3 (przeciw błonicy, tężcowi, krztuścowi) spadł z 99% do 96%. Podobnie było w przypadku szczepionki Hib3 przeciw pałeczce hemofilnej typu b (spadek z 98 do 95%) czy polio3 (spadek z 99 do 96%). Wskaźniki szczepienia przeciw odrze nie spadły. Podobne spadki odsetka zaszczepionych widać też np. w Czechach i we Włoszech.

Jakkolwiek w Polsce raczej utrzymujemy wskaźniki dotyczące DTP czy Hib (spadek tylko o 1 pkt proc.), gorzej jest ze szczepieniami MMR (przeciw odrze, śwince, różyczce). Tu zanotowaliśmy spadek wyszczepialności – jeśli chodzi o pierwszą dawkę – z 94 do 93%. O pełnym zabezpieczeniu populacji

można mówić, gdy wskaźnik ten osiąga wartość 95%.

W związku z tym niektóre kraje, takie jak Niemcy, Włochy i Francja, zaostrzyły obowiązek szczepień. We Francji rozszerzono listę obowiązkowych szczepień do 11, a we Włoszech do 12. W Niemczech żłobki i przedszkola mogą odmówić przyjęcia niezaszczepionych dzieci, mimo że szczepienia są tam dobrowolne. W kilku krajach wprowadzono też kary finansowe za brak szczepień lub wręcz zakaz przyjmowania niezaszczepionych dzieci do żłobków i przedszkoli.

Szczepionki są bezpieczne

Głównym argumentem antyszczepionkowców jest to, że szczepionki są niebezpieczne. Z danych NIZP PZH i GIS wynika, że ryzyko poważnych powikłań jest minimalne. Jeden przypadek niepożądanego odczynu poszczepiennego występuje w Polsce na 10 tys. szczepień i bardzo rzadko może to zagrażać życiu. Przykładowo: wstrząs anafilaktyczny może wystąpić z częstotścią jedna na 1 mln podanych dawek szczepionki. Mimo znikomego ryzyka po szczepieniu zaleca się pacjentom pozostanie przez kilka czy kilkanaście minut w przychodni. Reakcja anafilaktyczna występuje bowiem właśnie w tak krótkim czasie.

Znacznie częściej (jedna na 10 dawek) występują objawy miejscowe NOP, czyli ból lub zaczerwienienie w miejscu wkłucia. Do innych stosunkowo częstych objawów należą m.in. gorączka, nudności, wymioty czy biegunka. Zwykle symptomy te są niegroźne dla dziecka. Mimo to każdy przypadek NOP powinien być zbadany przez lekarza i zgłoszony do powiatowego inspektora sanitarnego. Jak informuje GIS, wystąpienie w tym samym czasie większej liczby NOP wywołanych tym samym preparatem może być podstawą do wstrzymania szczepień daną serią szczepionki.

Zamiast więc odmawiać szczepień, bo odmowa nieuchronnie prowadzi do wzrostu zachorowań, warto raczej zadbać o poszerzenie wiedzy o NOP. Na tym przede wszystkim – nie na walce z systemem – powinny skupić się organizacje pozarządowe. ■

Branża farmaceutyczna wymyśla choroby

Znaleziono chorobę powszechniejszą niż rak, choroba wieńcowa czy cokolwiek, na co można zapaść. Nazywa się ona ryzyko

Jacques Peretti

Stany Zjednoczone mają 320 mln mieszkańców. Według amerykańskiego National Center for Health Statistics mniej więcej połowa dorosłych idzie rano do szafki z lekami (...). Leki na receptę przyjmuje się w coraz większych ilościach. W roku 2000 tylko 8% dorosłych brało pięć lub więcej takich leków, a w ciągu niecałych 20 lat ta liczba wzrosła ponaddwukrotnie.

Nie oznacza to jednak, że nagle w tym czasie tak bardzo wzrosła zachorowalność. Owszem, jako społeczeństwo jesteśmy starsi i nieco ciężsi, ale obserwowany skok sprzedaży leków na receptę znacznie przewyższa potrzeby. Lekarstwa przyjmują wszystkie grupy socjoekonomiczne, ale biali i bogaci bez latynoskich korzeni biorą ich około dwukrotnie więcej niż biedni Amerykanie pochodzenia meksykańskiego, chociaż ze względu na skutki zdrowotne życia w ubóstwie powinno być odwrotnie. Epidemiolodzy nazywają to zjawisko latynoskim paradoksem.

Głównym oparciem przemysłu farmaceutycznego jest tzw. wielka trójka: depresja, cukrzyca i choroby otępienne. Ale najszybciej na świecie rośnie sprzedaż statyn, grupy leków stosowanych do obniżania stężenia cholesterolu.

Statyny stanowią klucz do zrozumienia, skąd się wziął taki wzrost sprzedaży leków na receptę. Po udarze trafiłem do szarej strefy pomiędzy słonecznymi wyżynami zdrowia a ciemną i głęboką doliną choroby. To właśnie z szarej strefy pochodzi coraz więcej przychodów przemysłu farmaceutycznego. Nic dziwnego, że dążył on do maksymalnego jej poszerzenia i pełnego wykorzystania potencjału drzemącego w chorobach. W tych poszukiwaniach przedstawiciele

branży doznali objawienia – jest przecież mnóstwo niesprecyzowanych lęków i nerwic związanych ze współczesnym życiem i wystarczy je przemianować na możliwe do leczenia zaburzenia zdrowotne. I tak mamy teraz znacznie więcej chorób niż 50 lat temu.

Doznawszy udaru, znalazłem się w dolnej części pogórza szarej strefy, gdzie leki należy przyjmować jako „rozsądny środek prewencyjny”. Ale miliony ludzi na świecie przyjmujących statyny nigdy nie miało udaru. Dlaczego więc przepisuje się im te preparaty?

Kilka dni po wypisie ze szpitala spytałem o to konsultanta, który się mną opiekował. „Chcesz znać oficjalne stanowisko czy dowiedzieć się, co ja myślę?”. Jedno i drugie. „No dobra. Oficjalnie to nawet jeśli ryzyko następnego udaru wynosi u ciebie ok. 0,05%, powinienes brać statyny do końca życia”.

A co z wszystkimi innymi?

„Jakieś 10 lat temu nastała era firm farmaceutycznych, które dostały *carte blanche*, żeby rozdawać lekarzom statyny nie tylko na udary, ale na wszystko. No i teraz je przepisujemy jak słodycze każdemu po czterdziestce w ramach profilaktyki. Sprzedaje się je pacjentom tak rutynowo, jak rutynowo stosujesz odmrażacz do szyb w samochodzie czy wyciągasz liście z odpływu. Ale nie wiemy, na kogo one działają – ciągnął. – To może być niecałe 5%, a 95% łyka je niepotrzebnie. Ale jedno jest pewne. Jest ktoś, kto na tym korzysta, i tym kimś jest branża farmaceutyczna”. (...)

FDA

W Stanach Zjednoczonych od dawna istnieją ścisłe wzajemne powiązania pomiędzy branżą spożywczą, branżą farmaceutyczną oraz organami kontroli ich obu. (...)

► W 1980 r. uniwersytetom amerykańskim zezwolono na opatentowywanie opracowanych przez siebie leków i wprowadzanie ich na rynek. Zapewniła im to Ustawa Bayha-Dole'a mająca na celu umożliwienie uczelniom, organizacjom *non profit*, a nawet małym przedsiębiorstwom korzystającym z dofinansowania federalnego na konkretne innowacje lub wynalazki, uzyskanie na nie patentu, a następnie komercyjne jego wykorzystywanie. Teoretycznie oznaczało to, że odtąd uniwersytety mogą konkurować z firmami farmaceutycznymi w dziedzinie produkcji lekarstw, ale w rzeczywistości wyglądało to inaczej. (...)

W 2016 r. badaczka Catherine Kirby na zlecenie McNair Center opracowała raport na temat wpływu Ustawy Bayha-Dole'a na uniwersyte-ty. Odkryła, że uczelnie jeszcze przed uchwaleniem tej ustawy badały możliwości patentowania swoich odkryć, żeby móc je spieniężać i uzupełniać braki wynikające z obcięć funduszy federalnych. Sama ustawa niewiele pod tym względem zmieniła. Natomiast bardzo wyraźną jej konsekwencją, twierdzi Kirby, było umocnienie relacji finansowych pomiędzy uniwersytetami a branżą farmaceutyczną. Uczelnie mogły teraz otrzymywać od firm farmaceutycznych pieniądze na badania, które wspierały wnioski tych przedsiębiorstw w sprawie rejestracji nowych leków przez Agencję Żywności i Leków (FDA).

Peter Rost, który był wysokiej rangi menedżerem ds. marketingu leków w Farmacji, opowiada, że dzięki tej nowej „współpracy” między firmami farmaceutycznymi a wydziałami uniwersyteckimi obchodzono



od czasu uchwalenia PDUFA branża farmaceutyczna zasilila FDA kwotą 7,67 mld dol. Opłaty od wnioskodawców stanowią obecnie 68% budżetu na proces weryfikacji leków oryginalnych i 58% na leki generyczne. Tak duża zależność od finansowania przez producentów leków można postrzegać jako kompromitujący układ lub po prostu jako konieczność ekonomiczną w przypadku niezwykle kosztownego procesu dopuszczania leków do obrotu. Wszystko zależy od tego, po czyjej stronie się opowiadasz.

Wymyślanie dolegliwości

Po znacznym przyśpieszeniu procesu rejestracji leków dzięki Ustawie Bayha-Dole'a w 1980 r. producenci

zdobytych podczas pracy w branży farmaceutycznej. Parry wyjaśnia mi, na czym polega kreowanie marki choroby, na przykładzie swoich działań w sprawie Zantacu, leku na zgagę, gdy jeszcze pracował w agencji reklamowej Saatchi. Odmienił losy tego specyfiku, pomagając stworzyć powiązaną ze zgagą nową „markę” – znacznie poważniej brzmiącą chorobę refluksową przełyku (*gastroesophageal reflux disease* – GERD).

„Chodziło o to, żeby ludzi, którzy po prostu szli do apteki i prosili o Rolids czy inny środek przeciw nadkwasocie, skłonić do pójścia do lekarza i uzyskania recepty na przewlekłą chorobę – mówi Parry. – Chcesz ich zatem doprowadzić do zupełnie innych zachowań”.

W takim razie jak Parry to osiągnął dla producenta Zantacu?

„Musieliśmy nadać nazwę [tej chorobie] i przedstawić też poważne argumenty, żeby uzasadnić konieczność tak złożonej zmiany. Innymi słowy, zamierzaliśmy do nich wyjść i narobić dużo szumu na temat znaczenia tej terapii, tyle że nikt jeszcze nie wiedział, że jej potrzebuje”.

W przekształcaniu zgagi w znacznie poważniejszą chorobę refluksową przełyku, a dostępnego wyłącznie na receptę Zantacu w przebój rynkowy, wykorzystano głęboko skrywaną ludzką potrzebę normalności.

„Ludzie boją się tego, że mogą nie być normalni – mówi Parry – że

Głównym oparciem przemysłu farmaceutycznego jest tzw. wielka trójka: depresja, cukrzyca i choroby otępienne.

zabezpieczenia przed nieprzetestowanymi specyfikami blokowanymi przez FDA. Prowadzono swego rodzaju grę w ping-ponga: firma opracowywała nowy lek, a uczelnia rzekomo niezależnie testowała go w jej imieniu i ostrzegała ją o możliwych problemach z FDA. (...)

W 2016 r. Jessica Wapner z PLOS w raporcie opublikowanym w „Business Insider” obliczyła, że

leków skoncentrowali się na drugiej stronie równania, czyli poszerzaniu bazy potencjalnych klientów. Jednym z aspektów tego przedsięwzięcia zajął się Vince Parry, menedżer z firmy Roche, który nazwał ten proces „kreowaniem marki choroby”. Spotykam się z nim w jego biurze w Nowym Jorku, gdzie Vince prowadzi własną firmę kreującą marki, wykorzystując lata doświadczeń

są gorsi. Kiedy słyszą, że wystarczy pójść do lekarza, który zna nazwę ich dolegliwości, strach przed odbieganiem od normy znika”.

Przemianowanie zgagi na GERD przyniosło producentom niebawomy sukces. Do chwili wygaśnięcia patentu Glaxo na Zantac w 1997 r. 240 mln osób na całym świecie otrzymało recepty na leczenie refluksu tym lekiem. A GERD nie był jedyną chorobą, która pojawiła się ni stąd, ni zowąd i zaczęła nękać społeczeństwo.

Tylko patrzeć i podziwiać, jak stworzono mnóstwo nowych zespołów chorobowych, spopularyzowano je i poszerzono ich definicje, tak żeby objęły jak największe obszary codziennego życia. Wkrótce można było leczyć takie problemy zdrowotne, jak zespół zaburzeń koncentracji uwagi, zespół chronicznego zmęczenia, choroba afektywna dwubiegunowa, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, zespół niedoczynności przytarczyc, zespół stresu pourazowego, zespół jelita drażliwego, zespół metaboliczny, przedmiesiączkowe zaburzenia dysforyczne i sezonowe zaburzenia nastroju lub fobia społeczna. Do tego dochodziły niezliczone dziwne fobie i uzależnienia, począwszy od lęku przed błyszczącymi powierzchniami po lęk przed straceniem okazji podczas wyprzedaży.

Każde mgliste uczucie lub obawa mogły teraz stać się problemem zdrowotnym uwiarygodnionym przez badania uniwersyteckie. Zadanie nie polegało na stworzeniu czegoś zupełnie nieprawdziwego. Wiele z tych schorzeń było od dawna zdefiniowanych, a dla cierpiących na nie osób postawienie diagnozy i leczenie byłyby ogromną pomocą. Szansa biznesowa polegała jednak na poszerzeniu ich rozpoznania na miliony innych ludzi w szarej strefie.

Do realizacji takiej strategii niezbędna była możliwość kierowania reklamy produktów leczniczych bezpośrednio do pacjentów, z pominięciem lekarzy. W 1981 r. prezydent Reagan mianował nowego szefa FDA, którym został dr Arthur Hull Hayes Jr. Dotychczas zasady reklamy leków regulowała ustawa z 1969 r. przekazująca całkowitą kontrolę nad nimi Agencji Żywności i Leków. Zgodnie z jej przepisami

reklamy były skierowane przede wszystkim do lekarzy, którzy teoretycznie powinni umieć czytać między wierszami promocyjnych tekstów i wybrać specyfiki najlepsze dla swoich pacjentów. (...)

Historia rozwoju marketingu antydepresantów jest ciekawa i zaskakująca. Kiedy Vince Parry współpracował z Eli Lilly w USA nad wprowadzeniem na rynek Prozacu, początkowo opracowano go jako środek na odchudzanie. Niestety, w tym zakresie nie był specjalnie

towarzyszących jej uczuć odstawała od normy i wstydu. Przyjmowanie leków przeciwko depresji miało się stać pozytywnym wyborem stylu życia, a informowanie, że jest się na Prozacu, niemal świadczyć o wyższej pozycji społecznej. (...)

W USA w ciągu roku sprzedaż Prozacu osiągnęła 350 mln dol. Nowy lek zdeklasował wcześniejszych konkurentów i wkrótce miał osiągnąć równie dominującą pozycję jak Valium w latach 60., dając globalny przychód 2,6 mld dol.

Najszybciej na świecie rośnie sprzedaż statyn, grupy leków stosowanych do obniżania stężenia cholesterolu.

skuteczny, ale zauważono, że ma właściwości przeciwdepresyjne. Taka zmiana zastosowania mogła przynieść firmie znacznie większe zyski. Z czasem okazało się, że Prozac miał odegrać znacznie większą rolę i nie tylko stać się lekiem antydepresyjnym, ale też dać początek branży zapewniania szczęścia.

Wprowadzenie na rynek nowego specyfiku przeciw depresji było nie lada wyzwaniem, bo w tej dziedzinie panowała ostra konkurencja. Trzeba było wymyślić unikatową propozycję sprzedaży, która naprawdę go wyróżni. I znaleziono ją. Dzięki niemu chorzy na depresję mieli wyzbyć się

Firma miała jednak świadomość, że podobnie jak w przypadku innych oryginalnych leków patent na Prozac za pewien czas wygaśnie i wtedy na rynku pojawią się leki generyczne, które odbiorą jej sporą część klientów. (W 2001 r. po kosztującej miliony dolarów pięcioletniej batalii sądowej z Barr Laboratories firma Eli Lilly rzeczywiście straciła ochronę patentową dla Prozacu, co umożliwiło konkurentom produkcję generyków). Przez 15 lat obowiązywania patentu wytrwale zatem pracowano nad zapewnieniem sobie innych źródeł przychodu z tego samego związku chemicznego.



Wyślij SMS o treści MARYNA

7412
koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910
koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950
koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

Maryna starości się nie boi. Jak większość zwierząt, żyje tu i teraz. I tak od prawie 20 lat w jednym gospodarstwie. Dzisiaj świat nas uczy, że oczekiwania są niedobre, można się rozczarować, że trzeba brać to, co życie niesie i nie być roszczeniowym. Miliony koni, które straciły życie w uboju, nigdy niczego nie oczekiwały. Maryna rodziła źrebaki. Gdy ona rodziła, w chacie pachniało ciastem drożdżowym i kawą z mlekiem od krowy. Gdy pracowała w lesie z gospodarzem, jego żona odskakała ser w gazie i wygrzebywała ziemniaki na obiad. Gdy latem woziła roześmiane dzieci, wokół wielkiej lipy brzęczały pszczoły i pachniały porzeczki mieniące się na krzakach. Dziś chata stoi pusta. Na darmo szukać zapachu ciasta, kawy w pudełku dawno wyschła, porzeczki usychają na krzakach, bo w gospodarstwie od kilku miesięcy nikogo już nie ma. Maryna została oddana handlarzowi we wsi obok. Tu nie pachnie ciastem, bo obok jest siedziwa cukiernia. Stoją w rzędzie konie. Młode, stare, wysłużone i te, które zasłużyły nie zdążyły. Między nimi ona, stara Maryna, wpatrzona w ścianę, zrezygnowana. Popuchnięte od stania nogi, betonowa posadzka bez słomy, krótki łańcuch przytwierdzony do żłobu. Gdziekolwiek odszedł starszy

gospodarz, zapłakałby, widząc jej koniec. Potrzeba 4500 zł aby ocalić Marynę i 1700 zł aby przetransportować ją do Fundacji Centaurus. Potrzebne są też środki na diagnostykę. Klacz kaszle, ma podejrzenie RAO. Konieczny będzie zakup specjalnych pasz, suplementów i leków. I konieczne jest wybudowanie dla Maryny boksu zewnętrznego, by ułatwić jej zmaganie się z problemami oddechowymi. Boks postawimy własnymi siłami, ale drewno i blachę na dach, musimy kupić. Nie sztuką jest wykupić konia skazanego na śmierć. Oprócz życia trzeba mu też podarować dobre warunki. By ten ratunek miał sens...

Mamy czas do 20 lutego, aby zebrać środki i zabrać Marynę z szeregu tych, które służą zawsze do końca, do ostatniego tchu. Niech jej ostatni oddech ma miejsce u nas, za kilka lat. Czy to coś zmieni? Dla wszystkich koni niewiele. Dla niej wszystko.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem MARYNA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>

► Jednym z nich miała być np. fluoksetyna sprzedawana pod nazwą Sarafem, oferowana jako lek na łagodzenie objawów zespołu napięcia przedmiesiączkowego, który FDA dopuściła do obrotu w 2000 r. Co prawda, wielu lekarzy podważało zasadność rozpoznawania tego zespołu, skoro w istocie chodziło o bóle przedmiesiączkowe, ale firmy farmaceutyczne wywierały silne naciski w tej kwestii.

W Eli Lilly podjęto kroki, żeby fluoksetyna długofalowo przynosiła zyski, ale już sam Prozac jako lek antydepresyjny odniósł niespotykany sukces. Przed wprowadzeniem go na rynek firma dostrzegła zmiany w społecznym nastawieniu do depresji i wykorzystywała szansę, oferując specyfik reklamowany jako zmieniający ówczesną kulturę. W rzeczywistości było to wyważanie otwartych drzwi. Ale i tak Prozac stał się symbolem nowego, bardziej otwartego podejścia do depresji w ludzkich umysłach i w mediach. (...)

Choroba, na którą nikt nie jest odporny

W 1987 r. przed branżą farmaceutyczną majaczyła jeszcze jedna, ostatnia granica, a mianowicie znalezienie choroby, na którą nikt nie jest odporny. Znalezione chorobę powszechniejszą niż rak, choroba wieńcowa czy cokolwiek, na co można zapaść. Nazywa się ona ryzyko.

W 1987 r. Merck wypuścił na rynek lek o nazwie Mevacor, będący statyną obniżającą stężenie cholesterolu. Cholesterol od dawna uważano za czynnik ryzyka chorób układu sercowo-naczyniowego, teraz został okrzyknięty ich główną przyczyną. W 1995 r. Narodowe Instytuty Zdrowia (National Institutes of Health, NIH) ogłosiły, że 13 mln osób w Stanach Zjednoczonych jest „zagrożonych” ze względu na zbyt wysokie stężenie cholesterolu. Czynniki ryzyka nie były nową koncepcją medyczną, ale liczby definiujące grupę osób zagrożonych miały wkrótce gwałtownie wzrosnąć. (...)

Możemy sobie wyobrazić, że takie instytucje jak NIH czy FDA są niezależne. Naturalne jest jednak, że duża część niezależnych ekspertów działających w niezależnych komisjach ma bezpośrednie związki

z którymś z sześciu gigantów farmaceutycznych. Firmy farmaceutyczne stale opracowują nowe leki, które wymagają badań i wielokrotnych ocen, toteż nie ma nic dziwnego ani złego w tym, że konsultują się z osobami decydującymi, czy dany specyfik zostanie zarejestrowany. Rzecz w tym, żeby te kontakty nie przekroczyły pewnej granicy.

W każdym razie liczba Amerykanów, których zakwalifikowano do grupy ryzyka z powodu podwyższonego stężenia cholesterolu, z dnia na dzień niemal się potroiła – z 13 mln do 36 mln w 2001 r. W 2004 r. znowu wzrosła do 40 mln. W ramach klasycznego przypadku „szerszego zarzucania sieci” miliony osób będących po bezpiecznej stronie granicy zostały przeniesione do strefy oznaczonej „zagrożeni”.

A wszystko zaczęło się w 2001 r. 16 maja tego roku gazeta „Augusta Chronicle” doniosła, że Narodowe Instytuty Zdrowia nagle „wezwały do bardziej agresywnego leczenia podwyższonego stężenia cholesterolu”. Doktor Claude Lenfant z National Heart, Lung, and Blood Institute oznajmił, że „możemy teraz z całą pewnością powiedzieć, że obniżenie zbyt wysokiego stężenia cholesterolu we krwi [...] zdecydowanie zmniejsza ryzyko dla danej osoby”. Doktor James Cleeman z National Cholesterol Education Program szacował, że 33% Amerykanów musi obniżyć u siebie cholesterol. (...)

Firmy farmaceutyczne aktywnie poszukiwały schorzeń, które będzie można inteligentnie nagłośnić, jak twierdzą niektórzy ich pracownicy.

Zadaniem dr. Petera Rosta w firmie Pfizer było wynajdowanie chorób, do których będzie można zastosować tzw. astroturfing, czyli fałszywie oddolną kampanię społeczną, lub manipulowanie opinią społeczną, finansowane po cichu przez tego producenta. W 2004 r. ni stąd, ni zowąd powstała Boomer Coalition, grupa wspierająca prawa pacjentów, kładąca nacisk na potrzeby osób po 50. roku życia w zakresie ochrony zdrowia. Na czele ich kampanii stanęli Henry „The Fonz” Winkler i „Wonder Woman” Lynda Carter. Pod płaszczykiem pozornie niewinnego zachęcania do aktywności fizycznej i robienia większej liczby pajacyków, żeby zachować

sprawność, przemycano też wezwania, by sprawdzać sobie stężenie cholesterolu. Okazało się, że całą tą „oddolną” kampanią kierowała firma PR-owa wynajęta przez Pfizer, właściciela zwalczającej cholesterol statyny o nazwie Lipitor.

Joe Dumit, profesor antropologii oraz technologii naukowych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis, przeprowadził badanie praktyk poszerzania sieci, w którą, jak twierdzi, wpadają dwie grupy osób. Jedna to pacjenci cierpiący na prawdziwe, dobrze udokumentowane schorzenia, jak wysokie stężenie cholesterolu lub osteoporoza. Jednocześnie te choroby wykorzystuje się do złowienia milionów innych osób o znacznie łagodniejszych objawach, które nie musiałyby jeszcze się leczyć. Ale „nie nakreśliłbym tak wyraźnej linii pomiędzy wymyślonymi a prawdziwymi chorobami”, ostrzega. I właśnie w tej niejasności kryje się możliwość zrobienia interesu. Znaleźnienie choroby, którą można w nieskończoność poszerzać, dodając liczne odgałęzienia i podtypy, zdecydowanie zwiększa prawdopodobieństwo dopasowania lekarstwa do jednej z wielu kategorii diagnostycznych, jakie się stworzyło.

Niestusznym uproszczeniem byłoby jednak obwinianie wyłącznie branży farmaceutycznej o wynajdywanie i rozbudowywanie chorób i zaburzeń, na które potem przyjmujemy leki na receptę. My sami też mamy udział w takim upowszechnieniu się leczenia farmakologicznego we współczesnym społeczeństwie. (...)

Uważamy, że cierpimy obecnie na znacznie większą liczbę dolegliwości niż kiedykolwiek w historii, i nie wynika to wyłącznie z większej wiedzy medycznej, lecz również z tego, że nigdy nie mieliśmy równie wysokich wymagań dotyczących zdrowia i długości życia. W przeszłości po prostu radzilibyśmy sobie z chorobą, bo krótsza była średnia długość życia i mniejsze wymagania dotyczące szczęścia. (...)

Fragmenty książki
Jacques'a Perettiego
*Zakulisowe umowy,
które zmieniły świat,*
przekład Bożena Józwiak,
Rebis, Poznań 2019



W Berlinie bez zmian

Wiele razy pisaliśmy o zmianach, które zaszły w MSZ, o tym, że jest to już zupełnie inne ministerstwo niż za poprzednich rządów. Tak właśnie jest, choć w jednej sprawie nic tam się nie zmienia. Od lat. Tą sprawą jest budowa siedziby ambasady RP w Berlinie.

Po ośmiu latach rządów PO, kiedy minister Sikorski co rok obiecywał w Sejmie, że już za parę miesięcy ruszy budowa ambasady, do władzy przyszło PiS, rządzi już piąty rok i też obiecuje, a poza tym nic się nie dzieje. Przy prestiżowej alei Unter den Linden, w samym centrum niemieckiej stolicy, straszy pusta działka. Symbol polskiej gospodarności.

Przypomnijmy czasy PO – minister Sikorski w sprawie ambasady wiele nie dokonał, poza tym, że w którymś roku jego urzędowania MSZ dorobiło się projektu budynku. I makiety, którą pokazywano dziennikarzom z takim zadęciem, jakby to już były prawdziwe mury.

PiS, gdy wzięło władzę, projekt odrzuciło. I to z hukiem, nazywając hańbą sprawę pustej działki i kierując do prokuratury papiery z zarzutami niegospodarności na sumę 30 mln zł pod adresem poprzedniej ekipy. Potem ogłosiło, że będzie budowało ambasadę w modelu partnerstwa publiczno-prywatnego. Szukano więc partnera, który działkę przy Unter den Linden zagospodaruje, stawiając ambasadę (mniejszą niż w projekcie PO) i coś dla siebie. Nie znaleziono. Dlatego 20 września 2017 r. premier Morawiecki zdecydował, że ambasadę zbudujemy sami. Ale że będzie trochę mniejsza. 26 marca 2018 r. (czyli po pół roku) rząd zainicjował kolejny projekt jej budowy.

„W chwili obecnej trwają uzgodnienia z władzami Berlina oraz równoległe prowadzone są końcowe roz-

mowy z architektami, autorami wcześniejszego niezrealizowanego projektu, w celu wprowadzenia niezbędnych zmian”, informował w maju 2018 r. wiceminister Piotr Wawrzyk.

Mamy rok 2020. I co?

Przedstawiciele MSZ tradycyjnie obiecują przełom. Bo owszem, kiedyś były kłopoty, ale już jest dobrze. „Przez różne wcześniejsze perypetie doszło do tego, że upłynął czas i prawo niemieckie zmieniło się w różnym zakresie – norm budowlanych, akustycznych, elektrycznych – tłumaczył to niedawno wicedyrektor Biura Inwestycji MSZ Sylwester Janyszko. – W zeszłym roku należało dostosować dokumentację, aby mógł ją zweryfikować ewentualny oferent i złożyć legalną, dobrze wyglądającą ofertę, na podstawie której byłby w stanie zrealizować inwestycję. Kilka miesięcy aktualizowaliśmy dokumentację. Obecnie na naszych stronach zamieszczona jest informacja o pierwszym etapie przetargu. Sądzę, że zakończy się w połowie lutego. Potem będziemy analizowali firmy, które przejdą etap preselekcji, i zostanie rozpoczęty drugi etap, który potrwa do około końca maja. Wszystko zależy od tego, czy będą odwołania. Jeśli nie będzie, to po połowie roku może nastąpić podpisanie umowy. W 2023 r. budowa powinna się zakończyć”.

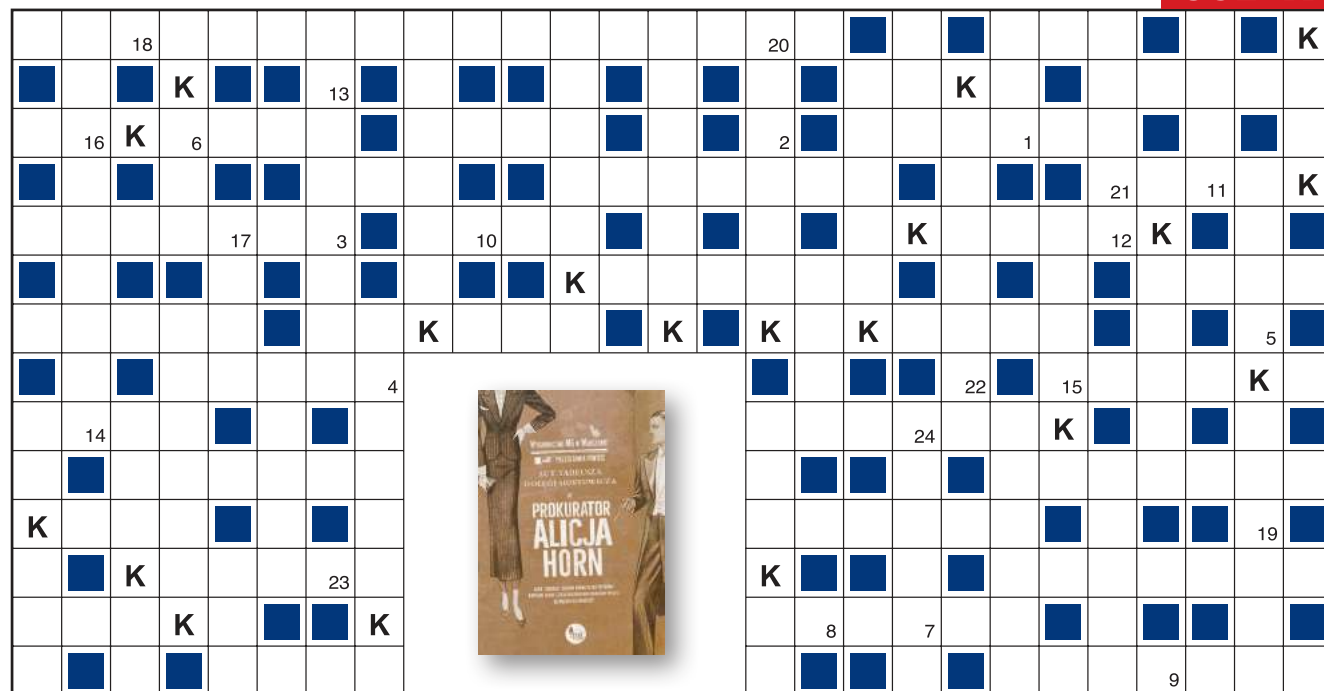
Budowa ambasady wciąż więc nie ruszyła. MSZ ma na razie projekt i to jest już chyba czwarty tego rodzaju dokument. A który raz słyszymy obietnicę, że za chwilę na plac wjadą koparki i dźwigi? Nie ma nawet sensu tego liczyć.

W każdym razie – zacznijcie to wreszcie!

Attaché



Służba narodowi jest najważniejsza. Chińska żandarmeria przygotowana do patrolu w mieście Shenzhen.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- dba o stronę dźwiękową koncertu
- miłośniczka lub początkująca
- *Vir est qui adest* wobec *Quid est veritas?*
- była nią Elżbieta Wirtemburska
- dawniej pretekst, powód
- zarost po obu stronach twarzy
- akuzatyw w deklinacji
- jutrenka, przedświt

- ten poniżej pasa – podłość
- ekscentrycznie wygląda lub zachowuje się
- elektroluminescencyjna – LED
- i los, i do odpalenia
- piekarnicze lub piwowskie
- podłużne ciastko z kremem
- można go obsadzić albo zamrozić

- religia z pięcioma filarami wiary
- łączy na mapie punkty o tej samej temperaturze
- ...Europa działał na Stądzie Dziesięciolecia
- choroba oczu, zwana glaukomą
- oszczerstwo
- dolna część silnika spalinowego, z miską olejową
- mebel na zastawę stołową
- sposób stawiania nóg w tańcu, musztrze
- wydawanie głosu przez gęgżółkę
- zgaduj-zgadula
- świecy
- brać na niego – kusić
- dzwignia do podnoszenia ciężarów
- ...dzienny wypłat z bankomatu

- ryba z mulistych, zarosłych jezior
- niewielki, haftowany we wzory kilim
- zaplanowany ruch wojsk, zręczne posunięcie
- powiedział: „Są jeszcze sądy w Berlinie”
- na równe można się zerwać
- ziewamy, gdy nią wieje
- mniej ludna niż Tokio i Jokohama
- motyl, modliszka lub moskit
- Juno i on w tytule filmu Hitchcocka
- hawajska bogini mieszkająca w kraterze
- wbijać w nie nóż to zdradzać
- ...Trzech Króli na obrazie Rubensa
- inicjatywa i operatywność ludzi interesu
- pierwiastek Skłodowskiej
- przyczyna tęsknoty za drugą połówką

- ...Autonomii Śląska
- z podrzutem na pomoście
- na złotym Helios przemierzał niebo
- ćwiczenia ruchowe w takt muzyki
- odczytywana na osi Y
- parostki nieprędko mu wyrosną
- do włosów albo krawata
- bitwa lub ostra wymiana zdań
- na zębie i na garnku
- koronny nie ma prawa do odmowy zeznań
- przypinka przy fryzurze
- żył w Puszczy Jaskrowskiej
- z Zaporozem i Żyto-mierzem
- pętka przy ręczniku
- podlega ochronie i konserwacji
- bywa niemożliwe do wykonania
- krwawe zbierane przez śmierć

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-946”. Do rozlosowania książki „Prokurator Alicja Horn” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązanie wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 lutego 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-943” z 19 stycznia: Nie miej pretensji do siebie. Nagrody otrzymują: Małgorzata Pawliczuk z Warszawy, Paweł Stankiewicz ze Zgorzelca, Ryszard Wandel z Żar.

PENETRACJE

STYL

TOMASZ SEKIELSKI,
REPORTER

W drugiej części filmu o pedofilii w Kościele pokazujemy m.in., jak nieprawidłowo funkcjonuje prawo w Polsce, gdy mówimy o zderzeniu państwa z Kościołem. Wielu duchownych, którzy popełnili przestępstwa, było przez lata praktycznie bezkarnych. Co najwyżej zmieniali parafie. Przed wymiarem sprawiedliwości chroniła ich instytucja Kościoła. Skutecznie. Himalaiści, gdy słyszą pytanie, dlaczego chodzą po górach, narażając życie, mówią: bo są. Dlaczego kręcę filmy o wielkich aferach? Odpowiem to samo: bo są.

Kolporter

GRZEGORZ FIBAKIEWICZ,
PREZES KOLPORTERA

Ceny prasy w Polsce pozostaną na niskim poziomie, jednym z najniższych w Europie. To z kolei przekłada się na wielkość marż, prasa nie jest dla sprzedawców najważniejszym towarem. My jednak nieustannie podejmujemy starania, aby była towarem atrakcyjnym, choćby przez liczne akcje promocyjne, organizowane wspólnie z wydawcami w punktach sprzedaży. Rynek prasowy, jak każdy rynek, jest bardzo dynamiczny. Przyzwyczajenia klientów się zmieniają. Na rynek często wpływ mają trendy czy mody. Zmienia się też profil czytelnika prasy. Jedni wydawcy radzą sobie z tym gorzej, zamykając tytuły,

inni potrafią się na nim odnaleźć. Są kategorie prasy, które niemal całkowicie zniknęły z rynku.

charaktery
magazyn psychologiczny

**PROF. TOMASZ
MARUSZEWSKI,**
PSYCHOLOG

Według Paula Ekmana kłamstwo jest czymś w rodzaju smaru ułatwiającego kontakty społeczne. Gdybyśmy co chwilę prostowali kłamstwa innych, szybko stracilibyśmy ich sympatię i moglibyśmy zyskać fatkę kogoś, kto się czepia. Żaden kłamca nie przyzna się, że okłamuje innych – czasami powiada, że podał niepełną prawdę w imię jakiegoś ważnego interesu. Również okłamywany nie przyzna się do tego, że dał się nabrać. I tak to się toczy...

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

MARIUSZ TRELIŃSKI,
REŻYSER OPEROWY

Osadziłem „Halke” w czasach komunizmu, bo to najlepiej pokazuje, że nie jest winna władza czy konkretna sytuacja polityczna, tylko my – bo pogarda pojawia się w nas w każdych warunkach. Artysta, który w swoim świecie dotyka polityki wprost, zaczyna używać bieli i czerni i w ten sposób nieuchronnie zamienia się w demagoga, a to w moim rozumieniu zaprzecza sensowi uprawiania tego zawodu. Szukam czegoś innego. Stanie się żołnierzem jednej armii od zawsze mnie odstręczało.

Aby język giętki...

JAN ROKITA O DONALDZIE TUSKU

Tusk to zjawisko nieuchwytnie. Coś jak kameleon doskonały.

NATALIA KAWAŁEK O PIOTRZE BECZALE

„Szumią jodły” w jego wykonaniu powinno się nagrać i puszczać każdemu Polakowi, a jak się nie rozplacze, to mu odbierać obywatelstwo.

**GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI
O ANDRZEJU DUDZIE**

Kilka razy byłem świadkiem, jak minister Macierewicz uwłaczał godności prezydenta Dudy.

STANISŁAW TYM O KOŚCIELE KATOLICKIM

Zawsze znajduje sobie wrogów, by walczyć z nimi w obronie naszej świętej wiary.

WOJCIECH FORTUNA O KAMILU STOCHU

To najlepiej technicznie skaczący zawodnik na świecie. Wiało pod narty, nie było nic w plecy i wygrał.

OTYLIA JĘDRZEJCZAK O TRENINGU KOBIET

W relacji z kobietą trzeba czasem odpuścić, zrobić krok w tył, przytulić, a potem tupnąć.

KRYSTYNA JANDA O ŻYCIU W TEATRZE

Życie poza teatrem mnie nudzi. Nawet odstawiłam leki, żeby móc lepiej grać.

BARTOSZ BIELENIA O AKTORSTWIE

Pozwala spojrzeć na siebie z zewnątrz, odkleić się od siebie.

ALEKSANDRA POPŁAWSKA O ZIOŁACH

W Bieszczadach są naprawdę świetne. Szukam tam czosnku niedźwiedziego i pokrzywy na pesto.

TOMASZ GOLLOB O BÓLU

Przez dwa lata nie przespałem żadnej nocy. Każda była długim czekaniem na świt.

ODETA MORO O JEŹDZIE NA MOTOCYKLU

Rano w mazurskich miasteczkach czujesz zapach pieczonego chleba, na południu Francji – lawendy, a w Indiach – kadzidła i suszonej... kupy jaków.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O MĘŻCZYZNACH

Słabo dają sobie radę w życiu, są zepchnięci do narożnika przez rozpychające się łokciami kobiety.



Ciasny, ale własny, w dodatku mobilny. Ten sześciuosobowy i w pełni wyposażony domek zbudował Tom Johnson, by móc swobodnie podróżować po Alasce.

FOT. TOM JOHNSON/CATERS NEWS/FORUM

Na kłopoty – miliarder

W nietypowy sposób został rozwiązany problem przeciągającego się strajku lekarzy w Zimbabwie. Jeden z najbogatszych obywateli tego kraju, mieszkający w Londynie biznesmen Strive Masiyiwa, obiecał, że przeznaczy ponad 6 mln dol. na stypendia dla medyków, dzięki czemu zdecydowali się oni wrócić do pracy. Stypendia mają być wypłacane przez pół roku, a w tym czasie lekarze będą negocjować z rządem w sprawie systemowych rozwiązań w zimbabwejskiej służbie zdrowia, trapionej niskimi zarobkami oraz brakiem podstawowych leków i narzędzi.

Dymka? Pasjami!

Podczas Wielkiego Festiwalu Cebuli w Tarragonie w Katalonii odbyły się zawody w jedzeniu dymki na czas. Zasady były proste: należało zjeść jak najwięcej pieczonych cebul w ciągu 45 minut. Zwycięzcą 24. edycji mistrzostw został zawodnik o swojsko brzmiącym nazwisku Adrià Wegrzyn, który w trzy kwadranse pochłonął 200 cebul, ważących łącznie prawie 2,5 kg. Nie umniejszamy jego wyniku, ale warto pamiętać, że obowiązuje rekord, ustanowiony w 2018 r., wynosi 310 dymek o łącznej wadze 5,8 kg. Musisz więcej trenować, chłopie!

Wideonekrolog w czasach postprawdy

Niejaki JayStation, youtuber obserwowany przez niemal 5,5 mln osób, opublikował wideo, w którym poinformował, że jego dziewczyna, youtuberka Alexia, została śmiertelnie potrącona przez pijanego kierowcę. Przez większość nagrania wideobloger płakał i opowiadał o prowadzonym wspólnie ze zmarłą kanale Dream Team, mającym ponad 300 tys. subskrypcji. Nie omieszkał wspomnieć, że największym marzeniem Alexii było osiągnięcie miliona obserwujących. Czujni internauci rychło ustalili, że historia tragicznego wypadku została zmyślona. W końcu JayStation przyznał, że wspólnie z ukochaną wszyst-

„Kto lubi jeść dobrze, może z głodu umrzeć”, przestrzega Konfucjusz.



ko zmyślił, by ją wypromować. Akcja nie spodobała się rodzicom Alexii, co spowodowało konflikt zakochanych i porzucenie mężczyzny. Wolimy jednak się nie zakładać, że z kolejnego filmiku nie poznamy innej wersji wydarzeń.

Hazard na szynach

À propos zakładów: firma bukmacherska eWinner wprowadziła do oferty nietypowy zakład. W styczniu miłośnicy hazardu mogli za jej pośrednictwem obstawić, czy w 2020 r. tramwaje MPK Wrocław wykołują się więcej niż 100 razy (początkowe kursy wynosiły 1,90 na „tak” i 1,80 na „nie”). W ten sposób firma zareagowała na coraz częstszy problem komunikacji zbiorowej w stolicy Dolnego Śląska, który zdaniem części mieszkańców może z czasem stać się jej symbolem, na równych prawach z zabytkowym rynkiem czy krasnalami. Korzystając z okazji, ostrzegamy: hazard grozi wykołeniem!

Mała czarna nauka

Gdy naczynie, z którego pijemy kawę, jest gładkie, wówczas postrzegamy ją jako słodsza. Gdy zaś pijemy ją z chropowatego naczynia, w ustach zostaje nam gorzki posmak – ogłosiła dr Fabiana Carvalho z Uniwersytetu São Paulo. Zespół brazylijskich naukowców doszedł do tego wniosku w wyniku eksperymentu z udziałem ponad 230 osób, z których połowę stanowili eksperci, w tym

MEMY BEZ ŚCIEMY





zawodowo zajmujący się ocenianiem jakości kawy. Zdaniem badaczy ich ustalenia pokazują, że wrażenia dotykowe mają znaczenie dla naszej oceny smaku. Z kolei ekipa dr. Jamiego Fostera z Uniwersytetu w Portsmouth za pomocą zaawansowanego modelowania matematycznego udowodniła, że mniej ziaren kawy, ale grubiej zmielonych, pozwala uzyskać espresso równie mocne i aromatyczne co przy metodach tradycyjnych. Oszacowano, że odkrycie może przynieść ponad 1 mld dol. oszczędności rocznie w samych Stanach Zjednoczonych, do czego dochodzą korzyści ekologiczne.

Kanapka wielka jak świat

Etienne Naude z Nowej Zelandii oraz Angel Sierra z Hiszpanii wspólnie stworzyli kanapkę z... kuli ziemskiej. W tym samym momencie na idealnie przeciwnych krańcach

globu położyli pieczywo. Nie było to łatwe, bo wymagało m.in. precyzyjnego ustalenia szerokości geograficznych, uwzględnienia 12 godzin różnicy czasu oraz ustalenia rodzaju pieczywa. Akcja jednak się powiodła, a kromki gigantycznej „kanapki” dzieliły dokładnie 12 724 km. Na samą myśl zgłodnieliśmy!

Na zakupy tylko z ładowarką

W Poznaniu w pełni samoobsługowy sklep Take&GO uwięził klienta. Mężczyzna nie zauważył, że rozładowuje mu się telefon, tymczasem zarówno do wejścia, jak i do wyjścia z placówki potrzebna jest specjalna aplikacja. Wolność zakupowiczowi zwróciły dwie kobiety, które dostrzegły z ulicy jego niedolę i próbowały dowzłonić się na infolinię sklepu, a ostatecznie ściągnięty na telefon aplikację i w ten sposób otworzyły wrota. Przemysław Kozera z Take&GO w rozmowie z mediami zasugerował, by osoby w podobnych tarapatkach po prostu stosowały się do instrukcji na ekranach kasowych. – Znajdują się tam wszystkie niezbędne informacje, również te, jak postępować w sytuacjach problemowych – wyjaśnił. I dodał, że do ewakuacji służy duży zielony przycisk umieszczony na ścianie przy wyjściu.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat

e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,

Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,

Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,

Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredakcja: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chleicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

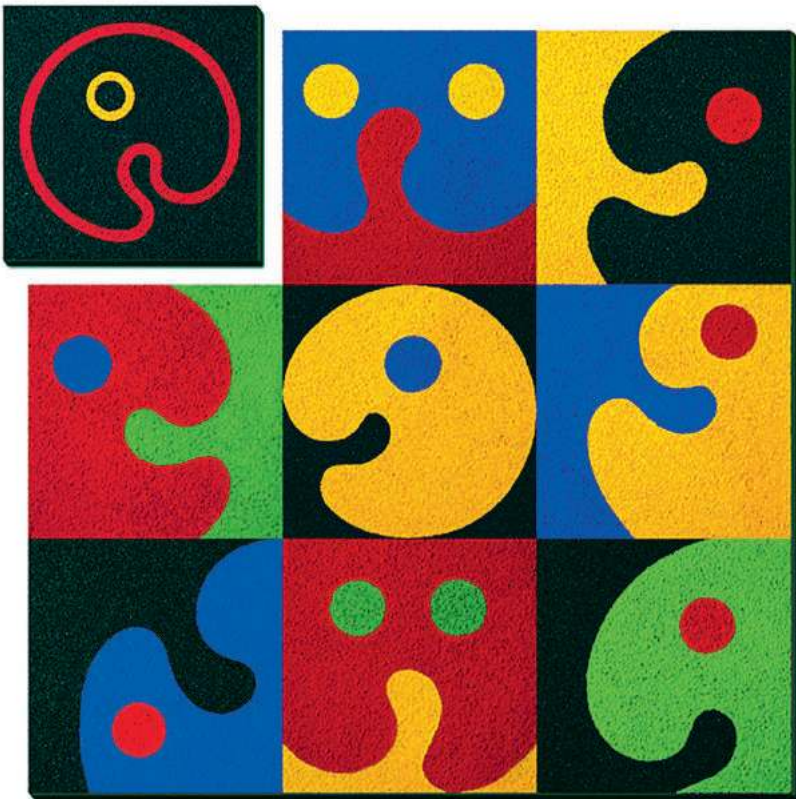
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

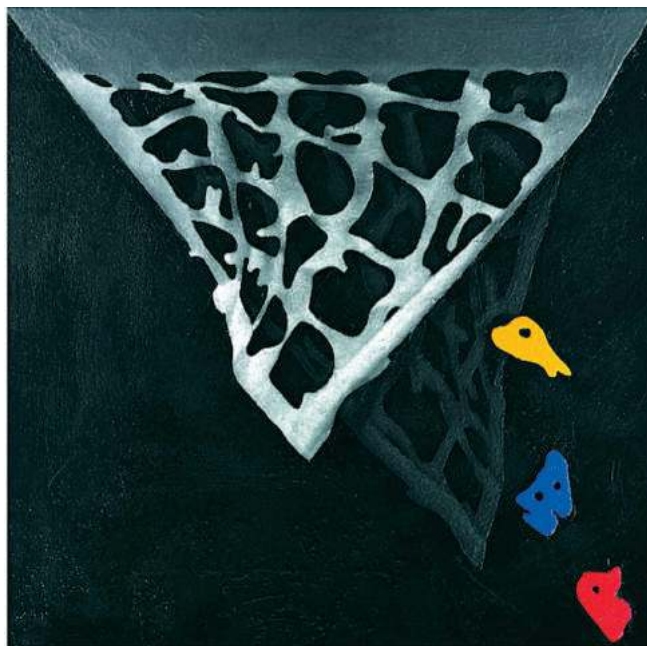
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Elżbieta Woźniewska

PARALELE



Na wystawę PARALELE/ Elżbieta Woźniewska składa się ponad sto prac – malarstwo, książka artystyczna i obiekty. Malarskie dzieła zostały wykonane autorską techniką łączącą biały, marmurowy (lub kwarcowy) piasek z farbą (olejną, później zmienioną na akrylową). Oba składniki doskonale łączą się, po wyschnięciu tworząc twardą i sztywną powierzchnię, która wraz z oddalaniem się widza od dzieła „oszukuje” i nadaje wrażenie miękkości. Na ekspozycji pojawiają się prace prezentujące przede wszystkim kryptogramy (ukryte znaki) inspirowane m.in. hieroglifami. Dzieła z tego cyklu to piktograficzny słownik umożliwiający poznanie znaczenia poszczególnych znaków, gdzie każda figura otrzymała swoją nazwę (np. „Troska”, „Szepty”, „Łagodność”), związaną z zakodowaną emocją czy myślą. Dzięki swojej strukturze wieloelementowe kompozycje Woźniewskiej można rozłożyć na części pierwsze, a co się z tym wiąże, tworzyć urozmaicone historie.

Galeria Miejska we Wrocławiu
ul. Kiełbaśnicza 28
do 29 lutego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Boska komedia

reżyseria: Krzysztof Garbaczewski

premiera: 8.02.2020

kolejne pokazy: 9, 11 i 12.02.2020

Medytacja teatralna inspirowana średniowiecznym poematem włoskiego pisarza i filozofa Dantego Alighieriego. Boska komedia to niewyczerpane źródło opowieści, przesłania i nauki. Bohaterowie utworu, należący do minionych epok, wciąż przemawiają do współczesnych, bo mierzą się z ponadczasowymi dylematami, pragnieniem wiedzy i lękiem, ale przede wszystkim – pożądaniem wyniesienia się ku boskiemu pięknu. Opisana wierszem wędrówka przez Piekło, Czyściec i Raj to poemat o naszym pochodzeniu, przeznaczeniu i wierze, opera człowieka poszukującego miłości i prawdziwego sensu życia.

Partner
mediów

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

cojestigrane24

P
reżysta

www.powszechny.com



CANNES

UN CERTAIN REGARD

NAGRODA JURY 'COUP DE COEUR'

MIŁOŚĆ MOJEGO BRATA

REŻYSERIA MONIA CHOKRI



TROJE TO JUŻ TŁOK...

AURORA

W KINACH OD 7 LUTEGO